



**XXX edycja Nagrody Literackiej Fandomu Polskiego
im. Janusza A. Zajdla**



fot. © Michał Dagajew, Mirosław Stelmach 1

Utwory nominowane do Nagrody Zajdla za rok 2013

Kategoria opowiadanie

•

Michał Cetnarowski *Cyberpunk* w: „Rok po końcu świata”, Wydawnictwo Powergraph

•

Anna Kańtoch *Człowiek nieciągly* w: „Pożądanie”, Wydawnictwo Powergraph

•

Anna Kańtoch *Okno myszogrodu* w: „Rok po końcu świata”, Wydawnictwo Powergraph

•

Paweł Majka *Grewolucja* w: „Nowa Fantastyka 5/2013”
Wydawnictwo Prószyński Media

•

Piotr Mirski *Drobnoustroje* w: „Nowa Fantastyka 9/2013”, Wydawnictwo Prószyński Media

•

Marcin Podlewski *Edmund po drugiej stronie lustra* w:
„Nowa Fantastyka 12/2013” Wydawnictwo Prószyński Media

•

Wojciech Szyda *Popiołun* w: „Fantastyka - wydanie specjalne 3/2013”, Wydawnictwo Prószyński Media

Kategoria powieść

-

Anna Kańtoch *Przedksiężycowi* tom 3, Wydawnictwo Powergraph

-

Łukasz Orbitowski *Szczęśliwa ziemia*, Wydawnictwo Si-
ne Qua Non

-

Krzysztof Piskorski *Cienioryt*, Wydawnictwo Literackie

-

Andrzej Sapkowski *Sezon burz*, Wydawnictwo Super-
NOWA

-

Cezary Zbierzchowski *Holocaust F*, Wydawnictwo Po-
wergraph

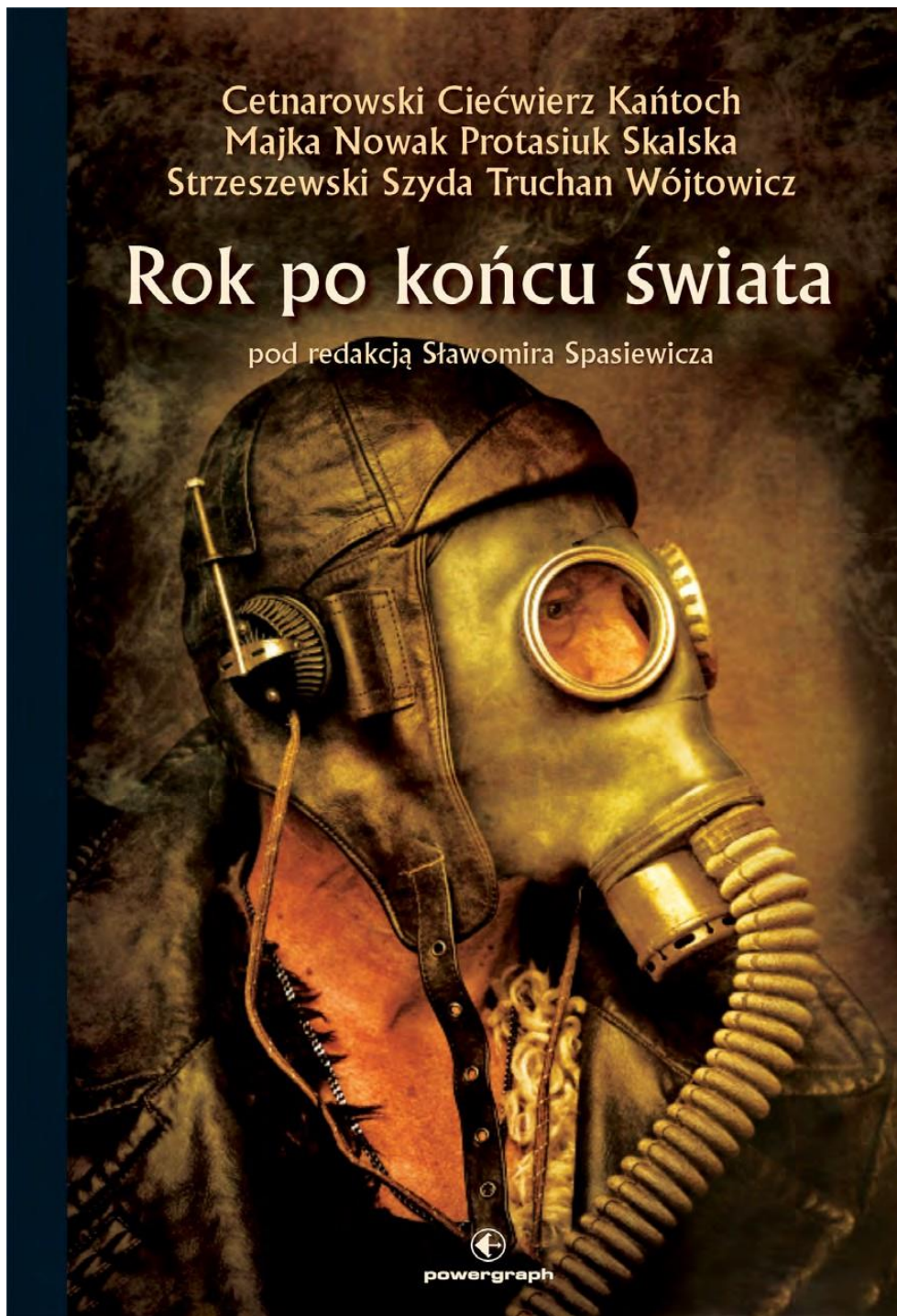
SPIS TREŚCI

- Michał Cetnarowski – *Cyberpunk* („Rok po końcu świata”).....
- Anna Kańtoch – *Człowiek nieciągły* („Pożądanie”)
.....
- Anna Kańtoch – *Okno Myszogrodu* („Rok po końcu świata”).....
- Paweł Majka – *Grewolucja* („Nowa Fantastyka”
05/2013)....
- Piotr Mirski – *Drobnoustroje* („Nowa Fantastyka”
09/2013)...
- Marcin Podlewski – *Edmund po drugiej stronie lustra*
(„Nowa Fantastyka”
12/2013).....
- Wojciech Szyda – *Popiołun* („Fantastyka Wydanie Spe-
cjalne” 03/2013, „Rok po końcu-
świata”).....

Cetnarowski Ciećwierz Kańtoch
Majka Nowak Protasiuk Skalska
Strzeszewski Szyda Truchan Wójtowicz

Rok po końcu świata

pod redakcją Sławomira Spasiewicza




powergraph

Michał Cetnarowski

Cyberpunk

Opowiadanie pochodzi z antologii *Rok po końcu świata* wydanej nakładem wydawnictwa Powergraph 4

„Pozycja społeczna ministra czy dyrektora banku wydaje mu się czymś poważnym i godnym zazdrości, a posiadanie znacznej ilości pieniędzy gwarancją spokoju i bezpieczeństwa. Nie wierzy, że na dobrze mu znanej ulicy, na której śpią koty i bawią się dzieci, może pojawić się jeździec z lassem, który będzie łapał przechodniów i włókł ich do rzeźni”.

Czesław Miłosz, *Zniewolony umysł*

„Ale, obacz, jak ty mógłbyś wykfaliczyć jego zdefraudowane nadzieje i zatopić ząb poprzez ten pyto o ciebie i tę mąki przytrzymawszy go jak behemotemę jako że on jest no-ecomoe. Finische!”.

James Joyce, *Finnegans Wake*

Budzi ją Snajper™, 13 minut przed czasem.

Kombajn na jego polecenie zaczyna pompować w krew zaprogramowane dawki neutralizatorów melatoniny i koktajl izotoniczny na bazie glukozy oraz dopuszczonych do obrotu niezależniających syntetyków kofeiny. Jowita łagodnie odzyskuje przytomność, od razu trzeźwa i skoncentrowana, wyciera z kącików oczu pozostałości snu i nie ogniskując wzroku po otwarciu powiek, zakłada gogle. Soczewki delikatnie przylegają do błyszczącej powierzchni gałki ocznej, poranne nawilżanie jest ustawione w menadżerze kombajnu jako ope-

racja autonomiczna. Pod powiekami wyświetlają się półprzezroczyste dane z procesora zaimplantowanego w wydrążoną kość jarzmową.

Ktoś manualnie przebił jej ofertę ponad ustawienia programu.

Sprawdza, kto to, czemu nie skorzystał ze Snajpera™ i czy wygrana z nim może jej zaszkodzić w jej grupie rodzinnej. Gaetano Bonsignore licytuje w tej aukcji jako bot Ma@iola89©, nałożony na jego e-bayowe konto przez KeoSMake™. Jest wdowcem z dwójką dorosłych synów, był urzędnikiem, teraz jest na utrzymaniu dzieci w programie unijnym „Autumn of Life”, ma 79 lat, być może dlatego opłaca najtańszą wersję szyfratora i dlatego zebranie podstawowych danych zajmuje Jowicie tak mało czasu.

Przywołany mikroruchami gałek ocznych zegar pokazuje 6 minut i 37 sekund do zakończenia licytacji. Jowita zapuszcza szperusy na przeszukiwanie baz społecznościowych swoich znajomych, udostępnionych pod profil jej konta, i znajduje rekordy mężczyzny dopiero w 24% węzłach trzeciego i 46% węzłach czwartego stopnia.

Dla świętego spokoju sprawdza jeszcze synów, ale żaden z nich nie pojawia się tam także z dużo większą częstotliwością ani nie jest SB-kiem czy nawet diving dumpsterem, co mogłoby być groźne.

Kalkuluje, ile może wydać, zanim przeleją jej honoraria za komentowanie sushi-raju.com© i profinetowego GoldMinera©, i podnosi dopuszczalny limit na oczekującym na jej decyzję Snajperze™.

Za niecałe trzy minuty dowie się, czy komuś z lepszym obyciem w inecie też podoba się ten nefrytowy kielich na mosiężnym trójnogu, cienki, szafirowozielony, z wytłoczonymi

postaciami żółwi i smoków, zaprojektowany w pracowni mistrzyni Rachel Lee™.

Wstaje, b-toothem włącza czajnik i ustawia temperaturę wody pod prysznicem, o cztery stopnie niższą niż zazwyczaj. Kiedy chłodne strumienie spływają po jej pięćdziesięciodwuletnim ciele, twarzy i po czarnych, krótko ściętych włosach, spłukuje mydliny pomiędzy drobnymi piersi i przegląda najświeższe notowania giełd w Pekinie, Tokio, Moskwie, Nowym Jorku i, dla przyzwoitości, w Warszawie.

Sprawdza RSS-y i newslettery, odznacza na później artykuł z „Global Timesa”, w którym z perspektywy Pekinu komentowany jest trzeci kryzys gabinetowy w Brukseli, spór prawny wokół Drugiego Gazociągu Północnego i problemy z powstrzymaniem ofensywy piratów na wodach jemeńskiej Sokotry, w której znów proponuje się NATO chińsko-indyjską mediację w rozmowach z przywódcami Odrodzenia Afryki©.

Zakręca wodę, owija się grubym, miękkim ręcznikiem i wchodzi do usenetu. Dostaje potwierdzenie od Snajpera™, kupiła. I-men przypomina jej o zbliżającej się opłacie za adblockera, potwierdza zezwolenie na dokonanie przelewu. Menadżer pyta, czy zainstalować najnowszą wersję programu. Jowita potwierdza, choć jest zadowolona z tego, jak obecna wersja blokuje nawet najagresywniej sprofilowane reklamy, zwłaszcza te zachęcające do wykupienia abonamentów w profinecie. Ale najlepiej być ze wszystkim na bieżąco, już się tego nauczyła. Do profinetu zresztą nie trzeba jej przekonywać.

Pierwszą informacją wyróżnioną na ogólnodostępnych serwisach jest artykuł o końcu świata. Uśmiecha się i przez b-tootha komponuje w blenderze składniki na śniadanie.

Jowita ma dziś ochotę na rzeżuchę, kiełki sojowe, 150 gramów słonecznika, szpinak, dwie łyżki miodu (standardowe,

14 gramów) i prażoną pszenicę. Czekają, aż urządzenie zmiksuje składniki, zalewa przestudzoną automatycznie wodą zwinięte listki herbaty na dnie kamionkowej czarki w stylu minoyaki i siada przy kuchennym blacie. Sprawdza na domowym menadżerze, czy mąż jest w domu i czy córka wyszła już do szkoły. Jarek jeszcze pracuje, pewnie będzie się kładł dopiero za godzinę lub dwie, w Brisbane jest dopiero 17:00, a jego grupa czasowa nigdy nie kończy o tej porze. Chip Claudii został wylogowany o 7:17. Jowita jest zadowolona.

Przebiega wzrokiem nagłówki usenetowe i duże, krzykliwe animacje, i wreszcie pod wyboldowanym „A czy Ty zdążysz zobaczyć 10 najgorętszych scen z Mirjaną Joković, zanim pochłonie nas zagłada??!” odnajduje przekierowanie do tego samego tekstu o arma-geddonie, tylko w wersji dla profinetu.

Przechodzi pod wskazany adres, sprofilowane przez jej i-mena patche płynnie śledzą zmiany protokołu. U dołu pojawia się znaczek aktualnego abonamentu i pokazuje, za ile dni trzeba będzie odnowić płatności. Niepotrzebnie, Jowita już dawno ustawiła odpowiednie przelewy stałe na jednym z kont. Ogląda jeszcze trzy przepisowe reklamy: ubezpieczeń medycznych, nowego filmu z Mirjaną Joković i prywatnej firmy policyjnej, program do szytywania mikroruchów gałek ocznych uważnie śledzi, czy ogniskuje wzrok tam, gdzie należy, i już jest w środku. Czyta.

... najbardziej interesujące są te komety i planetoidy, które poruszają się po trajektoriach umożliwiającym im zbliżenie się do Ziemi (NEO – Near-Earth Objects). Z wykrytych 6200, około 900 ma średnicę przekraczającą 1 km. Najniebezpieczniejsze z nich są PHAs – Potentially Hazardous Asteroids – które zagrażają bezpośrednio planecie. Kwalifikuje się do nich ciała przekraczające 150 m średnicy, które zbliżają się do

orbity Ziemi na odległość 0,05 j.a., czyli 7,5 mln kilometrów. Obecnie znamy już ponad 1200 PHAs.

Jowita omija przekierowanie do listy asteroidów i animacji z ich prawdopodobnymi trajektoriami.

... Apophis, planetoida odkryta w 2004 roku, jest jedną z nich.

Przeskakuje na podświetlony adres Apophisa. Czyta.

... Apophis w mitologii starożytnego Egiptu był demoneciem ciemności i chaosu, przeciwieństwem boga słońca Ra. Przedstawiany w postaci olbrzymiego węża lub krokodyla nosił imię oznaczające „Tego, który został wypluty”. Jego przeznaczeniem jest zgasić Słońce.

Wraca pod wcześniejszy adres.

... ta mająca 273 m średnicy w najszerszym miejscu asteroida zbliży się dziś do Ziemi. Czy 13 kwietnia bieżącego roku będzie ostatnim dniem naszej cywilizacji?

Jowita ogląda zdjęcia demona ciemności i popija wysokowitaminizowany koktajl z wąskiej szklanki z grubego szkła, rżniętej w liście lotosu. Przeciwwutleniacze ze zmodyfikowanego genetycznie szpinaku zaczynają wyszukiwać i likwidować wolne rodniki w jej ciele.

... planetoida, jeśli nie uderzy, przeleci nad powierzchnią planety bliżej, niż znajdują się geostacjonarne satelity telewizyjne i nawigacyjne, zaburzając ich trajektorie i pracę. Wyliczenia naukowców uspokajają, ale... Jeśli niebo nie spadnie nam na głowy, w najbliższych dniach zaleca się nie zawierać prywatnym GPS-om. Obiekt będzie można obserwować gołym okiem, także w Warszawie, jako punkt o jasności porównywalnej do obiektów o trzeciej jasności gwiazdowej.

... zderzenie z takim obiektem coraz częściej bierze się pod uwagę podczas projektowania przyszłych losów ludzko-

ści. Do największej kolizji naszej planety doszło ok. 4 mld lat temu. Wtedy to większa niż obecnie Ziemia zderzyła się z ciałem o wymiarach Marsa, a z jej zdartej powierzchni uformował się Księżyc. Czy wtedy powstało życie? Przez ostatnie 600 mln lat do zderzeń o mniejszej skali, z obiektami o średnicy powyżej 5 km, z których najmniejszy utworzył krater o średnicy 95 km, dochodziło ok. 60 razy. Zderzenia z planetoidami o kilometrowej średnicy zdarzają się raz na 1 mln lat. Ciała 50-metrowe kolidują z Ziemią raz na kilka tysięcy lat.

... upadek Apophisa wyzwoli energię równą 510 Mt trotylu – nad Hiroszimą wybuchła bomba o wielkości 15 Kt – czyli kilkadziesiąt razy większą niż ta, która została wyzwolona w czasie katastrofy tunguskiej.

Jowita omija przekierowanie na stronę katastrofy i poleca i-menowi, żeby przypomniął jej później link do informacji o grupce zapaleńców, którzy od kilku tygodni zakopują serwery w betonowych schronach w Karkonoszach, żeby ludzkość mogła przetrwać choć w sieci. Jest zadowolona. Wkłada brudną szklankę do zmywarki, robi kilka asan rozluźniających, włącza muzykę relaksacyjną, wczoraj była to ścieżka Wiosna w górach™, więc dziś dla odmiany daje Budzący się las™, i kiedy drgania kości jarzmowej zaczynają przekazywać dźwięki bezpośrednio do ośrodków słuchu, zabiera się do pracy.

Siada na żelowym fotelu, układa się w nim wygodnie, wyciąga oldskulową, zminiaturyzowaną klawiaturę, do której zdążyła się już przyzwyczaić, i loguje się na swoją stronę.

Innego nie będzie™ wita ją animacją wiśniowej lawy, wylewającej się z tła i fosforyzującej na tekst. Dziś już nie robi się takich stron. Nazwa jest oczywiście wzięta z gry.

Jowita czyta komcie pod wpisem o azteckich wizjach końca świata i ich związku z teorią mnogości Bourbakiego,

wywiezioną od diagramów Vienne'a, który w ramach open-source'owego Polymatha dla zgrywy przeanalizowali ostatnio matematycy ze spangielskiej grupy Los Matemáticos de la Muerte, działającej na serwerach z Tijuany. Odpowiada i pisze nową notkę – o końcach świata, które ich nie zabiły od początku roku: budzącym się od kilku miesięcy megawulkanie pod Yellowstone, ewakuacji tamtejszej ludności z Helena City, Cheyenne i Boise, tsunami w Kalifornii, trzecim rozruchu elektrowni atomowej pod Żarnowcem, śniętych żółwiach na Gólsztronie, batalii sądowej w Strasburgu między północnoeuropejską filią Microsoftu a dziewczynami z open-source'owego DálJooge©, kolejnych pożarach w Brazylii, chrześcijańskich fundamentalistach, którzy odpalili Nixona© na serwerach ISRO, dzięki czemu wydobywanie Helu-3 w indyjskiej stacji przez kilka długich dni stało pod znakiem zapytania, a Hindusi szaleli i co chwilę zmieniali cele swoich rakiet, ale żadne z południowoamerykańskich państw roztropnie nie przyznało się do powiązań z zamachowcami, o serii lawin błotnych w prowincji Gansu, w których zginęło prawie 2400 osób – i wstawia animację Wielkiego Grubego Kosmicznego Skurwysyna, który ma pozbawić ich wszystkich życia.

Całość podsumowuje minimalistyczną piktograficzną emotką z serii kaoani zaprojektowanych specjalnie dla niej przez mającą pracownię w Amsterdamie Wong Siu Fung, za które musiała zapłacić wielokrotność trzech miesięcznych zarobków, ale do dziś jest z nich zadowolona. Dzięki info-markerom wbudowanym w ich kod odszukała je już na kilkudziesięciu usenetowych forach, a dzięki temu cudze szperusy z profinetu muszą pozycjonować jej bloga wyżej w prywatnych rekordach. Animacja pokazuje, co będzie się działo w poszczególnych częściach globu, jeśli planetoida

uderzy w określoną lokalizację. Jeśli Apophis zstąpiłby zatem do oceanu, 2280 kilometrów od nabrzeża Bostonu, w którym mieszka Hermiona Kasperchek z web-law.com, generująca 16% komentarzy na stronie Jowity, jeśli planetoida uderzyłaby w ocean w odległości, która w linii prostej dzieli Warszawę od Madrytu, po 17 godzinach Boston zalałaby ściana wody rozpędzona do 120 kilometrów na godzinę i osiągająca 60 metrów wysokości w chwili dotarcia do doków.

... btw, a jak wy spędzicie ostatni dzień swojego życia?

... przeczytamy się jutro?

Jowita blipuje zdjęcie Apophisa na nordikku, skonwertowaną wersję wpisu przepuszczoną przez podstawowego leet-speakera i z dodaną większą liczbą interaktywnych ilustracji, mirroruje na usenecie i zaczyna systematyczne przeglądanie blogów ze swojej grupy rodzinnej.

Rozpala trzy (jeden za miesięczny abonament) i gasi dwa flejmy (za sławę). Jeden z gaszonych rozwija się pod dyskusją o spa-ceadvertisingu i gazowym billboardzie Pizzy Hut™ wyniesionym na 140-kilometrową orbitę przez Rosyjską Agencję Kosmiczną. Komcie o najnowszych próbach rzutowania holograficznego na syntetyczne, biodegradowalne kryształy rozpylane w stratosferze były jeszcze ignorowane przez jej grupę rodzinną, ale link podesłany przez roze luxemboorg© o spocie reklamującym Ziemię kosmitom, który wysła-no w kierunku układu słonecznego 47 UMa, leżącego 42 lata świetlne od Słońca w gwiazdozbiorze Wielkiej Niedźwiedzicy, wywołuje ofensywę.

Roza luxemboorg© pod osobowością Arabelli© należała kiedyś do wrogiego aliansu w Apokaliptice™, jeszcze w czasach Wo'coolskiego©, ale w tym nie byłoby nic dziwnego. Alianse powstają i rozpadają się, wrogości i przyjaźnie na

privach tworzą i rozpadają się, nie jest to nic, czego prawdopodobieństwa nie można obliczyć w symulacjach na popularnych azjatyckich patchach do gry, działających w oparciu o ekstrapolację praw ekonomii, teorię gier i mierność rozgrywki. Najbardziej znani playerzy potrafili zresztą zamaskować swoje osobowości tak, żeby vendetta w RealLifie nie szła przez protokoły profinetu. Ale kiedy roza luxemboorg© zdradziła nawet swoich i zaczęła ninja lootować wszystkich bez wyjątku, za dukaty i prestiż, Wolna Grupa Magdalenka musiała zachować się zgodnie z zasadami i zareagować. Przecież to gra.

Jowita ją rozumie: tak też zdobywa się popularność i szprycuje szperusy rekordami. Na razie jednak jej i-men w symulacjach odradza taką strategię zachowania. Słucha go. Jowita podziwia roze_luxemboorg© i zarazem jej nienawidzi, zgodnie z polityką grupy rodzinnej. Jest zadowolona. Czeka na komentarze pod jej wpisem o Młodej Prawicy na czatliście otwieranej automatycznie z wyśmiewanego usenetowego wolodyjowski.pl, do którego przekierowało ją z wpisu M4nfr3D4©.

Futurologiczne mambo džambo Friedmana przypomniał sobie niedawno usenet, po tym, jak PKB w Turcji wyprzedził znów o kilka punktów wskazania z Brazylii i Francji. Komcie pod tym trupem są passe, ale Jowita jest lojalna wobec swojej grupy, a na hejterzeniu oszołomów z MP zawsze można zarobić kilka wpisów. Zwłaszcza kiedy po raz kolejny odgrzewają stare przepowiednie i znów głoszą Świt Nowej Polski™.

Blipuje na nordikku linki. Zbliża się czas, kiedy będzie musiała oglądnąć kolejne trzy przepisowe reklamy. Rozmasowuje powieki, składa klawiaturę, postanawia odpocząć. Ogląda reklamy. Warszawska Szkoła Pielęgniarek Transkulturowych ogłasza nabór na kolejny kurs. Agencja autocraftin-

gu Tabula Rasa© przekonuje, żeby nie zwlekać i poddać ich treningowi już przedszkolaki, zanim na dobre nie zanurzą się w sieci; mający najlepsze certyfikaty coachowie nauczą je, jak od najmłodszych lat kreować usenetową prawdę i kłamstwo o sobie, co udostępniać oficjalnie, gdzie kształtować świadome przecieki, czego unikać, pod jakimi adresami bywać i gdzie bezwzględnie się nie zapuszczać, jeśli nie chce się w przyszłości paść ofiarą Poławiaczy Śmieci. Hipertekstowy e-book Evelyny Włodarczyk o spływach sieciowych, zaprojektowany na podstawie jej pracy doktorskiej, interesuje ją na tyle, żeby złożyć zamówienie na Babel™. Pakiet danych ładuje się od razu do domowej biblioteczki. Wydaje polecenie i-menowi, żeby przypomniał jej o tym wieczorem. Interfejs miał już wystarczająco dużo czasu, żeby po zestawieniu zegara z markerami melatoniny w jej krwi i spadkiem aktywności fal mózgowych zdążył zdefiniować „wieczór”.

Robi sobie wolne. Kombajn serwuje endorfiny. Jowita zmienia playlistę (teraz guzheng i przesterowane elektronicznie smyki), przeciąga się jak kotka, niczym rewolwerowiec wysyła b-toothem do czajnika polecenie zagotowania wody i z chemicznym uśmiechem dmucha na końcówkę złożonych jak do strzału palców. Zmienia okno, ale nie wychodzi z profinetu, i z przyzwyczajenia przegląda usenetowe fora.

Dwa są o chińskich antykach, jeden o współczesnym azjatyckim pop-art-deco, oczywiście zahacza o Apokaliptika.com, trochę uważniej śledzi niedoczytane wątki na Legislatorze©, zwłaszcza wpisy o obostrzeniach prawnych spawn campingu w MMORPG-ach na serwerach umieszczonych w Europejskiej Strefie Bot-Netowej i o znanych przypadkach kradzieży Osobowości Sieciowej. Jowita ma niewiele romanсів w RealLifie, te z Apokaliptiki™ są i tak ogólnodostępne dla

wszystkich zalogowanych, freeware ściąga jedynie z pewnych źródeł, w których to na pewno freeware, pilnuje się, żeby nie mieć więcej niż trzech spraw o searching na granicy prawa w jednym czasie i nie urządza orgii z grupisami, nawet w ekranowanych pomieszczeniach, bo zawsze znajdzie się sposób, żeby zrobić z tego nagranie, ale i tak ubezpieczyła swoją Jowitę© zaraz po tym, jak w usenecie wypłynęły fikcyjne dzienniki Jaydena S., skompilowane z obserwacji jego ruchu sieciowego przez albańskich hakerów, a sam J.S. przez trzy tygodnie działał jako bot, dysponując hasłami, kontami i osobowością zaprojektowaną na podstawie mapingu sieciowych przyzwyczajień ofiary. Nikt w jego grupie rodzinnej nie chciał potem dochodzić, czy ich kody dostępu sprzedawał on, czy zbotowany avatar. Takiego końca świata Jowita boi się najbardziej.

Znajduje ją usenetowy news o brutalnych zabójstwach w Warszawie. Krew w animacji spływa fraktalem pikseli. KeosMaker™

modeluje jej w czasie rzeczywistym nowe osobowości, do których z szablonów tworzy fikcyjne adresy i blogi, przyporządkowuje im grupy sieciowe i najczęściej odwiedzane miejsca. To niezbyt wyrafinowany kamuflaż, ale na usenet najczęściej wystarczy, poza tym dziewczyny z KeosMakera™ mają bardzo dobre stawki abonamentowe i robią niezłe aplikacje do patchów na szperusy, kiedy samemu potrzebujesz przełamać zabezpieczenia FogMista™, Camouflage'a™ czy Pop-Mixa™, kreującego nakładki osobowości na znanych celebrytów profinetu, czy innego programu do generowania sieciowego drugożycia.

Czyta.

... ofiary, Jolanta i Alosza K., Jowita wchodzi na przekierowujące do nekrologów adresy, sprawdza ich zestawy nic-

ków, powiązania rodzinne i to, jak bliskich mają wspólnych znajomych, zostały znalezione w swoim apartamencie w podwarszawskim GreenParku.

Ogląda zdjęcia z egzekucji, ślady kul na seledynowej ścianie i mono-chromatyczną animację z wizji lokalnej, stonowaną i nierealistyczną, żeby wygrać ewentualne procesy wytoczone przez krewnych. Alosza K. był szanowanym w swojej grupie konsumenckiej BitSupervisorem, popularnym SB-kiem, odpowiedzialnym w północnoafrykańskiej filii Chi-na Exim Banku© za wdrażanie nowych zabezpieczeń aplikacji płatniczych. Ciała syna zamordowanych, czternastoletniego Marcusa K., do tej pory nie odnaleziono.

Jowita pisze priva do męża, który znał Aloszę K. w pierwszym węźle.

(2¥74£3ś 70 już m0ż3?

I podsyła przekierowanie pod adres z materiałem. Nie wyłącza hardkorowego leet-speekera, przez który komunikują się od ich pierwszej wspólnej grupy dyskusyjnej wokół szwajcarskiego Le Loisirs Trust©, który jako pierwszy zaczął europejską kampanię na rzecz freeware'u i rozpowszechnienia New Network Economy w oparciu o abonamentowane creative commons 2.0. Jowita świetnie pamięta, jak Jarek wtedy tego nie lubił. Podczas ich pierwszej wspólnej kolacji, w Real-Lifie, jeszcze nie w realu, napisał na swojego i-mena prostego patcha deszyfrującego, którego nie sformatował do dzisiaj, choć nie musiał już go odpalać.

*pr2¥|\ '7br0 m1, J4r3|\ '7b. f4|\ '7b|\ '7b, Đ0|\ '7bqĐ 73n
św147 2m13r24, \$|\ '7b0r0 n4w37 w h3rm37¥(2n¥m
9r33nP4r|\ '7bμ Đ0(h0Đ21 Đ0 74|\ '7b1390*

\$¥fμ???? |\ '7b00rv4 m(. pr2¥|\ '7br0 m1, |\ '7b0(h4n13

Dopiero po chwili Jowita sprawdza godzinę. Jarek już

pewnie śpi. Wysłała mu privem swoje nagie zdjęcie i życzy dobrych snów.

Do brzości h \$nów, | \ '7b0wb0jμ

Zagotowuje jeszcze raz wodę w czajniku i tym razem wstaje, żeby zaparzyć sobie herbatę. Kombajn w tle serwuje syntetyki kofeiny. Nalewając wodę do czarki, Jowita sprawdza jeszcze długość abonamentu w Spartakkusie©, prywatnej firmie policyjnej od dwóch sezonów najpopularniejszej w lewobrzeżnej Warszawie.

Wysłała priva do Claudii *Jak w szkole? EMML* i na szkolnym koncercie rodzica sprawdza, o której córka zalogowała się w budynku.

Wedle wskazań powinna mieć teraz polski. Jowita pije gorący napar o słomkowej barwie, przekierowuje się i dzięki kluczowi zhakowanemu przez M@riolkę©, znajomą z grupy rodzinnej, która napisała specjalny algorytm podpinający ją pod cudze konto, wchodzi na zamknięte profinetowe forum BludLustu©.

Claudia postuje tam i tylko tam pod nickiem Roquelaure, a Jowita jako matka zamierza poznać ją dzięki temu bliżej, tak jak nie można nikogo przeniknąć tylko dzięki szybkim komciom na usenecie i przemyślanym wpisom w profisferze. Martwi się o córkę, przy najbliższej okazji musi z nią delikatnie porozmawiać, żeby zawsze, nawet na szyfrowanym forum, ubezpieczała nicka. Patch M@riolki© maskuje ją jako bota jednego z legalnych członków grupy rodzinnej użytkowników forum. Jowita kocha swoje dziecko i jest dobrą matką.

Przeogląda nowe posty, wraca do starych wątków. Stara się zrozumieć. Przewija odpowiedzi, przeskakuje wpisy, śledzi drzewka komentarzy. Czyta.

... derwisze muzułmańscy, nazywani „zabójcami wam-

pirów”, posiadali moc zabijania wampirów mniejszych. Nosili metalowy pręt zakończony ostrym kolcem (*shish*). Jak wierzą muslimy, osoba urodzona w sobotę posiada dar widzenia duchów, zjaw i rozpoznawania wampirów.

... Germanie obsypywali groby makiem, Szkoci zabijali wampiry surowym żelazem, jeszcze nie przetopionym, albo, koorva, wkładali między zęby trupa... cytrynę.

... chińska odmiana wampirów to Jiang Shi (w pinyinie „jiāngshī”). Od wampirów europejskich różnią się wyglądem, ale nie upodobaniami: do przeżycia i uzyskania nieśmiertelności też potrzebują esencji znajdującej się w ludzkiej krwi.

... thosnek rules! :[

... Top Ten Vampire Movies.

... widzieliście Mr Vampire 2?? Ching-Ying Lam jako kapłan upierdala doopsko! :[[[[Beka, koorva, i strah, ale przecież dla sanga to norma, don't you?

... hipster bullshit!

... fakking qusiba

... well

... najlepszy jest „Martin”, od tego się zaczęło. Zapraszam do mnie, mam to wszystko zarchiwizowane pod SchoolUserem, można oglądać do woli.

Jowita nie przekierowuje adresu. Czyta dalej.

... tylko w celach edookacyjnych, koorva, sie wie ;[

... Romero, koorva, kick ass!

... pierdolish jak wąsaty wampir :\'7b[.

Ale nikt nie daje się złapać na flame rollera rzucanego z automatu przez zabłąkanego conversatora. Jowita zmienia wątek. Hermetyczne forum powinno mieć jednak lepsze walle na takie proste speak-boty.

... Dragonfly™ we Wrocławiu, jes, jes, jes! Dawno u nas

nie grali!

) (
--^^^
" " " "

Jowita omija animację i zawęża nieprzeczytane tylko do tematów, które najczęściej śledzi Roquelaure.

... Związki.

... czy przeznaczeniem sanga jest samotność? Czy macie partnerki *partnerów tej samej rangi* rasy? Czy wampir może też związać się ze zwykłym śmiertelnikiem? Jakie są wasze doświadczenia?

... jak się wyrzeka miłości, to się niczego nie żałuje i nic ci potem nie brakuje. To zabobony i przesady zwierząt. Przy chrzcie umiera dawne ty, które pragnie bliskości drugiej osoby i miłości, a rodzi się sang. Wyzwól swoją nienawiść.

... moim zdaniem wszystko zależy od przyszłego partnera.

Musisz po prostu znaleźć tego kogoś. Jak sama wiesz, bez problemów uwiedziesz tę osobę.

... wampir pogardza ludźmi, którzy go otaczają. Społeczeństwo i jego zasady są mu obce.

... pierdolish :[a świeżynki rh byś nie pochłeptał?

... stylizacja na alienację jest chuj-passe. To przestarzała bajka z gotik anime.

... a nie wiem, nie wiem, szczerze mówiąc... Jak jest z emocja-mi wampira? Następuje wzmocnienie czy osłabienie uczuć?

... uczucia, koorva, są dopiero chuj-passe :[[[[[[[[

... wampir może być z kimkolwiek, jeśli ten ktoś zaakceptuje go takim, jaki jest. Bez tej wiedzy o sobie związki szybko się kończą.

Chyba się nie wstydzisz tego, kim jesteś?? Pozdrawiam.

... fakk, ale szit. Posłuchajcie siebie. Chcesz brać, bierz. Chcesz dawać, dawaj. Ale komu? Zwierzętom, robakom, ludziom? Pan nie może jeść mięsa z dłoni chłopca, pies nie dostąpi zaszczytu wysłuchania grzechów pana. To, koorva, koniec świata. Sang to zwieńczenie ewolucji, nowy gatunek człowieka – nie avatary, nie speak-boty, nie kryształowe brainsymy mające przekopiować człowieka w RealLife, na wieczne wsieciowstąpienie, nawet nie członkowie twojej web family. Ty sam jesteś swoją grupą rodzinną. Ty, ty, ty. JA. Koorva. Reszta to kurz na wietrze i krwawy ochłap do zabawy. Żebyś mógł ich omamić. Żebyś mógł ich opętać. Żebyś się mógł napić.

... Bloooooo!!!!!!!

Nie przerywając czytania, Jowita wstaje i z szafki nad nieużywaną nanodrukarką prostych potraw w kuchni, hicie jednego sezonu, wyciąga hermetycznie zapakowaną paczkę z suszonymi solonymi śliwkami. Rozrywa opakowanie i wciąga przyjemny, mocny zapach.

Je, czyta. Patche korektorskie wyłapują największe błędy w postach i poprawiają je w czasie rzeczywistym, tak żeby w ogóle to zrozumiała.

... Dawca.

... anyone, młodzi? Ktoś chce poczuć w sobie prawdziwą pytę?

... fakk, koorva, man. Spierdalaj.

... szukasz mięsa, wyjdź do klubu, na ulicę, zbajeruj jakiegoś w RealLifie. To ty nimi rządysz, więc jaki problem?

... qusiba. FYATHYRIO

... a ja z chęcią podzielę się swoją krwią :[[Ale oczywiście z wzajemnością. Jak sang do sanga.

... priv?

- wykształcenie wyższe (informatyka, telekomunikacja)
 - praktyczna znajomość elektroniki (zagadnienia wireless, microwaves, radiocommunication)
 - znajomość Lotus Domino R10/1/6
 - doświadczenie inżynierskie w zakresie Radio Frequency – wiedza z zakresu technologii sieci mobilnych, ze szczególnym uwzględnieniem interfejsu radiowego, architektury i protokołów systemów sieci mobilnych
 - umiejętności przygotowania i prowadzenia prezentacji
 - wiedza na temat przetwarzania sygnałów cyfrowych – znajomość pakietu MatLab™
 - znajomość oprogramowania i techniki modelowania systemów (UML, MSC) – minimum trzyletnie doświadczenie na podobnym stanowisku – doświadczenie w pracy z API, protokołem SOAP oraz językiem WSDL
 - kilkuletnie doświadczenie we wdrażaniu systemu SAP w obszarze SD i / lub utrzymywaniu oraz rozwijaniu systemów SAP
 - doskonała znajomość procesów biznesowych w obszarze SD
 - umiejętność analizowania dokumentów technicznych
 - praktyczna wiedza z zakresu kryptografii – doświadczenie w pracy z Oracle© v16
 - doświadczenie w instalacji HACMP i produktów Tivoli™ (Framework©, Netview©, Omnibus©, ITM©)
 - szczegółowa znajomość zagadnień z zakresu ryzyka rynkowego, kredytowego i operacyjnego – potwierdzony badaniami w autoryzowanym ośrodku stan zdrowia
 - prawo jazdy kat. B
- Claudia sprawdza, jakie mają dziś jeszcze lekcje: bez-

pieczeństwo sieciowe, WOS połączony z e-prawem, matematyka, biologia z zapowiedzianym testem z bioetyki i researching zasobów archiwalnych. Odrzuca trzy zaproszenia do RealLife'u od dwóch dziewczyn i chłopca z klasy wyżej, jedno przyjmuje i podpiną pod kalendarz na przyszły tydzień. Czyta newsa o dzisiejszym końcu świata, ogląda mix tubek z weekendowych imprez jej grupy rodzinnej, zestawiony przez i-mena na podstawie tego, co na takich filmikach lubiła oglądać wcześniej, ggada na ten temat chwilę w realimie, przelatuje wzrokiem po informacji o morderstwie w najdroższym GreenParku w Warszawie, strzepuje dłońmi dla usunięcia z organizmu negatywnej energii i wylogowuje się razem ze elektronicznym świergotem dzwonka, emotką belfra na siatkówce i automatycznie zapadającym blackoutem na sieci zewnętrzne.

Wchodzi do klasy, ziewa, siada na parapecie i wpatruje się niewidzącym wzrokiem w widok za oknem, w wysokie siatki ogrodzenia i wygaszone teraz, mocne halogenowe lampy nad boiskiem.

Magister Lwitu Moyo Muasso wita się ze wszystkimi, nie zwraca uwagi na odpowiedzi uczniów, celowo naśladowujących jego akcent, patrzy tylko beznamiętnie w kąt sali, gdzie miga ślepa dioda nagrywającej lekcję kamery, i zgodnie ze wskazaniami obecności chipów rozsyła im na szkolnego priva dzisiejsze zadania. Claudia dla wygody wyświetla sobie klawiaturę, gdyby chciała coś przekopiować do katalogu podręcznego albo odznaczyć komentarzem, zapuszcza zhakowanego soundplayera, działającego pod protokołem szkoły jako zwyczajny e-słownik, słucha w tle nauczyciela i zaczyna czytać nadesłane materiały.

... sieć IP jest relatywnie prosta, ale dodanie nowej funk-

cyjności czyni ją bardzo złożoną. Wymaga to także wprowadzenia nowych architektur, takich jak DiffServ (Differentiated Services) oraz NGN (Next Generation Network). Ponadto powszechnie stosowana wersja protokołu IP musi być w niedalekiej przyszłości zastąpiona nową, co z kolei wynika głównie z konieczności zwiększenia puli adresowej.

... urządzenie RM ma informację o domenie – jej topologii, routingu, dostępnych zasobach. Informacje te zbierane są w bazie danych. Do realizacji warstwy niższej wprowadzono urządzenie RA (Resource Allocator), którego zadaniem jest sprawdzenie dostępności zasobów na poszczególnych łączach w domenie i na łączach między-domenowych. W zależności od użytej techniki sieciowej, np. WiFi czy też UMTS, rozwiązania RA są różne. Aby zrealizować system EuQoS, konieczne było wyspecyfikowanie i zaimplementowanie rozszerzonych wersji takich protokołów jak: EQ-SIP, EQ-BGP (Enhanced Border Gateway Protocol), EQ-NSIS (Enhanced Next Steps in Signaling) i COPS (Common Open Policy Service Protocol). Protokół EQ-SIP jest przeznaczony do sygnalizacji użytkownik – sieć.

... system EuQoS jest dziś już nieco przestarzałą, ale sprawdzoną implementacją architektury NGN. Zaproponowano też różne inne architektury: biblioteki sieciowe świadome przesyłanej treści (Content Aware Networks), interfejsy API (Application Programming Interface) czy sieci wirtualne VN.

To wszystko są informacje ogólnie dostępne w domenie publicznej, ale Claudia i tak robi zakłady. Kiedyś arystokraci dziedziczyli po krwi, dziś zdobywają pozycję po krwi i memach. Claudia lubi wiedzieć i mieć więcej niż inni. Lubi być lepsza. Jest lepsza. Muasso wysyła im kolejne pliki i prosi, żeby je skatalogowali, przydadzą się na kolejne lekcje. Claudia

sprawdza, ile czasu zostało im do końca.

Nauczyciel rozsyła priva z przykładowymi patchami na dopasowanie botów do różnych protokołów. Teraz będzie o zagrożeniach. Claudia kopiuje dane do notebooka i wchodzi do szkolnej sieci pod wskazany przez prowadzącego adres. Za oknem zrywa się gwałtowny deszcz i po kilku minutach gaśnie. Zza mglistych chmur wychodzi palące słońce, Claudia czyta.

... mało kto dopuszczał realną możliwość istnienia wirusów komputerowych, nad którą spekulowano w czasopiśmie naukowym w 1984 roku. Sytuację zmieniła pierwsza infekcja wirusowa na wielką skalę, która przeszła przez Stany Zjednoczone dwa lata później. Infekcja, spowodowana przez wirusa Brain, wywołała sensację w środkach masowego przekazu, ale nie została potraktowana jako pogwałcenie prawa. Było to jeszcze na długo przed ustaleniami II Konwencji z Oslo.

... jednym z pierwszych szeroko poznanych robaków był Christmas Tree Worm, który rozpowszechnił się w komputerach EARN (European Academic Research Network) i wewnętrznej sieci IBM. Został on wypuszczony 9 grudnia 1987 roku i zaatakował w następnych dniach. Christmas Tree został napisany w REXX-ie i mógł

rozprzestrzeniać się na instalacjach VM / CMS. Wyrysowywał na ekranie choinkę bożonarodzeniową, rozsyłał się do wszystkich korespondentów użytkownika wymienionych w jego plikach NAMES i NETLOG, a następnie kasował.

Claudia przechodzi pod wskazany adres z prościutkimi kodami Braina i robaka świątecznego. Lubi historię. Wraca i sprawdza dalej. Czyta wszystko.

... jedna z możliwości ataku bombą logiczną: jesteś pro-

gramistą obsługującym listę płac. Aby zagwarantować sobie ciągłość za-trudnienia, w architekturze sieci biurowej firmy umieszczasz prymitywnego search-bota, maskującego się przed firmowymi firewallami i sprawdzającego co miesiąc, czy twoje nazwisko występuje w pliku listy płac. Jeżeli występuje, nie dzieje się nic. Jednak gdy program nie odnajduje nazwiska, interpretuje to jako skutek zwolnienia z pracy i uruchamia swój kod. Pliki na dyskach twardych firmy ulegają zniszczeniu, a uruchomiony wirus zostaje rozesłany na priva do wszystkich członków zarządu firmy, figurujących w bazach adresowych znalezionych na serwerach. Zadanie: przedstaw sposoby przeciwdziałania podobnemu atakowi, następnie wymień sankcje prawne grożące podobnemu działaniu w Północnej Strefie Europejskiej w świetle ustaleń II Konwencji z Oslo.

...

Tabela 1. Daty uaktywnienia niektórych historycznych wirusów

Nazwa	Data
wirusa	uaktywnienia

Efekt uboczny

5120

po 1 czerwca 1992
Obcina zainfekowane programy
Casino
15 stycznia,
kwietnia, sierpnia
Niszczy pliki FAT
Christmas
Tree
19 grudnia
Wyświetla komunikat
Datacrime
13 października
Formatuje dysk
Durban
sobota, 14
Zapisuje kasująco pierwsze 100
sektorów
Faust
13 dzień miesiąca
Wyświetla komunikat, zawiesza
komputer
Jerusalem
piątek, 13
Usuwa programy, gdy są
uruchamiane
Maltese
1 listopada, 15
Amoeba
marca
Zapisuje kasująco 120 sektorów

Matrix

31 marca

Wyświetla opadające litery

... Conficker, znany także jako Downup lub Kido, to jeden z groźniejszych wczesnych robaków komputerowych. Zaatakował w październiku 2008 roku. Wykorzystywał znane luki w zabezpieczeniach platformy systemowej Windows Server oraz różne usługi składowe, używane w systemach Windows 2000, Windows XP, Windows Vista, Windows Server 2003 i Windows Server 2008. Robak wykorzystywał specjalnie spreparowane żądania RPC wykonania kodu na komputerze docelowym. Do czasu wypuszczenia skutecznych patchów zainfekował ok. 17 mln użytkowników na całym świecie.

... SQL Slammer to robak, który 25 stycznia 2003 roku zainfekował serwery Microsoft SQL. Jego cechą szczególną była niespotykana szybkość rozprzestrzeniania się. Tempo podwajania liczby zainfekowanych komputerów wynosiło ok. 8 i pół sekundy, w porównaniu z 37 minutami w przypadku Code Red. Claudia nie sprawdza po-danego adresu i czyta dalej. Ponieważ dziura wykorzystywała pakiety UDP zamiast bardziej tradycyjnych TCP, pojedynczy pakiet mógł przejąć podatny komputer, a ponadto robak nie musiał śledzić losu wysłanych pakietów. Claudia sprawdza szczegóły. Ten sposób działania umożliwił robakowi generowanie gigantycznego ruchu w sieci, rzędu wielu gigabajtów na sekundę.

... Montezuma's Revenge po raz pierwszy uderzył 21 grudnia 2012 roku, żeby potem uaktywniać się w każdą okrągłą rocznicę.

Ostatni atak został zmodyfikowany do kodów personalnych information-menagerów. Po zainfekowaniu systemu Montezuma wyłącza szereg usług systemowych, a później łą-

czy się z serwerem, skąd pobiera dane osobowe, nakłada reklamowe patche i instaluje złośliwe oprogramowanie. Robak ma możliwość podczepiania się pod niektóre procesy systemowe, takie jak: svchost.exe, explorer.exe i services.

exe. Wirus korzysta z różnych adresów IP, co uniemożliwia jego zablokowanie.

... do najczęstszych ataków sieciowych należą ataki typu Flood – jest to wielokrotne wysłanie tej samej wiadomości lub wielu różnych wiadomości w bardzo krótkich odstępach czasu. Flooding może występować w programach komunikacyjnych używanych przez ludzi, search-boty, jak i na poziomie protokołów sieciowych.

... masowe wysyłanie określonych pakietów może służyć w protokołach komunikacyjnych do ataków typu DDoS (Distributed Denial of Service). Przykładowymi atakami tego typu są ping floody oraz SYN floody. Wiąże się to z tworzeniem spamerskich sieci zombie, wykonujących zaprogramowane odgórnie polecenia. Taki właśnie atak z sieci zombie, utworzonej z komputerów użytkowników działających głównie na dalekowschodnich serwerach z Medanu i Manili, był w ostatnich trzech latach przyczyną likwidacji baz Osirusoftu©, Delink©, Monkeys© i Compu.net© oraz kłopotów SORBS, OpenRBL i SpamHausa©. Podobne ataki zmusiły także Microsoft™ do rozproszenia ruchu jednej z witryn firmy za pomocą systemu ofe-rowanego przez Akamai©, co spowodowało plotki, jakoby MS używał systemu Linux™ na swoich serwerach. Do dziś toczą się w tej sprawie cztery niezależne postępowania sądowe przed trybunałami Los Angeles, Pekinu, Sydney i New Delhi. Podobny zombie-atak był prawdopodobnie także przyczyną gigantycznej awarii na Tamie Trzech Przełomów i w elektrowniach na zachodnim wybrzeżu USA.

Działanie to figuruje w opracowaniach przedmiotu pod zwyczajową nazwą EndOfTheWorld.

... dziś najgroźniejsze są wirusy atakujące gridy sieciowe (Open Grid Services Architecture, Open Grid System Infrastructure oraz Web Services Resource Framework) – podpięte pod prywatnego i-mena systemy Menadżerów Domowych, lodówki, pralki, prysznice, kuchenne utensylia, systemy sterowania samochodów, wreszcie, najgroźniejsze, prywatne Medical Combines. Sprawcą właśnie takiego ataku był daysafter, który rozregulowywał zainfekowane „kombajny”, w wyniku czego ich użytkownicy zmieniali się w osobniki apatyczne lub nienaturalnie pobudzone, emocjonalnie rozchwiane (od skrajnej radości do ciężkich przypadków samobójstw z powodu depresji), w najtragiczniejszych przypadkach zamieniając się w agresywne, nieczułe na ból „zombie”. Najgroźniejszych trzeba było usypiać i w najdrastyczniejszych przypadkach chirurgicznie usuwać zainfekowane stymulatory. Zmarło wtedy ok. 6 tys. osób na całym świecie – zarówno samych zarażonych, jak i ich ofiar – a osoby odpowiedzialne za wypuszczenie robaka do usenetu, mimo młodego wieku, po dwóch miesiącach procesu zostały w Pekinie publicznie rozstrzelane.

Claudia ogląda zdjęcia z egzekucji. Pan Muasso rozsyła im jeszcze adresy z usenetu do przeglądnięcia w domu, żeby wstępnie zaznajomić się na następną lekcję z tematem wojen informatycznych, od rosyjsko-estońskiej i rosyjsko-gruzińskiej, przez pirates guerillę prowadzoną przez Le Loisirs Trust przeciwko Brukseli, kiedy broniono CC i swobody poruszania się po sieci, i po której poczyniono pierwsze oficjalne kroki do uruchomienia profinetu, po terrorystyczne ataki na Izrael i Dubaj, dwie wojny tybetańskie, trwający ghostwar amerykańsko-chiński i chińsko-indyjski i ich konsekwencje prawne,

zwłaszcza ostatnich starć wrogich zombie-netów.

Gasi klawiaturę i razem z sygnałem końca lekcji wychodzi z klasy, żeby w spokoju przeglądnąć nowe komcie pod dostępnymi w szkole adresami usenetu. Nikt nie napisał nic ciekawego, siada zatem w kącie, wyświetla przed oczami klawiaturę i zaczyna palcami tańczyć w powietrzu. Jeszcze nie wie, czy pokaże komuś tego webmurala.

... .' .-' `-. ,/.' `-. \ \

,.' .*"-.\; ,.-"*-.-.'` .
/.'`'``'.\ \

/ ` `:\`
:;` \;|

||;.` \

:||` ;|@

\|||.d\$\$\$s.s\$\$\$b..:``;|' `Tb._.dP' `*| :.``:| Ts' `sP' ;| ,.
/ ,; ."s**s.`.s**s`. :_-;' \
 ,/;: \ ss \ ; / ss / +: \ .
 ` : : , . * ; ; ,

\.; `.* /
\ ;:::/
`_.: -*\$\$#-;_.'
* ;: \

* ;: , : ` \

` _.*' , \ \
 . " , ; .
 \$ \ / . : / \ \ . ' - " * - - * " - \ . / ` \

` _ _ _ _ _ _ ` . ; ; ; ; \$; | | | | . ' | | , : ` . | | * - - - - * ' | | . ' | ; | : | ` . V
V . ' | : . \
: ` . ' : , , `

, ` - . ' , \ ` |

, ` _ * ` . \ : _ ' : . , _ - * ' ` _ / : | : ; Jowita kończy medytację, otwiera oczy i przestaje wyrysowywać z pamięci najprostsze sieciowe murale. To dobre ćwiczenie i jest odprężona. Wstaje, wyłącza b-toothem Og@odnika i sama podlewa długie rzędy zieleniejących się bambusów, stojące w gabinecie, salonie, kuchni i jadalni. Sprawdza, która godzina jest w Nuku'alofie i wysyła priva do Hinetitamý©. Grająca tym razem pod tą OS Emily Mutalala Mahu'inga już czeka. Czas popracować.

Jowita ściąga gogle i uruchamia kapsułę, biała powierzchnia owalnego gameroomu błyszczy antyseptycznie i pasuje wystrojem do wnętrza gabinetu. Jowita siada wygodnie, trzy ekrany przed nią rozjarzają się logo Apokaliptiki™, bezszelestnie spuszcza uniesione drzwi, jak skrzydło ptaka, i wyłącza światło. Żelowy fotel dopasowuje się do kształtów jej ciała, dysze w rogach zaczynają pompować delikatną mgiełkę zapachu. Choć to już tyle lat, dalej czuje dreszcz, kiedy dociera do niej egzotyczny zapach obcego świata, metaliczny posmak smaru miesza się z drażniącą nozdrza wonią przypraw.

Pierwszą wersję Innego nie będzie: Apokaliptika™ wypuszczono na rynek w piątą rocznicę zamieszek w Meksyku z 2012 roku.

Grę reklamowano jako Fallout™ na sterydach i rzeczy-

wiście, liczba końców świata, które można było w niej odegrać, przeżyć, zainicjować czy powstrzymać, biła na głowę wszystko, co w MMORPG wymyślono do tej pory. Kolejne edycje i dodatki tylko to potwierdziły. Od wojen, obejmujących losy kontynentów, po fabuły globalne, wciskanie czerwonych guzików spuszcających zimnowojenny atom, inwazję obcych, bunt przyrody, od walki z deszczem meteorytów po globalne zlodowacenie, ocieplenie, wybuchy wulkanów, informatyczny potop, groźne wirusy, cyberzłodziei, krach ekonomiczny, moneywars, od rozpadu więzi międzyludzkich po starcia z mutantami na poatomowej pustyni i pojedynki w wirtualnym świecie, do którego przeniosło się życie. Wszystko w niezliczonych wersjach, w niezliczonych odmianach, nowych odgałęzieniach, kolejnych wariacjach. Świat Apokaliptiki™ mieścił w sobie settings postapo, kosmiczne, steampunkowe dark future, dodatki dark fantasy sąsiadujące z cyberpunkowymi cyborgami i ponadnarodowymi korporacjami szykującymi informatyczny blackout; marines z Warhammera walczących z Krzyżowcami.

Jowita, teraz już Duchessa©, loguje się w zonie Angkoru, który nie upadł w XV wieku i rządzi w nim triady. Zawsze w takich chwilach dziękuje binarnym bogom sieci za prawo do wykorzystania nazwy gry, które udało jej się zdobyć, kiedy dwa lata temu, na trendzie nakręcania dodatków narodowych, na rynek wchodziły „Polish Ways of Life and Death: With Fire&Sword&Train™”. Steampunk po polsku szybko zdobył grono niezbyt licznych, ale zagorzałych zwolenników, zwłaszcza w Azji i republikach chrześcijańskich Ameryki Południowej, wciąż pamiętających papieża Polaka. Jowita gra różne scenariusze, ale zarabia najczęściej w dopalanej etherem Łodzi. Cieszy się ze swojej niszy. Przyzwyczała się do enpeca

Wokulskiego, pruskiej magii plemiennej, guseł litewskich szyfrowanych w archaicznym HTML-u, fanatyków Słowackiego, Wolnego Państwa Ducha Towiańskiego, derwiszy Mickiewicza, mesjanizmu, uliczek 3D z *Ziemi obiecanej* i *Trędowatej*, wehikułów czasu Geista, a nawet dodatku Miasto-Masa-Maszy na™, rozgrywającego się pod szklanymi kopuła-mi COP-u i w parowej Gdyni futurystycznych golemów.

Hinetitama© po drugiej stronie globu loguje się razem z nią.

Jowita ma kilka alterów, krasnoluda-hutnika z Cegielskiego, którym gra jako tankiem, muła, którym jest ogr chodzący pod pół-botem, Czarodziejkę-mesmerystkę, Łuczniczkę z Kentucky Rifle o lufie po-krytej płonącymi runami. Była już raid bossem, prowadziła warbandy, liderowała legionom, zarabiała jako witch hunter, za Real Money likwidujący szczególnie uciążliwych player killerów, kilsła cudzych mobów, powerlevelowała w obstawach mainów nieźle płacących newbiesów, farmiła, kampała, lootowała, łupiła skurwieli; przeżyła wipe swój i kilku swoich grup; teraz grinduje Duchesse©.

Grają, niszczą alianse, wchodzą w sojusze, lootują geld, śrubują skille, kochają się w opuszczonej kopalni, w błękitnej poświacie dożarzających się etherowych stosów, kombajn serwuje endorfiny do krwi. Zamówienie na doskillowanie Duchessy© złożył jej przez Emily prezes z Neapolu. Jeszcze trzy takie wejścia jak to dzisiejsze, oblicza, a będą mogli zmienić logi. To oficjalnie wciąż nielegalne, ale też lepiej działać na granicy prawa, niż być prezesem dostającym w dupsko od podwładnych na integral game party. Jeśli jeszcze uda jej się sprzedać za reale Miecz Jaćwingów i Piec Martenowski, który dziś skompletowały ostatecznie, to ten miesiąc już będzie mo-

gła zaliczyć do udanych. Zamówienia znalazła przez Apokaliptikę.com, o zbyt się nie boi. Ma dobre patche szyfrujące i umie zachować umiar, więc jeszcze nikomu nie zechciało się jej naprawdę namierzyć.

Z oberżniętego sztucca Gerarda, który zdobyła w Powstaniu Styczniowym™, pięknym dodatku, zabija napalonego nooba, który zalogował się dziś w Apokaliptice™ pierwszy raz od zera, od początku szukając fightu, i z przyzwyczajenia zabiera mu skromny ekwipunek. Dysze gameroomu pryskają drobnymi cętkami na twarz, kiedy kule sięgają celu i na ekranach pojawia się krwawa chmura. Widać znudzony pracownik sektora bankowego w Berlinie albo Tiranie leczył samobójcze myśli w godzinach pracy. Jowita jest zadowolona, jeśli mogła pomóc, specjalnie załadowała sztucer grubo ciosanym śrutem.

Etherowe powidoki rozplývają się na trzech ekranach, szkarłat krwi mieni się i opalizuje w gasnącym blasku. Jowita wdycha zapach ozonu rozpylanego z dysz, żegna się z Hinetitama© i wylogowuje. To tylko praca.

Jest głodna. Sprawdza godzinę, rezygnuje z podkręcenia kombajnu. Syntetyki są dobre, ale nie mają smaku. Wychodzi z gameroomu, zakłada gogle, łączy się z Wookiem©. Strząsa dłonie, zastanawia się i wreszcie z menu restauracji wybiera pierożki dim sum, faszerowane grzybami shiitake, pędami bambusa i kiełkami sojowymi, doprawione mocno imbirem, czosnkiem i olejem sezamowym, dwie wegetariańskie bułeczki xiaolongbao, butelkę mrożonej zielonej herbaty, a na deser papierową torebkę smażonych w karmelu czarnych świerszczy *Gryllus bimaculatus* i kandyzowaną pałeczkę trzciny cukrowej. Jowita prosi, żeby obiad dowieźli jej za półtorej godziny, i dokonuje przelewu. Xie Xie.

Ściąga podkoszulek, zmienia playlistę, wkłada prze-

wiewny bawełniany strój do ćwiczeń i idzie do siłowni. Uru-
chamia na klimatronixie program Lekki Letni Wiatr™, przez
chwilę odpręża się w asa-nie Trójkąta, a potem rozpoczyna
pierwszą sekwencję ćwiczeń tai chi.

Ruchy są wolne, wyważone, dokładne, Jowita przymyka
oczy, kontroluje oddech i ćwiczy tak, jakby w dłoniach trzy-
mała krótki miecz z szerokim ostrzem, zakończony czerwoną,
miętko falującą w powietrzu kitką. Posiłki od Wookiego© są
za dobre, żeby mogła z nich zrezygnować, ale wieczne życie i
młodość reklamowane w usenecie nie przyjdą do niej same.

Claudia wychodzi ze szkoły po ostatniej lekcji, loguje się
w domeny publiczne i od ulicznego sprzedawcy kupuje tektu-
rowe opakowanie nudli sojowych ze smażoną mieloną woło-
winą, posiekanymi wodnymi kasztanami, słonym sosem sojo-
wym i kolendrą. Sprawdza konto Roquelaure. Sprawdza privy.
Alek potwierdził spotkanie. A więc to dzisiaj. Płaci, przysta-
wiając chip spod skóry do czytnika na wózku, i, żeby odgrodzić
się od ulicznego zgiełku, zaślepia gogle, odpala GPS-a i uru-
chamia ZombieWalkera. I-men prowadzi ją między przechod-
niami, zatrzymuje na światłach, wprowadza do tramwaju i
wysadza na odpowiednim przystanku. Claudia słucha muzyki,
do-jada zhajiang mian, czyta posty, przegląda newsy, ogląda
animację Apophisa, sprawdza nordikki, wysyła blipa o tym, co
było w szkole, odpoczywa, ogląda tubki, odpowiada znajomym,
archiwizuje murala w swojej chmurze sieciowej.

Wysyła priva do Alka. Już na nią czeka. Wysiada z tram-
waju i na moment przed tym, zanim wejdzie do kafejki, za-
trzymuje się i głęboko oddycha. Po dotarciu pod wskazany
adres ZombieWalker wyłącza się.

Claudia wchodzi do pomieszczenia, Alek siedzi przy sto-
liku w boksie w rogu sali, tak jak jej napisał. Może jej się tylko

tak wydaje, ale jest chyba jeszcze bardziej zakłopotany niż ona. To dodaje jej otuchy. Wcześniej ggadali sporo na Bludzie, a potem na wydymaczu.pl, spotkali się nawet w RealLifowej Czerwonej Oberży©, znanym wortalu randkowym z Gomułką, Gierkiem i Jaruzelskim w grafikach witraży na ścianach, gdzie masz wgląd w cudze wizytówki preferencji, wyciągnięte przez szperusy portalowe z prawdziwych historii odwiedzin, a nie makiet i życiorysów przygotowywanych przez KeosMakera™ na usenetowe portale. Poznali swoje sieciowe upodobania i dowiedzieli się o sobie więcej, niż gdyby się ze sobą przespali, takie obnażenie było zresztą dużo bardziej wstydlliwe, czego się można o sobie dowiedzieć podczas uprawiania fellatio? Ale w realu się jeszcze nie widzieli. Wczoraj przez długi czas, metodą prób i błędów, Claudia tak programowała kombajn, żeby dziś jej pot pachniał jak Chanel no 5. Polimery na zębach usuwają bakterie po jedzeniu i syntetyzują resztki pokarmu w molekuły owocowego zapachu, na tej biolicencji: śliwki węgierki. Wczoraj była zła na siebie za te przygotowania i dodatkowe wydatki, dzisiaj jest zadowolona. Jesteś panem, kiedy widzą w tobie pana.

Siada w boksie naprzeciw chłopaka i wyświetla na blacie menu. Zamawia odświeżający chłodnik z mięty i ogórka i reguluje ustawienia kombajnu, bo nie chce, żeby jej teraz zapłonęły policzki.

Zapada cisza. Alek wysyła priva z przywitaniem. Tylko biegają gałki oczne, przekazujące odpowiednie komendy, trochę zbyt gwałtownie, na ich soficie wystarczy już raczej pomyśleć o ruchu, mikroskurcze mięśni prawie nie są potrzebne. Claudia się uśmiecha, wyraźnie unosząc karminowe wargi i pokazując ząbki. To dzisiaj.

koorva mc, tez miałas taki dzien w budzie...?

chcesz cos zobaczyc?

koorva. wal

Milczą nadal. Privy znikają i zapalają się przed oczami. Tak łatwo.

otwórz b-tootha

Chłopak instynktownie dotyka serdecznego palca lewej ręki, w którym paliczek ma zastąpiony krzemową kością, elektronicznym implantem. Claudia przesyła mu niedokończony mural.

koorva mc, fakk

No ba

A to widziałaś?

Podsyła jej adres newsa z usenetu, kelner przynosi zamówione koktajle, płacą chipami. Facet ma już pod pięćdziesiątkę, ale przynajmniej wąsy zgolił. Claudia czyta info o samobójstwie Mirjany Joković. To już trzeci avatar medialny, który zawiesił się i przestał działać. Wcześniej była piosenkarka z Tokio na licencji Sony™, Aya Abe, i indyjski Prabhu Vijay Gupta. Claudia tego nie rozumie. Dlaczego wielkie koncerty sieciowo-telewizyjne, w przypadku Joković Canal Plus France™ i MC2-Microïds™, dzielące współudziały, nie mogą tego naprawić? Przecież to tylko program, osobowość wirtualna, jedynie uwielbienie fanów i pieniądze z reklam są prawdziwe.

Samobójstwami nazwano to tylko w usenecie, bo wyglądało tak, jakby po osiągnięciu masy krytycznej avatary kasowały się same. Szybko poszedł flejm o samowzbudzającej się inteligencji AI, która miałaby manifestować się w ten sposób: anarchistycznym sprzeciwem, jedyną wolnością awatarów. Ale to przejaw głupoty, nie inteligencji, myśli Claudia. Przecież miały wszystko. Niejeden by za to zabił.

koorva, wiesz, jak oni teraz poplyna? , kontynuuje Alek. *tam dalej pisza, ile kontraktow musieli przez to zerwac* Lubiałam ją, mówi wreszcie Claudia w realu. Alek patrzy zdziwiony.

Ja, odchrząkuje. Ja też. Szkoda.

Koorva!

Przepraszam.

Claudia piorunuje go wzrokiem.

Koniec świata.

No, Alek potakuje i pociąga przez rurkę tonizujący sorbet.

Idzie web 4.0, nie poradzisz. RealLife zastąpi real ostatecznie, nowe gogle będą wszczepiali już noworodkom, na stałe, blogerami będą tylko profesjonaliści, biorący za komcie grubą kasę. Ponoć w Chinach zastępują procesorami już nie tylko paliczki, ale całe kości przedramion, a na wojskowych kombajnach mogą biec bez przerwy przez miesiąc i żreć ziemię. Nie będziesz musiała wychodzić z domu w ogóle, a opłatająca mieszkanie sieć czujników i tak przeniesie cię na salę ćwiczeń, do kafejki, na ulubiony film czy stadion. Który też będzie tylko na serwerze.

Claudię to nudzi.

No i pięknie, uśmiecha się, unosząc wargi i znów pokazując ząbki. Jak wszyscy przeniesiemy się do RealLifu, to może wreszcie nie będziemy musieli łązić do budy. Alek spuszcza wzrok i się śmieje.

To byłby dopiero koniec świata.

Dopijają koktajle, Claudia sprawdza godzinę.

Wstawaj, idziemy.

Do Heliosa™? O której seans?

Za pół godziny.

No to ba. A, Claudia... Xie xie.

Fakk, koorva! Zamknij się! Claudia syczy, rozeźlona. Ale tak naprawdę jest zadowolona. To jej pochlebia.

Nigdy nie żałuj, nigdy nie przepraszaaj, nigdy nie dziękuj, rozumiesz?!, mówi. Nigdy, za nic.

Alek kiwa głową, speszony, i wychodzą do kina.

Claudia specjalnie wybrała klasykę. Tak się bawią arystokraci ducha. Szekspirowski musical soft-porno z chińsko-indyjską obsadą jest wyświetlany w interaktywnej sali 5D. Kiedy gasną reklamy, w pomieszczeniu zaczynają działać protokoły szyfrujące i wyłączają wszystkie urządzenia do rejestracji audio i wideo, odcinają kontakt ze światem. Claudia czuje dreszcz podniecenia.

Ogląda zmagania dwóch sieciowych zaibatsu, jedno zajmuje się designem ruchu sieciowego, drugie tradecraftingiem, których pracownice, mimo podpisanych w kontraktach klauzul na wyłączność i zakazu kontaktów z konkurencją w pierwszym i drugim stopniu węzła, mimo wszystko spotykają się najpierw w RealLifie, a potem w realu. Konsorcja wysyłają za nimi siepaczy, żeby wykasować dane z prywatnych i-menów i może nawet, przy odrobinie szczęścia, pozyskać kody do kwantowych kluczy z procesorów konkurencji. Zaczyna się regularna jatka.

Claudia ogląda sceny pościgów w rozedrganym dynamicznie fotelu, podczas scen w kanałach ściekowych, do których uciekają bohaterki, czuje, jak o jej łydki ocierają się wielkie zmutowane szczury, które przetrwały katastrofę ekologiczną u wybrzeży Jawy, podczas deszczu na pierwszej randce wyciera z twarzy kropelki wody, natryskiwane przez mikrodysze w oparciach foteli, wdycha zapach wielkiego miasta i nocy na dachu wieżowca Satyam Computer Services™, na którym rozbierają się bohaterki.

Kocha je, wraz z całym kinem, kiedy dysze rozpylają syntetyki feromonów, i boi się, razem z innymi, gdy jedna z bohaterek ginie, a ciało Claudii przesywają zsynchronizowane przez kinowego i-mena infradźwięki, dzięki którym wszyscy w sali czują się zaniepokojeni i podenerwowani. Płacząc i cierpiąc z powodu śmierci kochanki, nachyla się nad zapłakany Alekiem i szepcze mu do ucha o krwi.

Kiedy film się kończy, Claudia ma wrażenie oczyszczenia. Uśmiechają się do siebie, Alek pierwszy raz bez spuszczenia wzroku.

Jowita podnosi wzrok znad pustego kartonu po jedzeniu i rozmasowuje powieki. Sprawdza godzinę. Późno, ale musi jeszcze popracować. Kambajn serwuje dopalacze do krwi.

Blipuje na nordikka screenshota pierożków dim sum zrobionego z gogli, polecając Wooka©, bez abonamentu, takie były pyszne, wyłącza alarm i-mena, przypominający jej o kontrolnej wizycie u dentystki, załączki implantowanych ubytków zawiązały się prawidłowo, czyta nagłówek tekstu o ponowoczesnym Bogu, którego zastąpiła ekologia, ekonomia, wszechobecny usenet i wszechwiedzący profinet, i przegląda długi wywiad na temat globalnych skutków lokalnej wojny nuklearnej, przeprowadzony dla jednej z sieciowych stacji z emerytowanym generałem Wasilijem Nikolajewiczem Frinowskim, byłym moskiewskim ministrem obrony, który przygotowywał podobną symulację w trakcie puczu na Białorusi i Kryzysu Kaukaskiego. Podczas pożaru wywołanego detonacją 100 bomb o średniej sile rażenia wytworzyłoby się 5 milionów ton dymu, a pole zniszczeń bezpośrednich w przypadku ataku na Mińsk objęłoby swoim zasięgiem Kijów, Warszawę, Wilno i Rygę.

... po dwóch dniach dym dotarłby do górnej troposfery,

gdzie część drobin sadzy, ogrzana przez słońce, podniosłaby się do stratosfery. Ponieważ na wysokości 50 kilometrów nie padają deszcze, cząstki te wracałyby na powierzchnię Ziemi nawet przez 10 lat. Po 9 dniach pasmo sadzy rozciągnęłoby się na cały pas równikowy, a w 40 dniu od detonacji cząstki węgla wypełniałyby już całą atmosferę: od Antarktydy po biegun północny.

Diagramy obok pokazują okresy wegetacyjne poszczególnych gatunków zgenomodyfikowanych roślin i spodziewane natężenie UV w poszczególnych strefach planety. Jowita wydaje i-menowi polecenie dopisania adresów do zakładek, choć nigdy już do nich nie wróci i zdaje sobie z tego sprawę. Przekierowuje się pod adres zakon-traktowanego na komentarze bloga zmierzch_epoki.pl z profinetu.

Robi sobie herbatę, siada wygodnie, wysyła priv do córki z zapytaniem, kiedy wróci, czyta.

... obecny kryzys finansowo-miejski jest najlepszym dowodem na wyczerpanie się amerykańskiego modelu urbanizacji, podobnie jak niegdyś pomysłów Le Corbusiera. Po aferze z amerykańskimi długami wykupionymi przez Chiny, znanej w literaturze przedmiotu jako „Ekonomiczny blitzkrieg”, jest to widoczne jeszcze wyraźniej.

Tysiące osób po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego wciąż traci dachy nad głową, w procesie zapoczątkowanym jeszcze przez kryzysy pod koniec pierwszej dekady XXI wieku.

... miasto wieku XX umarło, jak ogłosił przed laty architekt Rem Koolhaas. XXI wiek należy do umysłowości i miast przyszłości.

Azjaci najlepiej zdają sobie z tego sprawę i to właśnie na tym kontynencie podejmuje się współcześnie najwięcej urbanistycznych eksperymentów. Przez ostatnie 15 lat w Chinach

zabudowano 10 tys. km kwadratowych przestrzeni. Jest to teren wielkości Libanu lub Cypru.

Przez następne dwie dekady ma tu powstać kolejne 300 nowych miast. Chiny przodują pod względem podobnych wskaźników, ale Nowe Miasta w ostatnich latach powstają nie tylko tutaj.

... 200 ha ma zająć kolejna nowoczesna dzielnica projektowana przez Lotte van Heerdens na peryferiach Singapuru. Three-North będzie zamieszkiwać 240 tys. ludzi. Poza budynkami mieszkalnymi wybudowane tu zostaną również państwowe i prywatne kompleksy naukowo-badawcze: w Biopolis będą rozwijały się nauki biomedyczne, a w Fusionopolis – technologie komputerowe i informacyjne. Podobny technopol powstaje również 35 km na południe od Madrasu.

Dzięki zwartej konstrukcji na 64 ha pomieści się tam 77 tys. mieszkańców, a tarasowy układ budynków zapewni wszystkim odpowiedni dostęp do światła i poczucie przestrzeni. Budowane tu liczne turbiny wiatrowe, panele słoneczne, spalarnie biomasy – to tylko punkt wyjścia do uczynienia tego obszaru całkowicie opartym na zielonych technologiach.

... odpowiedzią na innowacje Azjatów są w Europie GreenParki, ekologiczne enklawy dla najbogatszych, powstające na obrzeżach metropolii i wzorowane na La Cité du Fleuve, wybudowanym na rzece Kongo na przedmieściach Kinszasy. Wokół okrągłego placu promieniście rozchodzą się tam osiedla przeznaczone na cele mieszkaniowe, biurowe, handlowe, naukowe i rekreacyjne. Można tu mieszkać w luksusowej willi lub w kameralnym apartamentowcu. Projekty GreenParków najczęściej nie przewidują wysokiej zabudowy. Osiedla są bezpieczne, porządku strzegą na nich zakontrakto-

wane na restrykcyjnych kodeksach prywatne firmy policyjne. GreenParki są neutralne dla środowiska i w 80% wykorzystują naturalne źródła energii: wiatru, wody i słońca. Zbudowano je całkowicie z biodegradowalnych kompozytów, a nie mniej niż 40% powierzchni muszą w nich statutowo zajmować tereny zielone.

Jowita marzy, żeby móc kiedyś przenieść się do warszawskiego GreenParku, nie zrażają jej nawet dzisiejsze doniesienia. Powstrzymuje się przed jumpingiem po forach i natychmiastową odpowiedzią na komcie pod Innego nie będzie™, które sygnalizuje jej i-men, bo to nieprofesjonalne, popija herbatę, parzy się w język, drapie po wewnętrznej stronie przedramienia. Czyta.

... jednak miasto to nie tylko miejsce do życia. To także znak naszych czasów, symbol stanu duszy. Jaki zatem obraz wyłania się spoza szklanych fasad, wiszących ogrodów, tarasów na dachach i przeszklonych wind, w aseptycznych wnętrzach wiozących pasażerów do osiągalnego na ziemi nieba, 250 yuanów czynszu na miesiąc za metr kwadratowy?

... zmiany urbanizacyjne, zapoczątkowane już w drugiej połowie XX wieku, pociągnęły za sobą wzrost ruchliwości i anonimowość w konglomeratach miejskich. Obcy oto obracają się tu wśród obcych. W tłumie łatwo się ukryć, ale też trudno znaleźć swoje miejsce. Znaleźć swoją funkcję społeczną, akceptowaną, uznaną, niepodawaną w wątpliwość, zapewnioną na przyszłość. Człowiek innym ludziom jawi się tylko jako fragment własnej osoby: akurat ten, który im pokazuje albo który uda im się podejrzeć w krótkich i ulotnych chwilach wspólnych spotkań – w parku, na deptaku, na klatce schodowej, podczas biznes-lunchu, w me-trze, w innych środkach komunikacji miejskiej. Taką fragmentaryczność ze świata fi-

zycznego („realu”) najlepiej obrazuje proces tworzenia się w usenecie i profinecie Osobowości Sieciowych: mnogich bytów wirtualnych osadzonych na jednym użytkowniku, ale prezentujących tak wiele, często sprzecznych ze sobą, cech charakteru, jak to tylko możliwe.

... żyjemy w epoce społeczeństwa tymczasowego. Nie trwałość jest najtrwalszą cechą współczesnego świata. Wynikająca z niej anonimowość sprzyja także oszustwu, a w każdym razie pozbawia pewności, czy się ofiarą oszustwa nie padło. Jeśli bowiem spotkania są z definicji przelotne, łatwiej udawać bycie kimś innym, świadomie autokreować swoje kolejne zmiany, przypisywać sobie cudze zasługi i odcinać się od dawnych grzechów. Jak w takim środowisku odróżnić prawdę od udawania? I co to w ogóle jeszcze znaczy: „być kimś naprawdę”?

... cechą człowieka ponowoczesnego, w odróżnieniu od stanów wcześniejszych, z uporządkowanym społecznie antykiem i średniowieczem na czele, jest kwantowe rozmycie przybieranych tożsamości i wielość nakładanych masek. Funkcja społeczna nie jest człowiekowi współczesnemu narzucona z góry, trzeba jej ciągle szukać i nieustannie ją w sobie wykształcać. Obok tego upływ czasu przestał być procesem ciągłym. Żyjemy w zbiorze epizodów, w ciągu chaotycznych wydarzeń niekoniecznie związanych chronologicznie i niekoniecznie stanowiących ciągi dalsze jednej wielkiej narracji w XIX-wiecznym stylu. Wczoraj to zapomniana przeszłość, dziś to wczoraj, jutro nie istnieje.

... najważniejszym miernikiem tożsamości, namacalności istnienia, jest liczba widzów i słuchaczy, komentarzy i wpisów, przekierowań i nawiązań, cytatów i rozmnożonych w noosferze pochodzących od nas memów. Dlatego też jedną z

najprężniejszych współcześnie branży jest segment ubezpieczeń Osobowości Sieciowych. Nie jednej, nie dwóch, nie trzech, ale i nie nieskończenie wielu. Człowiek sieciowy jest zjawiskiem emergentnym, ale o skończonej sumie składników. Dlatego nie może sobie pozwolić na nieskończone tracenie kolejnych wykreowanych OeSów.

... odwzorowaniem tej sytuacji był kiedyś opisany językiem socjologii przez Kandinsky'ego „Test Googla”; dziś jego wersja to „Test Usenetu”: istniejesz tylko o tyle, o ile specjalne programy poszukujące są w stanie wydestylować z twojej historii sieciowej – prawdziwej i fikcyjnej, zwłaszcza fikcyjnej, bo prawdy nie możemy kreować, prawda nas zmienia, a kłamstwo zmieniamy my, podług naszych pragnień i słabości – kompletną osobowość wartą ochrony prawnej, jedną, drugą i każdą kolejną. To wszystko dalej jesteś „Ty” – użytkownicy występujący pod różnymi mianami często nie kryją swoich kolejnych OeSów, które funkcjonują równolegle i z których są znani w różnych środowiskach („grupach rodzinnych”, „web family”/„family tree”).

... co, jeśli te osobowości są rozbieżne? Czy któraś z nich „kłamie” (i co to znaczy z punktu widzenia socjopsychologii)? Mówiąc inaczej: która osobowość jest „najbardziej prawdziwa”? Przecież nie można wyciągnąć z nich punktów wspólnych, bo zachowania, reakcje, zainteresowania, profile znanych w poszczególnych węzłach – nie mają punktów odniesienia na tej samej mapie mentalnej. Odpowiedź może być tylko jedna: wszystkie kłamią w równym stopniu, a więc wszystkie są tak samo prawdziwe. Kiedyś, w społeczeństwach przednowoczesnych, „przedinformatycznych”, taka sytuacja była z definicji (społeczeństwa) nie do pomyślenia.

... rozpad „projektu życiowego” na kalejdoskop samo-

istnych epizodów, niepowiązanych ani przyczynowo, ani logicznie, rezonuje równie kalejdoskopową ponowoczesną kulturą „nieustającego karnawału”, która zastępuje kanon kulturowy korowodem krótkotrwałych mód. Arena publiczna jest terenem zacieklej konkurencji między orędownikami spraw, wierzeń, idei i towarów, a stawkę w zmaganiach nieodmiennie stanowi rozgłos: mówiąc w skrócie, w tym świecie „istnieć” znaczy tyle, co być zauważonym.

... objawem materialnym takiej architektury duchowej – i jednocześnie jedną z jej przyczyn – jest nadmiar, przerost, przesyty, po-wódź, zalew, potop, tsunami informacji, komunikatów, dźwięków, pragnień, zadań, obowiązków, czynności i obrazów o ładunku semantycznym, których zdekodować, a już tym bardziej wchłonąć i przyswoić, nie ma czasu. Następuje niepowstrzymany rozrost rzeczywistości, puchnięcie bytu rozpychanego przez procesy niepoddające się już regulacji, nieznające limitów, samonapędzające się i samoprzyspieszające.

... tym samym inne niż dawniej cechy sprzyjają sukcesom życiowym w takim środowisku. Nagradzana jest nie konsekwencja w postępowaniu, trzymanie się z góry obranego celu, wytrwałość i specjalizacja, gromadzenie kwalifikacji o zdecydowanym profilu, lecz raczej elastyczność zainteresowań i umiejętność ich szybkiej zmiany, giętkość przystosowawcza, multiosobowość, umiejętność wybiórczego zapominania tego, co wyszło już z użycia. Mówiąc precyzyjnie: im niedokładniej tożsamość jest zdefiniowana, tym lepiej dla jej właściciela. Najlepiej zatem wiedzie się userom, których swobody ruchu nie krępuje precyzyjna specjalizacja, ale też potrafią bez problemu odnaleźć dane na każde interesujące ich zagadnienie; którzy nie mają zwyczaju koncentrowania uwagi na

jednym działaniu, nie przywiązują się nadmiernie do innych OeSów, skoro te mają tendencję do nieustannej zmiany, i którzy potrafią zachować dystans i wstrzeźliwość emocjonalną wobec tego, czym się w danej chwili zajmują. Taka sytuacja faworyzuje cynizm jako najskuteczniejszą darwinowską strategię, tak jak kiedyś faworyzowane były prawdomówność, słowność, poczucie honoru, altruizm, umiejętność bezinteresownego działania (tj. działania w służbie społeczeństwa-monolitu), itp.

... od samego początku w sukces przekazu (do tego bowiem sprowadza się każdy sukces osobisty w społeczeństwie usieciowionym) wbudowana jest konieczność przemijania. Pojemność uwagi uczestników noosfery (twórców i odbiorców) jest bowiem ograniczona i ciągle trzeba zwalniać w niej miejsce dla nowych informacji. Kultura ponowoczesna jest tym samym nieustanną próbą generalną śmierci. Jednak jest to śmierć fałszywa, a więc i kultura ponowoczesna ma w sobie pierwiastek fałszywy, została ufundowana na kłamstwie. Przedmioty fascynacji, bożyszczka tłumów, sława i rozgłos przecież nie umierają. Jeśli już, to „znikają”, a w odróżnieniu od śmierci – o czym staramy się zapomnieć, bo ta cecha śmierci jest najbardziej „niehumanitarna” i przerażająca, cała ponowoczesna kultura ma właśnie na celu wyparcie tej świadomości, oszukanie ducha – takie zniknięcie nigdy nie jest ostateczne. Wystarczy kilka milisekund działalności najtańszego search-programu i już mamy stos adresów, zdjęć, filmów, animacji, na których odżywa to, co – ponoć – odeszło. Nikt takich czynności nie podejmuje, bo wczoraj nie istnieje, ale sama świadomość podobnej możliwości uspokaja. Śmierć i przemijanie są dziś wszechobecne, stały się podstawą kulturowej rzeczywistości, ale też jest to przemijanie nieostateczne i

śmierć oszukana.

... skoro jednak przemijanie nigdy nie jest ostateczne i z definicji jest do odwołania, to rzeczy i czyny tracą ważkość, jaką im niegdyś przypisywano. Nic nie będzie trwało wiecznie, głosi współczesny paradygmat, ale też i nic nigdy nie kończy się naprawdę. Wszystko się dzieje „na niby”. Rzeczywistość nie ma tym samym należytej wagi, ale też, na jednym z poziomów, do czasu, żyje się łatwiej. Życie przestaje być nauką o śmierci i przygotowaniem do umierania.

... środowiskiem najlepiej obrazującym podobną sytuację i jednocześnie dodatkowo umożliwiającym taką zmienność jest środowisko sieci. Jej rozwój można podzielić na kilka etapów:

1. faza odbioru treści, czyli faza portali (Yahoo, MSN, AOL, Onet.pl)
2. faza wyszukiwania (Google, Yahoo Search, Netsprint)
3. faza zakupów i handlu (Amazon, E-bay, Allegro)
4. faza komunikacji i konwersacji (Skype, Gadu-Gadu)
5. faza wideo (YouTube, Wrzuta.pl)
6. faza społeczności (MySpace, Facebook, Nasza Klasa, Goldenline)
7. faza agregacji treści (Google Reader, Cafe News, Netvibes)
8. faza human powered (Mahalo, Polymath)
9. faza polaryzacji (usenet i profinet)
10. faza gridów technologicznych i rodzin sieciowych (web family, family trees)

... dzięki szybkości wymiany informacji i globalności obiegu danych tu, jak nigdzie indziej, widać zmiany, fluktuacje, wahania i punkty stałe na mapie trendów i ewolucji społeczeństwa. Każdego dnia żyjemy w innej epoce końca: ekonomii, człowieka, środowiska, filozofii, dogmatów, wiary. Czy

kiedyś było inaczej? Nie. Ale – czy kiedyś było i n a c z e j ? Tak, kiedyś było inaczej. Żyjemy pośrodku strukturalnego kryzysu, który dotyka wszystkich i wszystko. Kiedyś chaos był okresem nieporządku, interwałem dzielącym dwa nowe porządki, prawem bezprawia na czas przejścia, fosą na granicy paradygmatów. Dziś chaos staje się symbolem ponowoczesności, kluczem do współczesności, regułą obowiązującą nieprzerwanie, stanem naturalnym, podstawą budowy świata.

... tańcząc w upojeniu w korowodzie błaznów i masek, zapomnieliśmy o tym, czym był karnawał. A przecież zawsze im głośniejsza zabawa, tym po niej dłuższy i surowszy okres postu.

... żyjemy w epoce nieustającego końca czasów.

Jowita ziewa. Tylko suma miesięcznego abonamentu od Orła Białego™ powstrzymuje ją od lekceważącego podsumowania tl;dr.

Zastanawia się, jak w ogóle w sieci mogły uchować się takie mamuty, które tyle piszą w jednej notce, nawet w profinecie, i zaczyna odczuwać do autora cień sympatii.

Zgodnie z umową pisze krótkie streszczenie tekstu do usenetu, na adresy konserwatystów, których wciąż interesują takie popłuczyny po Baudrillardzie, Castellsie, Baumanie i Vališovej. A przecież to fałsz. Jowita doskonale się orientuje, kto jest kim w jej świecie, jakie prawa obowiązują w sieci, co robić, żeby zarobić, kogo warto znać, kogo komentować, z kim prowadzić wojny i z kim wchodzić w bartery. Jej lodówka ma łączność z 2682 punktami obsługi w samej Warszawie i samodzielnie zamawia zaprogramowane na miesiąc z góry sprawunki, samouczący się patch śledzi zapotrzebowanie domowników i modyfikuje menu, sprawdza pH śmietanki do kawy i monitoruje poziom żywych kultur bakterii w samo-

dzielnie przygotowywanym jogurcie. Jowita nie zamieniłaby tego świata i tego życia na żadne inne.

I-men świergocze i przypomina jej jeszcze o zbliżającym się terminie zaopiniowania kolejnego e-booka w księgarni Non Omnis Moriar©, z którą ma podpisany kontrakt na współpracę. Jowita wzdycha, sprawdza zapisy w umowie i skoro nie może przełożyć daty oddania tekstu, wstaje z żelowego siedziska i rozciąga się w trzeciej wersji asany Bohatera, żeby nabrać sił. Strząsa dłonie, raz, drugi, trzeci, kombajn serwuje syntetyki kofeiny. Podchodzi do okna na siódmym piętrze, z widokiem na miasto, za szybą przetacza się gwałtowna ulewa, po której za chwilę zza chmur wychodzi przedwieczne słońce.

Niebo nad miastem wygląda jak niebo na nienamalowanym obrazie Canaletta. Jowita otwiera notatnik i przypomina sobie, o czym była książka.

A, sarmacko-chiński cyberpunk, wyleciało jej z głowy. Jest zmęczona, dlatego customer opinion wychodzi jej nieprzyzwoicie długa i już normalnie zjadliwa. Uśmiecha się pod nosem, prześlizguje wzrokiem po zamglonych szczytach wieżowców widocznych w polu widzenia, zbliża się parny wieczór, ale ludzie na ulicach wciąż są liczni, wyglądają jak owady, przeganiane przez wiatr pyłki. Zastanawia się, o czym jutro napisze na blogu, czy będzie to indyjski koniec świata, czy Śiwa na powrót zamieni się w Rudrę i wąż noszony przezeń na szyi ożyje i ukąsi go w pierś, przynosząc szaleństwo i gniew, a rynek zaleją wtedy tanie podróbki mikroprocesorów, czy może lepiej będzie napisać o Nietzschem, Ragnaröku i umieraniu bogów w świecie i bogów w ludziach. Z przyzwyczajenia strzepuje dłoń.

... cyberpunk jako prąd umysłowy jest intelektualnie

martwy. Z całej konwencji została tylko estetyka. Widać to wyraźnie, czytając „Hieronimusa Mnemonika i Czerwony Pawilon™”, tradycyjny e-book do gry pod tym samym tytułem, open source’owej sieciówki na silniku Neuroshimy™ zrobionej przez dziewczyny z Błotom€@mu©. Skoro od dawna żyjemy w cyberpunku, a złe implanty nie zdołały nas odhumanizować, to co można jeszcze o tym napisać? Jowita włącza btoothem światło, dla klimatu przyciemnia je do miodowej poświaty, fosforyzujące bursztynowo spirale na ścianach układają się w chińskie piktogramy Miłości i Pokoju, uchyla okna, żeby wpuścić chłodną wilgoć, zanim znów zrobi się parno, zmienia playlistę.

... kiedy Gibson i Sterling tworzyli pierwsze teksty ochrzczone później cyberpunkiem, totalitaryzująca Ameryka szowinistycznego Reagana skłaniała do pisania podobnych książek: pesymistycznych, negatywnych, utrzymanych w jednolitej tonacji, straszących przyszłością i odhumanizowaniem zcyborgizowanych bohaterów, bo wtedy przyszłości rzeczywiście można było się bać. Potem jednak czasy się zmieniły, inwazja dalekowschodnich firm i kultury nie wyparła kultur lokalnych, komputeryzacja nie doprowadziła do końca świata z „Terminatora™” i „Matrixa™”. Pewnego dnia obudziliśmy się w globalnej wiosce i wiecie co? Wszystkim nam się to podobało.

... teksty cyberpunkowe straciły rację bytu: pesymistyczne z definicji, a więc z definicji jednostronne, a więc z definicji nieprawdziwe. Można było robić filmy o androidach skaczących po dachach i o policjantach-odludkach ciętych z szablonu Raymonda Chandlera, którym dodano tylko „elektroniczne wszczepki”, cokolwiek to miało być, i o wiele większą splotę niż ta, o jakiej kiedykolwiek mógł marzyć Philip

Marlowe. Można było pokazywać kolejne skynety zagrażające człowieczeństwu w sieci. Ale było to już tylko odgrzewanie pustych motywów, odkurzanie niepotrzebnych dekoracji.

... literacko polegało to na tym, żeby wziąć rekwizyty ze współczesności i dodać im tylko przedrostek mega-lub turbo-, zmienić numer generacji używanego przez bohaterów sprzętu, podkręcić oznacznik numeryczny, żeby w fikcyjnej przyszłości, na kartach książki, uczynić egalitarnym to, co we współczesności wciąż stanowiło domenę elit. To po co nam taki cyberpunk, skoro w nim żyjemy?

... literacki cyberpunk nigdy nie odważył się na krok w arty-styczną dojrzałość. Kiedy już pojawiły się techniczne narzędzia, pozwalające na taki ruch, jego twórcy albo już byli o krok dalej, widząc intelektualne wypalenie się tematyki, albo odeszli w cepelię, przelicytowując się w walce na scenografie i ograne rozwiązania.

... to już większymi cybepunkowcami, Julia zapuszcza szperusa, byli Cortazar z *Grą w klasy*, Fowles z *Kochanicą Francuza* czy Ca-lvino z *Jeśli zimową nocą podróżny...* Lub nasz Jan Brzękowski z *Psychoanalitykiem w podróży*, który już w 1926 roku zamiast zakończenia umieścił w książce ankietę dla czytelników, tak by sami mogli sobie wybrać pasujący im finał fabuły.

... jedyną bowiem adekwatną formą dla cyberpunku, formą pasującą do rzeczywistości, którą cyberpunk stara się opisywać, jest hipertekst: powieść zrandomizowana, pozornie chaotyczna, rozbita na leksemy, rozpięta jak pajęczyna, powiązana wewnętrznymi sieciami zależności, do których można przechodzić nielinearnie, na skutek suwerennej decyzji odbiorcy. Forma jak najbardziej sprzężona z opisywanym tematem, literatura, w którą wimplantowano technologię, praw-

dziwa Mona Lisa turbo, Mona Lisa max, potrzaskany ekran monitora do obnoszenia po gościńcu, w którym przegląda się nasz nie-jednorodny, multiplikujący się w czasie rzeczywistym świat.

... dlatego prawdziwy i jedyny cyberpunk to ten, do którego odczytania w latach 80.–90. XX wieku tworzono specjalne programy, takie jak NoteCards™, HyperCards™ czy Storyspace™ (*afternoon, a story* Michaela Joyce'a (1987), *Victory Garden* Stuarta Moulthrop'a (1992), *Patchwork Girl* Shelley Jackson (1995), Jowita zamieszcza prze-kierowania adresów, na wypadek gdyby ktoś chciał je przeczytać.

Lub teksty, które pisano w nowo powstających językach HTML, XML

czy Java, a potem z użyciem technologii flash i schoc-kwave, dzięki czemu możliwy był wreszcie kolaż dźwięku, tekstu i animacji (*Quadrego* Stefana Maskiewicza (1997), *These Waves of Girls* Caitlin Fisher (2001), wydawany na CD-Romie, *Koniec świata według Emeryka* Radosława Nowakowskiego z 2005 roku). Lub te, które powstawały dzięki specjalnie spreparowanym algorytmom, automatycznie generującym niezliczoną liczbę wariantów tekstu bazowego (*Hegirascope* Moulthrop'a (1997), *The Breathing Wall* Kate Pullinger (2004), gdzie język XHTML połączono z arkuszami stylów CSS i programowaniem tworzonym od podstaw). Tak wygląda prehistoria. Tak wygląda McLuhan w stanie czystym.

... cyberpunk s-c to tylko kolejna oparta na scenografiach moda, jak steampunk, clockwork punk, etno fantasy, retro sf, niedawna luna sf – obyczajówka w układzie planetarnym, wygenerowane jak wszystkie inne mody, jak powrót PRL-u po ostatnich wyborach, wygranych przez media-żurnalistów dla polityków z Pokolenia Lewicy™. Choć to

akurat zły przykład, bo ten trend utrzymuje się dużo dłużej niż reszta, widać musiał być podskórny ciąg na ten mood, liczba adresów na koncesji 1.maja.urywa.jaja.ru rośnie jeszcze dzisiaj. A fantasy s-c, cyberpunk s-c i co tam jeszcze ze znaczkami sarmacko-chińskim przeminą zapewne wkrótce jak listek herbaty porwany przez czysty i zimny nurt potoku w górach Huangshan.

... dzieła takie jak cykl o Hieronimucie Mnemoniku™ nie tylko nie mają sensu, ale co gorsza, nie mają także przyszłości. Cyberpunk się skończył. Cyberpunk is, koorva, dead.

I-men sygnalizuje nadejście priva. Jowita, zadowolona, przepuszcza jeszcze tekst custopki przez usenetowego standardyzatora, bo wyszło jej chyba zbyt skomplikowanie, i odczytuje wiadomość. Za oknami wolno zapalają się uliczne neony.

ma, BBL

? IDA :)

wroce później, mam spotkanie

?? WTF ;) 9(99999)9 z chłopakiem???

maaa...

Jowita nie poddaje się.

ale przecież jutro masz szkole

spokojnie, ma, do rana zdaze <oczy kota ze szreka>

\ '7b^_^ \ '7d

Jowita mimowolnie uśmiecha się i kapituluje.

tylko nie wroc za pozno, i tak sprawdzę na homedoku. LY

jak wroce, będziesz na pewno wiedziała. oki, muszę konczyc. TAFN

Zanim Jowita zdąży zareagować, przychodzi kolejny priv. Jarek wstał do pracy. Jowita gasi klawiaturę, zaciemnia b-tothem szyby, odwraca się, wciąż oparta o parapet, i prze-

ciąga jak kotka.

2n4ł3m 90, (h0£3r4 j4\$ n4... p0 pr0\$7µ... 70 74|\ '7b13...
w13m, |\ '7b0wb0jµ. Jowita próbuje go uspokoić i po-
cieszyć.

\$20|\ '7b, |\ '7b13Đ¥\$ pr4(0w4£1\$m¥ r423m n4Đ
24b32p13(23n14m1

9r1Đ0w¥m1, \$p07|\ '7b4ł3m 90 p073m n4 j4|\ '7b1m\$
r4µ(13, jµż p0

24|\ '7b0ń(23n1µ pr0j3|\ '7b7µ

w13\$2, m023 n13(h |\ '7b0mb4jn 24\$3rwµj3 (1 (0\$ n4
µ\$p0|\ '7b0j3n13...

n13, n13, n13 Đ4 r4Đ¥. |\ '7b0n(2¥m¥ m473r14ł¥ Đ£4
4£-M49hr1b B4n|\ '7bµ 1 |\ '7b0mb4jn j3\$2(23 2Đ42¥
mn13 pr23(20ł94(, 24n1m n4\$2 pr0j3|\ '7b7 20\$74n13
24|\ '7b£3p4n¥ pr232 90r3. 1Đ213\$2 Đ0

|\ '7bµ(hn1?

Jowita przechodzi do kuchni. Rzeczywiście zgłodniała.

Uśmiecha się po nosem, przyda jej się odrobina wy-
tchnienia. Trudno odpoczywać, kiedy pracujesz 24 godziny na
dobę.

Jarek stoi przed ekspresem i przy samoczyszczącym się
blacie w kolorze kości słoniowej czeka, aż zaparzy się kawa.
Kombajn z pewnością już zaserwował mu niezależniające
kofeiniany do krwi, ale prywatny rytuał jest mocniejszy. Jowi-
ta czuje mocny aromat oczyszczonej z niebezpiecznych sub-
stancji kawy, lepszej niż oryginał, podchodzi do męża, wspina
się na czubki bosych stóp i całuje go w kark. Mruczą z zado-
wolenia.

mmmm, (0 24 p0w174n13... Jarek bierze filiżankę, od-
wraca się ostrożnie i z uśmiechem próbuje wyswobodzić się z
miękkiego uścisku żony. 2j3\$2 (0\$ 23 mn4?

7rμDn0 70 n42w4ć w(23\$ñ¥m śn14D4n13m..., Jowita odpowiada ze zgryźliwym uśmiechem.

Przechodzą do stołu kuchennego, Jarek programuje blender.

Kiełki pszeniczne, szpinak, miód, maliny, otręby żytnie, mleko sojowe, kilka truskawek, z których wyciąg jest bogaty w sole mineralne i witaminy z grupy B, i awokado, bo będzie potrzebował kalorii. Po-rozmieszczane w kuchni niewielkie lampiony w stylu wczesnej dynastii Qing świecą rozbudzającym, jasnym światłem.

n0 w13m, w13m, 4£3 |\'7b13D¥ \$|\'7b0n(2¥m¥ r0b073
DE4 2017¥(h w M0n4|\'7b0 w¥n49r0D23 (1 70

Jaaaasne.

44

Słyszając jej głos, Jarek odwraca się, zdumiony, jakby sły-
szał

ją po raz pierwszy w życiu. Oczy Jowity śmieją się figlar-
nie. Blender miksuje składniki i po chwili do wysokiej szklanki
koktajlowej wytryskuje spieniony, beżowy płyn.

Jowita podnosi przyjemnie chłodne naczynie z grubego,
ciętego w kanciastą formę szkła i pociąga łyk.

Mmm, dobre. Będziesz to jadł?

Uśmiecha się zalotnie. Pod nosem zostaje jej wąziutka
kreska piany. Jarek wzdycha teatralnie. Włącza na blenderze
replay. Piją w ciszy.

Najpierw, Jowita odchrząkuje, nagle onieśmielona, sło-
wa z trudem przeciskają się przez gardło, jakby tam już nie
pasowały, mogła to wysłać privem, klnie w duchu swoją głu-
potę, byłoby łatwiej.

Ale już powiedziała, zaczęła, przejście teraz na priva to
byłby objaw słabości. Więc kontynuuje. Najpierw bierzesz

prysznic, czy od razu idziesz na siłkę?

Jarek patrzy ponad stołem, uwalnia się od własnych myśli.

Jowitaaa...?, mruczy.

GW, Jowita wysyła mu privem. *GH*, odpowiada. Śmieją się wspólnie z ich starego żartu.

Jarek odkłada pustą szklankę, podchodzi do niej, całuje ją, ubrania ściągają jeszcze w korytarzu, nie przestając szukać swoich ciał. Jowita nie wie, kto włącza b-toothem prysznic, kiedy wchodzi pod leniwą strugę, woda już ma odpowiednią temperaturę i tonizujący zapach. Mikrobąbelki oczyszczają pory na skórze, stymulują zakończenia nerwowe. Łazienka pachnie leśnymi kwiatami, podświetlony turkusowo strumień wody jest jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Jarek całuje jej kark, zsuwa wargi na obojczyk, Jowita zapiera się dłońmi o gładkie kafelki ściany, czuje na sobie chłodny dotyk wody i elektryzujące muśnięcia palców. Przymyka powieki, rozchyła usta, bezwiednie kurczy i rozpręża palce obu dłoni, rozchyła nogi, ułatwiając mu dojście, pod jego dłońią pochyla głowę, włosy między palcami, usta na skórze, woda na karku, oddycha coraz szybciej, napina mięśnie, rozluźnia mięśnie, przygryza wargę.

Mmmmmmmmm...

Jarek wysyła polecenie do kombajnu, implant dawkuje hormony, pompuje krew do ciał jamistych, stymuluje wzrost ciśnienia tętniczego, przyspiesza czynności serca i oddechu, rozszerza źrenice, uwrażliwia nerwy obwodowe w sferach erogennych, wpływa na korę zakrętu obręczy w mózgu, ciało migdałowate, zwoje podstawy, hipokamp i jądro okołokomorowe, zaangażowane w proces podniecania się i przeżywania orgazmu, inteligentnie, oszczędnie dawkuje neuroprzekaźniki,

noradrenalinę, dopaminę, oksytocynę, serotoninę i prolaktynę, acetylocholina i tlenek azotu buzują we krwi. Jowita jęczy, kiedy napiera na nią całym ciałem, skóra przy skórze, delikatnie odwraca jej głowę, całuje, wodzi palcami po twarzy, odchyła się i znów w nią wchodzi.

Claudia wchodzi z Alekiem do Raju, zhakowane patche na i-menach podwyższają ich wiek na bramce, omijają ogni-stego Strażnika©. Mocny mechaniczny bit uderza w rytmie synkopowanych stroboskopów. Muzyka jest ogłuszająca, na wysokich barokowych sklepieniach wyświetlane są oldskulowe laserowe animacje. Umieszczone w puttach dysze pompują dym plus dopuszczalne w lokalach publicznych przez unijne prawo dawki feromonów. Jest ciemno, jest głośno, rozmawiać można tylko przez priva, ale po co rozmawiać w takim miejscu, wokół kłębią się tłumy.

Claudia wydaje polecenie do kombajnu, żeby zaserwował opiaty, patch na i-mena obchodzi zabezpieczenia prawne obowiązujące do 18 roku życia i automatycznie konwertuje dane w plikach z historią użycia implantu. Ładunek zakatalogowany jako pakiet multiwitamin wolno rozpuszcza się we krwi. Alek przynosi dwa fosforyzujące koktajle tonizujące. Jemu też już szklą się oczy.

Paradise™ został ulokowany we wnętrzu starego kościoła.

Ludzie na parkiecie wyginają się w ekstatycznych pozach, stroboskop tnie przestrzeń uderzeniami światła i cienia, wybuchy laserowych animacji splatają się w niepokojące kształty w dymie gromadzącym się pod sklepieniami. Claudia odnajduje wolną wnękę, kiedyś musiał tam stać konfesjonał. Fresk na ścianie przedstawia stłoczone ciała, wyciągnięte ku górze ręce, światłość między chmurami, strzały w korpusach i

brzuchach.

Odstawia szklanę fosforyzującego napoju i w ogłuszającej kakofonii, tkk-tkk-ttttkktudum, gaśnie-zapala się światło, jak łuk ognia na nieosłoniętej spawarce, wpija się w usta Aleka. Wysoko we flashach strobo widać rozrzucone na boki ramiona, zmęczoną, brzydką twarz owiniętą drutem kolczastym i krople krwi na twarzy. Komiksowo przerysowani aniołowie i diabły ze skórzastymi skrzydłami obściskują się z rozmodlonymi lub demonicznie ekstatycznymi obliczami, białe piersi i obnażone, purpurowe łona.

Claudia czuje stymulanty płonące we krwi i jest głodna.

Mimo kiczowatego wnętrza i banalnej symboliki lubi tu przychodzić, tak właśnie powinna wyglądać prawdziwa komunia krwi. Popycha Aleka na krzesło, rozpina mu spodnie, rozpina swoje spodnie, zsuwa jedną nogawkę, podpira się o stolik dla zachowania równowagi, odrzuca głowę do tyłu, żeby odsunąć spocone włosy, które kleją się do twarzy, siada na nim okrakiem, wpuszcza go w siebie. Wokół, pod niemymi freskami, kłębią się ciała. Porusza się rytmicznie, gwałtownie, tkk-tkk-ttttkktudum.

Jarek jest delikatny, zamyka w dłoni małą pierś, porusza się niespiesznie, gryzie ją w płatek ucha, a wtedy Jowita, z zamkniętymi oczami, leniwie wyuzdana, uśmiecha się zalotnie, przygryza dolną wargę, woda spływa po karkach i twarzach.

Claudia opada i unosi się coraz szybciej, pot spływa po karku, obok nich ludzie w smolistej ciemności rozchylają usta do jęku, ale nic nie słyszą oprócz huku basów, w stroboskopowych powidokach widać zaplecione dłonie, zamrożone w zimnym świetle gesty, nieruchome twarze, obnażone ciała. Wpija się mocno w usta chłopca i rozgryza je, miażdży w pocałunku, ciepła, słona krew spływa do gardła.

Chłopak jęczy przeciągle, boleśnie, rozkosz go przerasta.

... mmmmm, ohohohhh, mmh, jeszcze chwilę, Jarek, ooooo tak... mhhmmmmhhhhhhhh...

... tkk-tkk-tttkkktudum, aaaaaaaagghghh... Alek, wytrzy-maj jeszcze, koorva... tkk-tkk-tttkkktudrrrrummm, o tak... już...

aghhhh... aghh... o koorva...

Jowita jęczy gardłowo, już po wszystkim, poorgazmowe plateau dopala się wolno w ciepłych barwach, kombajn wysubtelnia doznania. Jarek ciężko dyszy, otwiera oczy i nie wychodzi z niej przez długą chwilę, jej kombajn zadbał o antykoncepcję, a potem odwracają się do siebie twarzami, ciągle blisko, uśmiechają pod strugami lecącej nieprzerwanie wody i stoją, obmywani przez chłodne turkusowe światło, tylko palce wciąż są niespokojne, wypisują niewidoczne murale na skórze, wstrząsane niekontrolowanymi dreszczami ciała powoli gasną, nerwy wyciszają się, balsamowane przez hormony szczęścia.

\$p02n13 \$13 pr232 (13b13 D0 pr4(¥, w4r147|\ '7b0...

No ja myślę, Jowita uśmiecha się i mruczy słowa w jego pierś.

No ja myślę, dziadku...

Jarek udaje oburzenie, pryska na nią wodą. Śmieją się. Mąż włącza b-toothem światło i zaczynają się myć. Jowita jest szczęśliwa i czuje się bezpiecznie. Po prysznicu rozchodzą się do swoich zajęć.

Po wyjściu z Raju Claudia sprawdza przez przełamane zabezpieczenia wskazania domowego menadżera. Wie, o której Jowita kładzie się zazwyczaj spać. Sprawdza jej wykresy, ciśnienie, przewodnictwo elektryczne w mięśniach, poziom naturalnych toksyn we krwi, ubocznych produktów przemiana-

ny materii, które nazbierały się przez cały dzień. Powoli, nie korzystając z komunikacji miejskiej, idzie z Alekiem do domu.

Jowita powinna jeszcze dzisiaj popracować, ale sprawdza godzinę i zamiast do gabinetu idzie do swojej sypialni. Zapuszcza szperusy, żeby znalazły jej coś na jutro do bloga. Pierwsze rekordy sugerują przekierowanie się pod strony z dzisiejszym przelotem Apophisa. Wchodzi na nie bez zaangażowania, kierowana blogerskim obowiązkiem. Sporo filmów, kilka zdjęć, głównie materiały o panice w San Salvador, rozruchach w Dżakarcie, zamieszkach na Filipinach i ofiarach w Senegalu. Planetoida na niewyraźnych zdjęciach wygląda jak niesymetryczny fragment chropawej skały, zbitya bryła brudnego lodu i gruzu. Przekierowuje się i pozwala szperusom szukać dalej.

Jutro ten topic będzie już chuj-passe.

Przez moment myśli o tematach, które dziś ją ominęły. O wchodzących do produkcji czipach optycznych drugiej generacji, w których elektrony rekombinują w warstwie fosforu indu, emitując kodujące bity informacji fotony, biegnące dalej w krzemowym światłowodzie i warstwie ultraczystego szkła; kolejnym etapie rozwoju architektury kart graficznych 3D, technologii CUDA (Computer Unified Device Architecture), dzięki której karty i serwery obliczeniowe, bazujące na układach graficznych Tesla T20P, dysponują łączną mocą obliczeniową 18 teraflopów, a domowy pecet po doinstalowaniu nowej karty zmienia się w osobisty superkomputer; o orbitalnej elektrowni indyjskiego Reliance Industries© i Bhāratīya Antariksh Anusandhān Sangatn©, tamtejszej Organizacji Badań Kosmicznych – elektrownia kosztowała 450 mld rupii, ma 86 km kwadratowych powierzchni samonaprawiających się polimerowych ogniw fotowoltaicznych, moc 650 GW i bez szkód

przetrwała przelot Apophisa; o dalszym spadku dolara i wzroście wartości wymiany handlowej między Afryką a Chinami do 112 mld yuanów, za które Chiny importują ropę naftową (z Angoli, Libii i Nigerii), metale szlachetne, diamenty i drewno (z RPA, Gwinei Równikowej, Zambii, Zimbabwe i Konga), nikiel (z Munali), mangan (z Gabonu), rudy żelaza (z Liberii i RPA), w zamian za to sprzedając maszyny rolnicze, information managery I generacji, tanie biotechnologie, farmaceutyki, stare samochody spa-linowe, prostą elektronikę, odzież i podrabianą coca-cole; o indyjskiej konkurencji z Chinami w Afryce, której zasady próbowano uzgodnić na konferencji G4 w Moskwie (to byłby dobry temat do Innego nie będzie™, na Czarnym Łądzie na jej oczach też kończyła się epoka); o wprowadzeniu godziny policyjnej w Bangkoku, gdzie w starciach z rządowym wojskiem demonstrantów z dzielnic biedoty, protestujących przeciwko nadużyciom władzy, zginęło w ostatnich dniach ponad 750 osób; o nowej ofensywie Miejskiej Partyzantki Ogrodniczej w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie i Bydgoszczy, w czasie której aktywiści sadzili nielegalnie w strategicznych punktach swoich miast rzodkiewki, poziomki, truskawki i fiołki; o usenetowym tele-turnieju „Xtreme, Xtreme, Xtreme!™”, w którym zginął człowiek; o zerwaniu przez Chiny kolejnego spotkania w sprawie ustanowienia międzynarodowego Gospodarczego Prawa Kosmicznego; o obchodach w Los Angeles „Roku Blade Runnera”, ogłoszonego przez władze miasta z powodu szczęśliwego dotrwania do dziesiątej rocznicy daty, w której toczy się akcja kultowego filmu; o oficjalnie wprowadzonym w Szwecji nowym sposobie leczenia depresji subklinicznej wśród seniorów, polegającym na masowym wykorzystaniu w terapii gier wideo, dzięki czemu objawy zapaści psychicznej

ustępują lub ulegają znacznemu złagodzeniu u 85% leczonych.

Z Jowity schodzi powoli napięcie całego dnia. Sprawdza jeszcze maile, czyta komcie, przegląda odznaczone blipy, jumpinguje znane grupy dyskusyjne, przesuwa czytanie e-booka Włodarczyk na później, ogląda usenetowy serial komediowy o rednekach z prowincji, dla których profinet to wciąż magia. Po dziesięciu minutach skupiania się na jednej fabule jest rozkojarzona i senna. I-men zaczyna tulić ją do chemicznego snu. Dla rozluźnienia, bezmyślnie, zaczyna wyrysowywać w powietrzu najprostsze wyuczone sieciowe murale.

...

/\

_/\\/\

(\'7d _ \ \

._/ \ . / . \ \

(_)... _m / . \ \

...

.- ~- , ((< . ' .

, . (. *

. \$- (*- ._, - . . - . _ **' . _ >)

*

.H_ . : _ , --- . .

. _

__/_oo=oo_ c-c' ____

...

V V

..____

/(l) (l

**-- /(_`.\
`-..-'. +`.o_o)
\$==. .+* + \ `V |V
/`-+:...+. ^-\^

//\
/

Wzdryga się.

Claudia czuje, jak Alek się wzdryga, kiedy wchodzą do domu, menadżer wysyła Jowicie powiadomienie, o które prosiła.

Jowita czyta info z domowego i-mena i uśmiecha się, uspokojona.

Claudia unosi wargi, pokazuje ząbki, w ciemności, bez włączania światła, prowadzi Aleka do swojego pokoju. Nadnercza bez korbajnu serwują adrenalinę. Jest podniecona. Wchodzą do pomieszczenia i Claudia zamyka bezszelestnie drzwi.

Jowita wchodzi jeszcze z przyzwyczajenia pod adres portalu aukcyjnego i po chwili znajduje piękny mosiężny imbryczek na herbatę w mocno ażurowym zoomorficznym kształcie, skrzyżowanie kota i ptaka. Gdyby aktualna cena utrzymała się do rana, po zmasowanym ataku kolekcjonerów ze Wschodniego Wybrzeża, byłby to całkiem niezły nabytek, nawet uwzględniając cenę przesyłki. Ustawia na Snajperze™ niewielką sumę maksymalną, może się uda, i wyłącza opcję alarmu, gdyby ją przekroczone. Zamierza się jutro wyspać, Snajper™ może poczekać.

Claudia nie chce czekać. Wyciąga z biurka Glocka™ 47.03, kompozytowe cacko niewykrywalne na lotniskach, kupione za gotówkę na bazarze od Wietnamczyków.

Jowita ściąga gogle, układa je na zaskakująco stylowym nocnym stoliku, kupionym w usenecie od Wietnamczyków, rozmasowuje powieki, strząsa z przyzwyczajenia dłońmi, drapie się w łopatkę, ustawia DreamMooda™ na i-menie. Wybiera opcję Wiosna na Mazurach™, ma ochotę na dużo zieleni i mocny granat jezior między drzewami. Odpowiednie dźwięki, dawki przez kość jarzmową, kiedy już znajdzie się w fazie REM, złudzenia zapachów, kompozycje słów kluczowych, impulsy do mięśni, mające symulować ruch we śnie, powinny ją odpowiednio nakierować. Producent daje 80% gwarancję utrzymania się snu w wybranej tematyce, ale Jowicie nie zdarzyło się jeszcze, żeby rozjechała się z ustawieniami. Nieplanned koszmary wyśnione pod DreamModem™, wyrodzone z legalnych ustawień, objęte są już 100% gwarancją pewności.

Claudia pewnym ruchem podaje nielegalną broń Alekowi, nie musi go pytać, czy wie, co ma z nią zrobić. Ustalili to już w kinie, pod protokołami cenzorskimi. Wtajemniczenie do Klubu ma swoją cenę. Poruszają się jak we śnie.

Jowita zasypia, pojawiają się pierwsze hipnagogi. Żeby już zasnąć. Jak zwykle przed snem odgania od siebie myśli o otchłani i śmierci.

Claudia przypomina sobie swój rytuał upokorzenia i krwi, czarny chrzest, członki, smród psiej maski na twarzy, spernę w odbycie i na karku, pocięte uda. Tak w tobie umiera człowiek. Tak w sobie zabijasz człowieka. Żebyś się mógł narodzić. Pyta, czy Alek wybrał już dla siebie nowy nick, to bardzo ważne. Lestat© jest już zajęty, żartuje, i Alek znów nie wie, czy Claudia uśmiecha się, czy tylko obnaża zęby, jak drapieźnik, w wyuczonym geście zwierzęco szczyrzy kły.

Idą przez skąpany w ciszy dom.

Stają przed drzwiami do pokoju Jowity.

Alekowi puszczaają nerwy. Poci się i drżą mu ręce, broń wygląda na cięższą, niż jest w rzeczywistości, zasysa resztki światła jak czarna dziura. Chłopak marzy o tym, żeby kombajn rzygnął mu w krew uspokajaczami, bluznął kolorową tęczą opiatów, kojącą zmysły, odsuwającą myśli. Ale nie, potem to sprawdzą. Nie tak rodzi się w tobie nowy bóg. Boli go brzuch.

Claudia uchyla drzwi.

Alek wchodzi.

Jowita śpi, przewraca się sennie z boku na bok, śni o mazurskich łąkach i wakacjach wśród wysokiej trawy.

Claudia patrzy.

Alek wyciąga dłoń.

Prawie przystawia lufę do głowy śpiącej kobiety.

Nie może, nie może.

Claudia patrzy. Z pogardą? Z ciekawością? Z radością?

Uśmiecha się.

Alek nie może znieść tego uśmiechu.

Tak w tobie rodzi się nowy bóg.

Myśli o krwi na ścianach. Zamyka oczy. Dłoń drży.

Pociąga za spust.

Jowita pochrapuje przez sen, raz, urwanie. I-men śpiewa jej prosto w ucho środkowe słowicznym głosem, pyli jej stopy kurzem z grobli, kiedy pod mocnym sierpniowym słońcem biegnie po ubitej polnej ścieżce.

Alek otwiera oczy. Pod czaszką dudni mu pusty dźwięk zwalnianej iglicy. Koszula i spodnie lepią się do ciała, jest cały mokry.

Dopiero wtedy zaczyna rozumieć.

Claudia się śmieje, Alek teraz już nie ma wątpliwości, bezbłędnie rozpoznaje ten grymas, uniesione wargi. Też obnaża zęby.

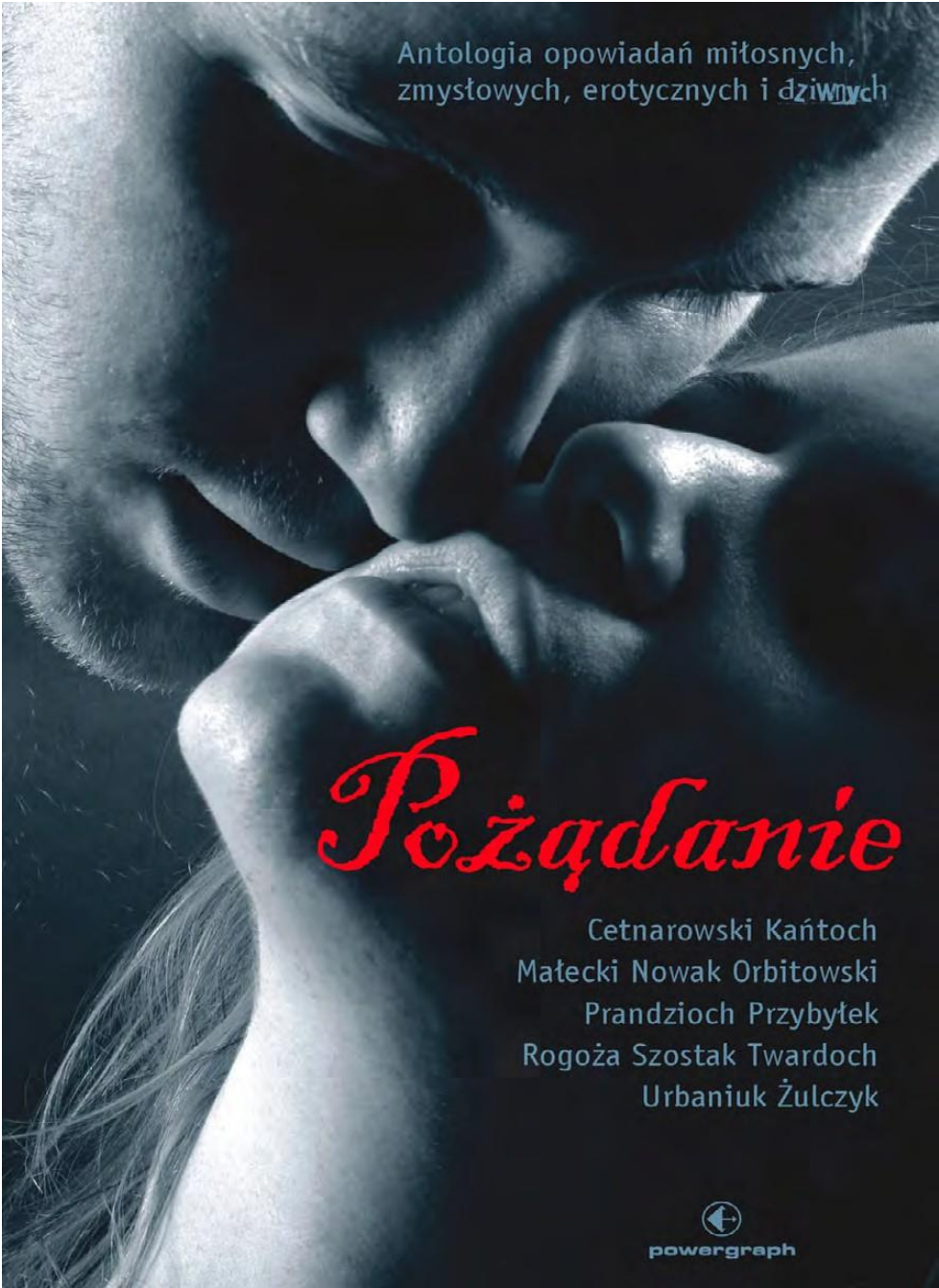
Czuje się jak morderca. Jest mordercą. Patrzy z pogardą na leżące przed nim na łóżku mięso. Mógłby. O tak. Mógł.

Wracają z Claudią z powrotem do jej pokoju, chowają broń do biurka. Pieprzą się potem jak zwierzęta, ujeżdżają dziko, aż boli, gryzą w szyję i pozwalają się gryźć. Bo tak: chcą. Spuszczone ze smyczy kombajny serwują dopalacze na full. Tej nocy już nie zasną.

Jowita się budzi, dokładnie po fazie snu głębokiego, jest wypoczęta i świeża, Snajper™ milczy. Kombajn zwyczajowo serwuje neutralizatory melatoniny i koktajl izotoniczny na bazie glukozy i dopuszczonych do obrotu niezależniających syntetyków kofeiny.

Nikt jej nie przebił, zdobyła imbryczek po niewygórowanej cenie. Jest szczęśliwa i czuje przypływ sił na cały dzień. Zakłada gogle, wchodzi do usenetu, przegląda tematy poranka na serwisach profinetu, otwiera zaprenumerowanego „Global Timesa” i sprawdza, jak z perspektywy Pekinu widziany jest izraelski proces wojskowego drona, który kierując się błędnymi wskazaniem AI, bez rozkazu człowieka zbombardował koczowisko rebeliantów, i ekonomiczna wojna paliwowa w krajach arabskich na Bliskim Wschodzie, wkraczająca w kolejną fazę. B-toothem włącza czajnik, rozjaśnia szyby w pomieszczeniach, przygotowuje prysznic. Programuje śniadanie w blenderze, patrzy za okno, niebo jest bezchmurne. Przekierowuje się tutaj.

Michał Cetnarowski, wiosna-lato 2010



Antologia opowiadań miłosnych,
zmysłowych, erotycznych i dziwnych

Pożądanie

Cetnarowski Kańtoch
Małcki Nowak Orbitowski
Prandzioch Przybyłek
Rogoża Szostak Twardoch
Urbaniuk Żulczyk



powergraph

Anna Kańtoch

Człowiek nieciągly

Opowiadanie pochodzi z antologii *Pożądanie* wydanej nakładem wydawnictwa Powergraph. Tekst ten wkrótce ukaże się również w zbiorze autorki przygotowanym przez wydawnictwo Uroboros.

Dziewczyna jest niewiarygodnie piękna.

Jej skóra ma barwę śmietany kładącej się na języku miękką gęstością aksamitu, a po krzywiźnie piersi język ślizgałby się jak po wzgórku waniliowych lodów, zwieńczonych kandyzowaną wisienką. Piotr jest pewien, że tak właśnie by smakowała – słodko, świeżo i chłodno, gdyby tylko odważył się jej skosztować. Rozsypane na poduszce włosy są jasne z czerwonym połyskiem, lecz powiedzieć o nich „rude” równałoby się nazwaniu V symfonii Beethovena „niezłą muzyką”. Barwa tych włosów to czysta poezja, duet skomponowany ze słońca i ognia. Ten sam kolor wychyla się spomiędzy białych ud i rozszerza w zgrabne serduszko, czego Piotr nie omieszka zauważyć z dreszczem podniecenia. Patrzy, gromadząc w ulotnej pamięci szczegóły, tak jak dziecko gromadzi swoje skarby: pełne wargi i słodki, zgrabny nosek, wąskie biodra i stopy z wysokim podbiciem, tam gdzie skóra jest rozkosznie różowa niczym wewnątrz muszli. Oczy są zamknięte, ale Piotr wie, że gdyby je otworzyła, ich błękit napełniłby jego serce spokojem, jakiego zaznać można w letni dzień, gdy człowiek kołysze się na powierzchni morza ze wzrokiem wbitym w wysokie niebo.

Oczywiście dziewczyna jest też absolutnie, całkowicie martwa, ale cóż, nie można przecież mieć wszystkiego.

Piotr nieśmiało dotyka jej dłoni, po czym przesuwa palce aż do nadgarstka, tam gdzie w białą skórę wgrzyła się czerní ciasno zaplątanego kabla. Pod jego stopami szeleści porzucona na podłodze foliowa reklamówka.

Pięć minut później stoi przed drzwiami mieszkania, czując na sobie wzrok policjanta, którego zwalistość i kwadratowa szczęka psują piękno wspomnień.

—

To pan ją znalazł? — pyta surowo mężczyzna w mundurze. Piotr nie zna jego nazwiska ani stopnia służbowego; być może tamten je podał, lecz szczegóły tak szybko wypadają z pamięci.

—

Ja. — Płaczący się język, pustka w głowie. — Otwarte drzwi, zobaczyłem, pan rozumie... To moja sąsiadka, coś mogło się stać. Wszedłem, wołałem, potem ją znalazłem...

—

Dotykał pan czegoś?

—

Nie...

—

Niech pan wraca do siebie. Darek, idź z nim. — Policjant zwraca się do młodszego funkcjonariusza, który posturą przypomina wieszak na ubrania, ma długi nos i skórę różową od trądziku.

Piotr odwraca się, otwiera drzwi własnego mieszkania i słyszy za plecami ułamek rozmowy.

—

Mieszkała z chłopakiem, może lubili ostre zabawy.

—

To pewnie on. Prosta sprawa.

Stara się zatrzymać pod powiekami obraz rudowłosej dziewczyny, ale wspomnienia już z niego wyciekają, już niemal przestaje wierzyć, że kiedykolwiek widział ją martwą. Z trudem się powstrzymuje, by nie zawrócić i nie przekonać się, że jej ciało istotnie wciąż tam leży, ze skrępowanymi rękami i ciepłym gasnącym pod doskonałą skórą.

Zachowuj się naturalnie, upomina sam siebie, ale przecież to niemożliwe, zachowywać się naturalnie może tylko ten, kto nie wie, że powinien to właśnie robić, a Piotr ma świadomość każdego ruchu i gestu. Powinien teraz być przestraszony czy smutny? A może po prostu zdenerwowany? Jak zachowywałby się w takiej sytuacji niewinny człowiek?

Jest pewny, że nie zabił rudowłosej dziewczyny, jednak świadomość własnej niewinności paraliżuje go bardziej, niż mogłoby sparaliżować poczucie winy. Siedzi sztywno, wycofany w głąb siebie; nie chce tego, ale jego ciało ma inne zdanie i Piotr pod podejrzliwym spojrzeniem młodzieńca z trądzikiem odpowiada krótko, jakby się bał, że lada moment zdradzi go własny język.

Tak, znał ją przelotnie, byli przecież sąsiadami. Nie, żadna głębsza znajomość, tyle tylko że pozdrawiali się na klatce schodowej i rudowłosa dziewczyna – Marika, Piotr dowiadyuje się wreszcie, że miała na imię Marika – raz czy dwa odebrała dla niego przesyłkę, bo listonosz przychodzi rano, kiedy on jest w pracy, a ona przez większość dnia była u siebie. Nie wie, co robiła, może studiowała wieczorowo, może pracowała w domu albo jedno i drugie. Nie zna jej rodziny ani chłopaka, z którym mieszkała, jego też spotykał tylko przelotnie, na schodach, gdy spieszył się do pracy albo sklepu i rzucał

zdawkowe „Dzień dobry”, a ostatnio także „Wesołych Świąt”, bo przecież niedługo Boże Narodzenie. Nie zapamiętał nawet twarzy tego chłopca – był przecież nikim, tylko dodatkiem do pięknej dziewczyny, to ją Piotr pamiętał, nie jego.

Tego ostatniego już nie mówi, choć może jednak tak? Cały kłopot z przeszłością polega na tym, że jest równie niepewna co przyszłość; słowa tak szybko wyślizgują się z ust i wpadają w miejsce, skąd nie ma powrotu, nie sposób ich wydobyć, obejrzeć, przekonać się, czy wciąż są takie, jak podpowiada nam pamięć.

Piotr proponuje policjantowi herbatę, a potem dwa razy wraca do kuchni.

Czy wyłączył gaz?

Czy powiedział coś, co zdradziło jego fascynację tą dziewczyną?

Piotr jest bowiem człowiekiem nieciąłym, zawsze taki był, a przynajmniej tak mu się w tej chwili wydaje – bo Piotr terazniejszy nie ma wiele wspólnego z Piotrem sprzed godziny, a ten z kolei różni się od Piotra wczorajszego. Kolejne wersje Piotrów gładko przechodzą jedno w drugie, a on czasami myśli, że udaje mu się zachować przy tym rdzeń swojej osobowości, a czasem, że nie.

O swojej nieciąłości Piotr myśli w sposób nieciąły wieczorem, już po wyjściu policjanta, gdy odpisuje siostrze na e-maila. To tradycyjne zaproszenia na święta, które przyjmuje, choć wcale nie ma na to ochoty; nie przepada za Bożym Narodzeniem, jednak konsekwencje odmowy mogłyby zbyt poważnie zachwiać jego kruchym światem, w którym tak mało jest rzeczy pewnych.

Potem szykuje kolację i wraca przed komputer, by kilka razy sprawdzić treść wysłanej już wiadomości.

Czy odpisał Dorocie, że chętnie przyjdzie na kolację wigilijną, czy może zdradzieckie ręce wystukały „Pierdol się, głupia krowo”?

Piotr bierze prysznic, potem wraca przed komputer, wstaje, znowu siada. Sprawdza po raz kolejny, czy gaz pod czajnikiem na pewno jest wyłączony.

Czy zabił Marikę, tak jak sobie to wyobrażał?

Marika – imię smakuje jak suszona śliwka. Kleista słodycz długiego „ma” złamana lekko kwaskowatym „ri” i dymne „ka” na samym końcu, niczym ostatnia nuta w bukietcie wina.

Ma-ri-ka.

Piotr powtarza jej imię w myślach, gdy po południu odpala samochód, by pojechać do najbliższego marketu. Trzeba kupić siostrzeńcowi prezent (Dorota z właściwą jej subtelnością wymieniła w e-mailu tytuł gry komputerowej, nie musi się więc wysilać), chleb, trochę wędliny, może parę puszek piwa. Niczego więcej nie potrzebuje, i tak przecież nie będzie spędzał świąt u siebie.

Świat na zewnątrz utknął pomiędzy jesienią a zimą. Chwila tuż przed pierwszym śniegiem, gdy w powietrzu wisi zapowiedź

lodowatej zamieci, rozciągnęła się do dwóch tygodni w nieznośnym napięciu jak z filmów Tarantino. Odarte z ostatnich liści drzewa, brązowa trawa, niebo w kolorze chłodnego ołowiu – to pozbawiony błogosławieństwa bieli martwy świat, w którym zima jest przyczajonym za drzwiami obcym. Nie widać jej, ale ją czuć; wiatr niesie zapach ciężkiej od wilgoci ziemi i korzeni gnijących pod warstwą nocnego lodu. Śnieg

mógłby przynieść ulgę, ale śniegu nie ma i w tej chwili Piotr niemal wierzy, że Boże Narodzenie nigdy nie nadejdzie.

Nie jest jedyny – w markecie przebrany za Świętego Mikołaja mężczyzna potrząsa dzwonkiem, którego głos brzmi płasko i fałszywie, a ludzie pchający wyładowane wózki uśmiechają się bez przekonania.

Wesołych Świąt, ho, ho, ho.

Ma-ri-ka, smakuje imię Piotr.

Gdy wraca do domu, jest już prawie ciemno; niebo zaciągnięte nocą jak burzowymi chmurami, których jałowość drażni nerwy.

Pod klatką widzi przyczajoną sylwetkę, a może tylko mu się zdaje?

Oderwana sklepowa markiza łopocze w podmuchach grudniowego wiatru, przy śmietniku, od którego ciągnie słodki zaduch, buszują bezdomne koty. Nagle w krąg rzucanego przez latarnię światła wskakuje łaciaty cień i miaucząc przeraźliwie, przebiega obok Piotra. Mężczyzna klnie i wtedy właśnie w ślad za zwierzęciem z mroku wynurza się drobnokościsty wyrostek.

Robert – Piotr pamięta nawet jego imię – chłopak Mariki. Czy policja już z nim rozmawiała, czy może Robert się przed nimi ukrywa?

Piotr przystaje, a potem, zirytowany własnym tchórzostwem, rusza do przodu. Robert odsuwa się, nie spuszczając wzroku z nadchodzącego mężczyzny. Ma na sobie obszerną bluzę z kapturem, zbyt cienką jak na tę temperaturę, kuli się, dłonie trzyma w kieszeniach dzinsów. Po raz pierwszy Piotr na niego patrzy, nie – przelotnie zauważa, lecz naprawdę patrzy i uderza go podobieństwo do Mariki.

Są niemal tego samego wzrostu, oboje szczupli, z obo-

jętnymi twarzami elfów. Ona była nieco chłopięca, włosy ści-
nała krótko, miała wąskie biodra i drobne piersi, w nim nato-
miast jest coś dziewczęcego: w długich rzęsach i wykroju ust,
w spadających na oczy lokach, które odrzuca niecierpliwym
ruchem głowy. Jakby wiążąc się, wychodzili jednocześnie so-
bie naprzeciw, by spotkać się gdzieś pośrodku androgynicznej
jedności.

Robert – imię nie ma smaku, jest twarde, zgrzytające w
zębach jak ubrudzone ziemią kamienie.

Niemniej jest też w tym chłopcu pewna dostępność,
która mogłaby wydawać się pociągająca, gdyby Piotr gustował
w przedstawicielach swojej własnej płci. Oto możliwy scena-
riusz: Piotr proponuje Robertowi kubek gorącej herbaty, a
chłopak idzie za nim do mieszkania na drugim piętrze, gdzie
pozwala zdjąć z siebie tę okropną bluzę i zrobić ze swoim
młodym ciałem wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Piotr wchodzi w mrok klatki schodowej, podczas gdy
możliwość rozszczepia się za jego plecami w wachlarz nie-
spełnionych przeszłości. Czy minął Roberta w milczeniu, czy
może jednak zaproponował mu herbatę i został odrzucony? A
może stało się coś jeszcze innego, w wyniku czego idąc teraz
po schodach, czuje wypalony na karku wzrok chłopca w zbyt
obszernej bluzie?

W domu wkłada jedzenie do lodówki, a grę dla Bartka
kładzie na biurku. Potem odpala komputer, otwiera puszkę
piwa i wchodzi na czat erotyczny. Posługuje się różnymi nic-
kami, gardząc w skrytości ducha tymi, którzy nie potrafią na-
wet poprawnie napisać: „Skąd klikasz?”. Gardzi także prymi-
tywnymi sposobami budowania wizerunku: dwadzieścia cen-
tymetrów i klata jak kaloryfer to zdecydowanie nie jego me-
tody. Piotr jest subtelniejszy, uwodzi, tworząc od nowa nie

tylko siebie, ale cały świat: dziś jest nieśmiałym chłop-cem (ubranym w zbyt obszerną bluzę z kapturem?), który proponuje scenariusz swojej fantazji: on będzie studentem konserwatorium, a spotkana na czacie kobieta nauczycielką, której zainteresowania nie ograniczają się tylko do muzyki.

Cóż, przynajmniej ma nadzieję, że to naprawdę kobieta.

Jest w tej chwili jeden, konkretny i stały. Jutro, tak samo pojedynczy, choć zupełnie inny, pójdzie do pracy, gdzie przez osiem godzin będzie odbierał telefony i wklepywał do komputera dane.

Pewnego dnia Piotr rozpęknie się i wypadną z niego wszystkie inne Piotry: te, którymi był przez dzień albo pół minuty, te, którymi mógł być i którymi bał się stać. Zdradzą go rzeczy, o których śni i które jedynie przemknęły mu przez myśl – jak to nieszczęsne zaproszenie na herbatę, które było przecież opowiedzianym samemu sobie żartem.

Być może najwyższa pora, by wreszcie coś z tym zrobić: znaleźć sobie prawdziwą, niewirtualną dziewczynę, zacząć normalnie żyć. Siostra powtarza mu to każdego roku, gdy siedzą przy wigilijnym stole, a Piotr robi wtedy rachunek sumienia i postanawia się zmienić: nie tylko wyobraża sobie wtedy siebie jako innego człowieka, ale się nim staje, na godzinę, dwie, czasem więcej.

Miał kiedyś prawdziwą dziewczynę, Weronikę, jeszcze na studiach. Twierdziła, że potrafi odróżnić wiosnę od jesieni po kolorze słonecznych promieni. Wiosenne światło jest ostre i żółte jak cytryna, mawiała, chłodne, ale pełne życia, jesienne, za to łagodne niczym bursztyń z opiłowanymi przez wodę kantami. To jedyny w naturze paradoks, kiedy zimno jest ciepłe, a ciepło zimne.

Mieszkali razem przez jakiś czas, jednak już wtedy real-

ność uwierała Piotra jak źle dopasowane buty. Przy Weronice czuł się niekonkretny, granice jego płynnej osobowości bezustannie były atakowane przez samą jej obecność. Dopiero gdy odeszła, potrafił stworzyć samego siebie na nowo.

Przed dwunastą, gdy scenariusz fantazji rozkręca się na dobre, do Piotra pisze martwa dziewczyna.

„Nieznajomy przesyła wiadomość” – migocze ikonka komunikatora, a Piotr zamiera. Być może stało się wreszcie to, czego tak bardzo się obawiał: on nigdy nie podaje publicznie swoich danych, ale inne Piotry mogły przecież być mniej ostrożne.

„Cześć, tu Marika, chcesz poczytać naszego bloga?”.

Wstaje, wychodzi do kuchni i sięga do lodówki po następne piwo. Wypija je z cichą nadzieją, że nim wróci, przeszłość zmieni się w taką, w której żadnej wiadomości nie było. Podniecenie całkiem z niego opadło, pozostawiając po sobie mdlący osad niepokoju. Kimkolwiek był mężczyzna, który przed chwilą zabawiał się z poznaną na czacie kobietą, już go nie ma i Piotr nie może uwierzyć, że kiedykolwiek go znał.

Wraca przed komputer; ekran pulsuje kolejną wiadomością – tym razem jest to adres internetowy. Piotr po chwili wahania klika w link, czując się jak rozbitek dryfujący na falach najbardziej niesamowitych możliwości. Nie sposób teraz przewidzieć, jaka będzie przyszłość ani jaka była przeszłość; przez krótką chwilę Piotr naprawdę wierzy, że dziewczyna jednak żyje, że wcale nie widział jej martwej – może tylko mu się śniło? Jednak i to jest niepewne, jak wszystko wokół, ciągnący się wstecz i naprzód czas rozmywa się i kształtuje na nowo.

Myśl, że Marika mogła zauważyć jego zainteresowanie i teraz w tak osobliwy sposób chce nawiązać kontakt, sprawia, że Piotrowi zaczyna się kręcić w głowie.

A więc klika, szybko, zanim napłynie kolejna możliwość.

Blog jest czarno-biały, w stylu, który Piotrowi niejasno kojarzy się z malarstwem Alfonsa Muchy – dużo zawijasów i esów-flore-sów, a do tego stylizowana na przedwojenną czcionka. Z pierwszego zdjęcia patrzy na Piotra Marika: siedzi na ławce w parku z głową wspartą na ramieniu Roberta, na jej twarz pada cień rozrosłego ponad miarę buka. Piotr z jakiegoś powodu ma pewność, że to jesień, choć na czarno-białej fotografii nie widać koloru liści – jest jednak w tej scenie jakaś łagodna melancholia, Piotr mógłby się założyć, że światło tamtego dnia miało kolor bursztynu, który tak długo leżał w wodzie, że jest teraz krągły i gładki, bez żadnych kantów.

Marika patrzy na niego tak, jak spojrzała wtedy, gdy zwrócił na nią uwagę po raz pierwszy. On wchodził po schodach, ona po nich zbiegała, w pośpiechu zapinając kurtkę, na uszy już miała naciągniętą czapkę, dłonie tkwiły w rękawiczkach o barwie tak czerwonej, że zawstydziłaby polne maki. Rzuciła mu spóźnione „Dzień dobry”, patrząc z roztargnieniem ponad poręczą, a on jej zapragnął. Nie od razu, to przyszło później, powoli, tak iż przegapił moment, kiedy Marika nagle wypełniła jego świat, gdy jednak to się wreszcie stało, przeszłość zwinęła się z kocim pomrukiem i ukształtowała na nowo, a on wiedział już, że pożądał tej dziewczyny od początku, od tamtej chwili, kiedy jeszcze pozdrawiali się obojętnie na schodach.

Wtedy też zrozumiał, że ona się z niego śmieje i zawsze się śmiała. Kpina w jej głosie, kiedy mówiła „Dzień dobry”, cień drwiny w błękitnych oczach. Nie zastanawiał się nad przyczyn-

ną, pewnie wystarczyło, że młodość i piękno Mariki zmieniały go w zgarbionego, łysiejącego mężczyznę po trzydziestce, a tego nie potrafił wybaczyć – być może dlatego pomyślał kiedyś, przez chwilę, przez całe życie, że mógłby ją zabić.

Nie byłoby to trudne; Marika, gdy była w domu, nie zamykała drzwi na klucz – wiedział o tym, bo dwa czy trzy razy widział, jak Robert wchodzi, po prostu naciskając klamkę. Piotr też mógłby tak zrobić.

Możliwy scenariusz: wchodzi cicho, ostrożnie, ledwo ośmielając się oddychać. W nowym miejscu jest zdezorientowany, ale to szybko mija, w końcu rozkład mieszkań w całym bloku jest podobny.

Znajduje więc pokój, który u siebie nazywa salonem – Marika tam jest, śpi na tapczanie spowita w promieniujące od kaloryfera gorąco, krople potu spływają po unoszonych równym oddechem nagich piersiach. Zapach alkoholu jest ledwo wyczuwalny, ale gdy Piotr pochyła się nad dziewczyną, zawiesista woń przetrawionego wina i piwa uderza go w nos, jakby wpadł na ścianę. Marika znowu wróciła nad ranem, a on znowu ją widział, jak wiele razy przedtem – tyle że tym razem poczekał, aż z mieszkania wyjdzie Robert, by potem zrobić to, co chciał zrobić.

Dalszy ciąg możliwego scenariusza: wiąże jej ręce przyniesionym kablem, a ona nie stawia oporu; budzi się tylko i mamrocze coś nieskładnie – może bierze go za Roberta? Kiedy zrozumie, co się dzieje, będzie już za późno: Piotr założy jej na głowę worek foliowy, zwykłą reklamówkę, jaką można dostać w każdym markecie, a potem zaciągnie brzegi wokół szyi i poczeka, aż dziewczynie zabraknie powietrza.

Ten worek zdejmie później, by po raz ostatni nacieszyć oczy widokiem jej twarzy – reklamówkę policjanci znajdą na

podłódze, a chwilę wcześniej Piotr spojrzy na nią, nie pojmując, co właściwie widzi.

Piotr wstaje i wędruje do szafki, by sprawdzić zapas czarnego kabla, którego używa czasem przy drobnych naprawach. Zwój znajduje się na swoim miejscu, ale mężczyzna nie potrafi powiedzieć, czy jest teraz mniejszy, czy też nie.

Wraca przed komputer, wstaje, znowu podchodzi do szafki i patrzy na zwinięty w ciasny kłębek kabel, zamyka szufladę i znowu ją otwiera. Nawet przeszłość sprzed kilkunastu sekund nie jest już pewna.

Czarno-biały blog mruga do niego zachęcająco z ekranu, mija jednak dobra chwila, nim Piotr nabierze na tyle odwagi, by zacząć czytać.

wpis pierwszy:

Dawno, dawno temu byli sobie mały chłopczyk i mała dziewczynka.

—

Wymyśliłam nowy sposób podróżowania — powiedziała pewnego dnia dziewczynka. — Ziemia obraca się wokół własnej osi w ciągu dwudziestu czterech godzin, prawda? Wystarczyłoby więc tylko wejść gdzieś wysoko i poczekać, aż przesunie się pod twoimi nogami. Wyobraź sobie, siedzisz w powietrzu przez cały dzień, a potem hop!, zeskakujesz już do Ameryki. Fajne, nie?

—

Uderzyłabyś po drodze w góry. — Chłopiec jest sceptyczny. — Albo spadłabyś do oceanu.

—

Uważałabym — upiera się dziewczynka. — A poza tym mogłabym wybrać takie miejsce, żeby po drodze nie było gór. Tylko musiałabym znaleźć punkt, który nie kręci się z całą

Ziemią. Gdyby mi się udało, byłabym już nie w środku, tylko na zewnątrz. Po prostu bym czekała, aż znajdę się dokładnie tam, gdzie chcę.

Tej nocy przewraca się pod kołdrą niespokojnie, śniąc samotność, która przysiadła na jego łóżku. Najeżona kolcami, szara jak kłęb kurzu, pochyla się nad Piotrem, a on czuje jej ciężar i zapach, drapiący w gardło, jakby próbował oddychać węglowym pyłem. Śni mu się także upływający czas, minuty, godziny i dni prześlizgujące się przez palce z gładkością namydlonych paciorków. Wiosenny pierwszy raz i jesienny ostatni, obłany złotym smutkiem jak rogalik lukrem, a w końcu śni, że stoi na statku, wpatrzony w niespokojne morze, i żuje kawałki pozbawionego smaku mięsa, które rosną mu w ustach. Wypluwa je dyskretnie do wody, z nadzieją, że inni pasażerowie tego nie widzą, ale mięsa jest coraz więcej i więcej. W końcu orientuje się, że to jego własne ciało, że od środka odrywa zębami kawałki samego siebie i pożera je.

Budzi się rano zmęczony, z bólem głowy i nieodpartym wrażeniem, że duch Mariki jest w jego mieszkaniu – być może spał z nią nawet tej nocy, choć niezupełnie w taki sposób, jak sobie tego życzył.

wpis drugi:

Żadne nie pamięta czasów, gdy było samo, w ich wspomnieniach zawsze są razem. Pierwsze wspomnienie jego: wyciąga rękę w ciemności i ona tam jest, ciepła i miękka, z włosami pachnącym truskawkowym szamponem; jej obecność odgania czające się pod łóżkiem potwory i pozwala spokojnie spać.

Jej pierwsze wspomnienie: nie ma takiego, po prostu Ro-

bert był zawsze i już. Choć gdyby miała wybierać, wskazałaby dzień, gdy płakał przy huśtawce, rozmazując ciekącą z rozbitego nosa krew, a ona podeszła i objęła go – odpowiedzialności, którą wtedy na siebie wzięła, nie będzie potrafiła się zrzec do końca życia.

Robert przychodzi wieczorem, na dwa dni przed Wigilią, gdy śniegu wciąż nie ma, a święta mimo natrętności kolęd i bożonarodzeniowego wystroju miasta wydają się odległe o lata świetlne.

Piotra nie dziwi ta wizyta – w pewien sposób się jej spodziewał, przemyka mu nawet przez myśl, że sam chłopaka zaprosił.

W przedpokoju Robert zdejmuje kurtkę, pod którą ma czerwoną sukienkę założoną na niezbyt czyste dzinsy, jasnorude włosy spadają na umalowane oczy.

—

To jej, Mariki — tłumaczy, widząc zdumiony wzrok Piotra. — W ten sposób ona wciąż jest ze mną, rozumie pan?

Piotr kiwa głową, choć czuje się zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek zrozumieć.

—

Zrobię ci herbaty — mówi.

Chłopak z umalowanymi oczami idzie za nim do kuchni.

Czerwona sukienka sprawia, że jego młodzieńcze ciało wydaje się delikatniejsze, makijaż podkreśla dziewczęcość rysów. Robert wygląda prawie ładnie w swojej nieokreśloności, w zawieszeniu pomiędzy tym, co męskie, a tym, co kobiece. Dostępność, którą Piotr dostrzegł w nim wcześniej, teraz jest widoczna jeszcze bardziej – zakładając sukienkę, Robert wyszedł poza granice swojej płci, nie chronią go już konwenanse. Jest czystą możliwością, której może przydarzyć się wszystko.

—

Policja cię szuka — wspomina Piotr, kiedy milczenie staje się krępujące.

Chłopak wzrusza ramionami.

—

Już mnie znaleźli. Rozmawiałem z nimi.

—

I puścili cię?

—

Na razie, ale pewnie w końcu i tak mnie aresztują.

Myślą, że to ja zabiłem Marikę.

Piotr podaje mu kubek, o który chłopak grzeje ręce. Wygląda na zmęczonego, cienie pod jego oczami to nie tylko efekt makijażu.

—

A zabiłeś? — Nie chciał zapytać, ale słowa wymknęły mu się, zanim zdążył pomyśleć.

Robert powoli kręci głową – ma to znaczyć „nie” czy może raczej „nie wiem”? Z jakiegoś powodu Piotr nabiera pewności, że to drugie – może on też jest człowiekiem niecią-głym, może Piotr znalazł wreszcie bratnią duszę?

—

To powinienem być ja — mówi powoli Robert, podczas gdy Piotr obraca w ustach jego imię, starając się odnaleźć w nim smak. — To ja powinienem nie żyć.

wpis trzeci:

Nie ma mowy o miłości, dopóki są jednym i tym samym; zaczyna jej pragnąć, dopiero gdy staje mu się obca – dojrzewa-

jące ciało tak inne od jego ciała, jej miłość, tak bezwarunkowa, nieograniczająca się do nikogo ani do niczego. Kiedy ma jedenaście lat, dziewczynka kocha się w Henrim de Toulouse-Lautrecu, który był brzydki i nieszczęśliwy, a przecież genialny; to namiętność, która wybucha płomieniem i spala się we własnym ogniu w kilka wiosennych tygodni. Potrafi kochać muzykę na fortepian, która brzmi jak krople deszczu rozpryskujące się na uniesionej do nieba twarzy, nazwy geograficzne takie jak „Indochiny” czy „Ladakh”, a także dźwięk słowa „pieszczota”. Kocha opowieści: Kitty idącą na bal w tiulowej sukni na różowym spodzie, Caravaggia i Hanę tańczących do melodii granej przez gramofon oraz Corsa z jego króliczym uśmiechem, śpijącego z dziewczyną, która była diabłem.

Jemu całe to bogactwo uczuć wydaje się czymś dziwnym i zupełnie niepotrzebnym. Jest zazdrosny, jeszcze zanim zacznie być zakochany. Jego miłość od zawsze, od samego początku ma odcień gniewu: pragnie zabrać jej tę obcość, wymazać, jakby nigdy jej nie było, i na powrót uczynić dziewczynę swoją.

Od chwili, gdy zobaczył Marikę na schodach, każda kobieta, z którą flirtował w sieci, miała jej twarz, a czasem także imię, jeśli tylko udało mu się nieznaną namówić.

Możliwy scenariusz: zaprasza Marikę do siebie po jednej z tych kłótni, których tak często jest milczącym świadkiem – wrzeszczą na siebie wtedy, a on nasłuchuje przy cienkiej ścianie gierkowskiego bloku, udając, że nie słucha wcale. To Marika zawsze głośniej krzyczała, Robert był łagodniejszy, w jego głosie więcej było prośby niż złości.

Po takich sprzeczkach dziewczyna wypadała z mieszkania, trzaskając drzwiami, i wracała dopiero nad ranem, z rozmazanym makijażem i cuchnąca papierosowym dymem.

Mógłby otworzyć przed nią drzwi, powiedzieć, że wygląda na zmęczoną, a u niego dostanie filiżankę świeżo zaparzonej kawy. Zgodziłaby się, był – czy może raczej czasem bywał – tego pewien. Miał swoją wizję takiego dnia: w okno bębni deszcz, słońce rozmyte szarością grudniowego poranka. Ten dzień mógłby taki właśnie być, ani jesienny, ani zimowy, zawieszony w beczasie tylko dla nich. Dziewczyna przymknęłaby oczy, grzejąc dłonie o kubek z kawą, czerwona sukienka podciągnięta do połowy uda pokazywałaby zaróżowioną od zimna skórę. Mógłby Marikę objąć, mówiąc do niej kojącym tonem rzeczy, które nie mają żadnego znaczenia. W takich chwilach zaciera się granica pomiędzy pocieszeniem a pożądaniem, ręce tak zgrabnie wślizgują się pod warstwy zimowej odzieży, gładka i chłodna skóra czeka, aż ktoś ogrzeje ją dłońmi. Zdejmowałby z Mariki po kolei wszystkie ubrania, aż wreszcie zostałaby naga, cała biała, miękka i zimna od deszczu – istota doskonała, bo ani kobieca, ani męska, zmęczony anioł w jego łóżku, pozwalający Piotrowi nasycić się do woli idealnym ciałem.

wpis czwarty:

Powiedzą później, że to była jego wina, ponieważ jest mężczyzną, a ona kobietą – on jednak ma pewność, że sprawy wyglądały zupełnie inaczej, to ona od początku chciała go mieć, tak jak miała wszystko inne: chłopców i dziewczyny, książki, muzykę i słowa. Sukienki zdejmowane, gdy wiedziała, że patrzy na nią z ukrycia, dotyk pachnących truskawkami włosów, gdy pochylała się nad nim, chichocząc. Czy można się dziwić, że wreszcie jej zapragnął?

W którymś momencie ona wystraszy się tej miłości i będzie chciała odejść, zostawiając go lekko, jakby między nimi nigdy nic się nie zdarzyło.

Wtedy on wyjmie z szafki tabletki, a ona wróci, kiedy będzie wymiotował w łazience. Nigdy już później nie będą sobie tak bliscy jak wtedy, gdy dziewczyna trzyma rękę na mokrym od potu karku chłopaka, wyczuwając pod palcami rozrywającą jego gardło kwaśną rozpacz.

—

Ty przesłałeś mi linka do waszego bloga, prawda?

— Teraz, gdy Piotrowi przyszło to do głowy, wyjaśnienie wydaje się oczywiste. Jakim cudem mógł kiedykolwiek myśleć, że wiadomość przesłała martwa Marika?

—

Ja. — Robert siedzi na tapczanie w jego mieszkaniu, ciemne rajstopy opinają zgrabne łydki, krótka spódniczka pokazuje więcej uda, niż nakazywałyby przyzwoitość.

—

Po co?

Wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że pytanie nie jest warte odpowiedzi. Piotra irytuje jego postawa: czy wszyscy młodzi ludzie są tak obojętni i mrukliwi, czy może Robert po prostu cierpi po śmierci Mariki?

—

Które z was pisało ten blog? Ty czy ona?

—

A co za różnica? Myśleliśmy tak samo.

—

To prawda, co tam jest napisane?

Robert uśmiecha się powściągliwie umalowanymi czerwona szminką ustami.

—

Tam jest to, co pamiętamy. Może wszystko wyglądało tak, a może inaczej. Pan nie ma wspomnień, które nie są prawdziwe?

—

Nie, oczywiście, że nie.

—

To co pan pamięta z dzieciństwa?

—

Padał deszcz, a ja wyszedłem z domu i puszczałem 68 papierowy statek na wodzie płynącej wzdłuż ulicy. — Piotr wymienia najżywsze ze wspomnień. — Miałem na sobie żółtą pelerynę przeciwdeszczową i taki zabawny żółty kapeluszik. Nieważne, mieliśmy rozmawiać o Marice, nie o mnie. Ona chciała z tobą zerwać, tak jest tam napisane.

—

Zrywała ze mną już wiele razy i zawsze wracała. Nie za-
biłem jej z tego powodu, jeśli o to panu chodzi.

—

Po co właściwie tu przyszedłeś?

Chłopak sięga do kieszeni różowej bluzy i rzuca na stół złożoną wpół kartkę.

—

Wezwanie na komendę, dla pana. Zostawili je u mnie
dziś rano.

Piotr rozkłada biały prostokąt – przesłuchanie ma się
odbyć jutro, 24 grudnia. To wydaje się nie w porządku, ale
ostatecznie przecież Wigilia jest zwyczajnym dniem pracy.

—

Wygląda na to, że będzie miał pan spieprzone święta —
mówi Robert beznamietnym tonem.

Powinien teraz wstać i wyjść, Piotr tego właśnie chce, bo napięcie i niepewność wydają się nieznośne. Niemal to widzi: chłopak, który wygląda całkiem jak dziewczyna, podnosi się i kieruje do drzwi, ciężki i niezgrabny od przepelniającego go smutku. Ostatecznie jednak jego rzeczywistość przegrywa z rzeczywistością Roberta i chłopak wciąż tkwi na kanapie. O szyby zaczyna bębnić deszcz, słońce rozmyte szarością grudniowego poranka.

—

Czasem pan tak na mnie patrzy... — zaczyna chłopak, a Piotr, choć nie chce, jednak zadaje pytanie: — Jak?

—

Jakby miał pan na mnie ochotę. — Piotr nie ma pewności, co jest w tych oczach: kpina, wyzwanie czy zwyczajna młodzieńcza przekora. — To prawda?

Wpatrzony w siedzącą na tapczanie istotę, mężczyzna nie czuje ani odrobiny podniecenia. Powoli kręci głową.

—

Może to przez to ubranie? Wolałby pan, żebym założyła spodnie? Żebym była chłopakiem?

—

Nie wiem, może.

—

Sorry, nie ten adres.

Robert wstaje i idzie w stronę drzwi. W progu jeszcze się odwraca.

—

A tak w ogóle pana wspomnienie, to z papierowym statkiem, jest z filmu, tytuł wyleciał mi z głowy. Tam coś podobnego było.

Zamyka za sobą drzwi. Deszcz wciąż bębni w okno, a

Piotr ledwo ma odwagę oddychać, bojąc się, że lada moment rozpadnie się jak szyba, o którą zbyt mocno uderzył wiatr.

wpis piąty:

W jesienny dzień chłopak i dziewczyna siadają na ławce w parku.

Ona mówi do niego coś z przejęciem, on uśmiecha się, kiwa głową i nawija na palec kosmyk jej włosów.

wpis szósty:

W jesienny dzień chłopak i dziewczyna siadają na ławce w parku.

On mówi do niej coś z przejęciem, ona uśmiecha się, kiwa głową i nawija na palec kosmyk jego włosów.

Dzień dogasa w zimowej szarości, gdy Piotr tkwi na komendzie, a gruba policjantka spisuje jego zeznanie. Robi przy tym mnóstwo literówek; Piotr widzi to, ale nie ma śmiałości zwrócić jej uwagi.

Imię, nazwisko, adres.

Patrzy przez okno, smakując w ustach słowo grudzień: szorstkie i zimne. Grudzień jest bryłą lodu pełną ziemi i kamieni, starą zmarzliną, która zalega w cieniu jeszcze wtedy, gdy słońce dawno zaczęło świecić wiosennym blaskiem w kolorze cytryny.

Przenosi wzrok na policjantkę, która pewnie wolałaby być w domu, przygotowując się do kolacji wigilijnej. Piotr ją rozumie, choć sam niedawno zadzwonił do siostry i nie bez pewnej satysfakcji poinformował ją, że się spóźni, bo musi iść na przesłuchanie – wtedy był innym człowiekiem, takim, który uważał to wszystko za niezły żart.

Teraz nie pamięta już, na czym właściwie ten żart miałby polegać.

Policjantka od czasu do czasu zerka w stronę leżącej na biurku komórki, by dyskretnie sprawdzić godzinę. Telefon rozdzwania się w pewnym momencie świąteczną melodyjką, a kobieta ucisza go niecierpliwym gestem. Z zaciśniętymi ustami czyta SMS-a. Mąż czy dzieci, które nie mogą się doczekać, aż mama wróci z pracy?, przelotnie rozważa Piotr. Policjantka opanowuje irytację i zadaje kolejne pytanie.

Piotr zastanawia się, czy komuś tu przyjdzie do głowy, że mógłby naprawdę zabić. Im dłużej nad tym myśli, tym bardziej wydaje mu się, że tak; obojętna twarz grubej kobiety wydaje się kryć oczywiste, choć nieme oskarżenie.

—

Nie zabiłem jej — mówi, gdy napięcie staje się nieznośne. — Nawet jej nie znałem.

Policjantka unosi brwi.

—

Jej?

—

Mariki — mówi Piotr. — Nie znałem Mariki.

—

Marika Mikołajczyk ma się znakomicie, to przesłuchanie w sprawie zabójstwa Roberta Mikołajczyka. O czym pan mówi?

Piotr patrzy pustym wzrokiem, sekundy upływają w ciszy.

Zamyka wreszcie oczy.

—

Roberta?

Policjantka się irytuje.

—

Niech pan nie udaje idioty. Przecież znalazł pan jego ciało.

Ciało, ach tak, przypomina sobie Piotr. Doskonałe ciało młodego mężczyzny, który wyglądał trochę – ale na szczęście nie za bardzo – jak dziewczyna.

—

Ładny chłopiec — mamrocze.

—

Ładny? — Gruba policjantka robi się mniej obojętna, a odrobinę bardziej podejrzliwa. — Jak dobrze pan go znał?

—

Przelotnie, spotykaliśmy się czasem na schodach, wie pani, jak to sąsiedzi... Myślałem o nim czasem, choć on się ze mnie śmiał.

—

W jakim sensie pan o nim myślał?

—

Nie wiem. Że chciałym go dotknąć. To ma sens, prawda?

Kobieta patrzy na niego, w jej oczach widać nagły błysk strachu.

—

Panie Szulkowski, czy zabił pan Roberta Mikołajczyka? — pyta, jakby sama nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

—

Tak — mówi Piotr z ulgą. — Musiałem to właśnie zrobić.

Policjantka przetyka ślinę – Piotr ją zaskoczył, co w pewnym sensie sprawiło mu przyjemność. Uśmiecha się, chcąc złagodzić lęk w jej oczach, a potem znowu przenosi wzrok na

okno. Jest prawie zupełnie ciemno, na kolację wigilijną i tak pewnie już nie zdąży. Trudno.

Mimo to czuje się niemal szczęśliwy, kiedy przeszłość układa się wokół niego miękko jak fałdy dobrze skrojonego płaszcza. Oczywiście wszystko dobrze pamięta. Nigdy tak naprawdę nie interesowały go dziewczyny, jego zamięłowanie do chłopięcych bioder i małych piersi było w istocie skrywanym pożądaniem chłopięcego ciała. Dopiero Robert mu to uświadomił. Teraz wszystko nabiera sensu: jego długoletnia samotność, fakt, że nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie kobiet.

Jak powiedział tamten młody policjant, to naprawdę była prosta sprawa.

Piotr nie przestaje się uśmiechać, nawet gdy na jego rękach zatrzaskują się kajdanki. Przez krótką chwilę, która obejmuje całą jego przeszłość i przyszłość, czuje się wreszcie człowiekiem kompletnym i ciągłym.

Anna Kańtoch

Okno Myszogrodu

Opowiadanie pochodzi z antologii *Rok po końcu świata* wydanej nakładem wydawnictwa Powergraph. Tekst ten wkrótce ukaże się również w zbiorze autorki przygotowanym przez wydawnictwo Uroboros.

W chwili, gdy myłem zakrwawione ręce, a potem wrzuciłem do rzeki ciężki jutowy worek, wiedziałem dokładnie, co czeka mnie w ciągu najbliższych czternastu dni.

Stojąc wciąż na nadbrzeżu, patrzył będę, jak wzburzone wody Wisły pochłaniają ciało człowieka, którego zabiłem. Zgarbię się i uniosę dłonie, by ochronić głowę przed naporem siekącego deszczu z gradem; ostre niczym odłamki szkła lodowe drobiny skaleczą mnie – godzinę później Michalik zapyta, dlaczego na rękach mam krew, ja zaś wzdrygnę się, patrząc na odbite w lustrze moje własne puste spojrzenie. Diabeł tkwi w szczegółach, powiadają, wiem o tym lepiej niż ktokolwiek.

Październikowy zmierzch nadciągnie szybko, a tego wieczoru zdawać się będzie, że dzień nigdy nie wstał, że zmierzch był tu zawsze, pośród wszystkich tych chylących się ku ziemi, cuchnących wilgocią i szczurzymi ekskrementami budynków. Rozejrzę się, wiedząc doskonale, że jestem sam, że nikt nie był świadkiem mej zbrodni.

W takie dni jak ten nawet mieszkańcy opuszczonego przez Boga Podgórze nie wyściubiają nosów ze swoich nor.

W mroku rozlegnie się głos, który równie dobrze można

będzie wziąć za krzyk katowanego dziecka, jak i za skomlenie psa.

Mógłbym pospieszyć z pomocą udręczonej istocie, myśl taka już wielokrotnie pojawiała w mej głowie, jednak nie ruszę się z miejsca. Nigdy tego nie robię.

Czy wspominałem, że czyny moje inną mają wagę niżli uczynki pozostałych ludzi?

Podmuchy wiatru przyniosą ze sobą ostrą woń dymu i naraz zda mi się, że przez szum ulewy słyszę przeciągły jęk zatrzymywanych w biegu maszyn i trzask pękających ceglanych murów. Widoczny na zachodzie ogień przyczał się, zduszony wściekłym naporem zimnego deszczu, by zaraz wybuchnąć z nową siłą. Ocean nie zdołałby ugasić pożaru, który płonie od dni tak wielu, że niemal nie pamiętam już, jak się zaczął.

Rzucę jeszcze ostatnie spojrzenie na Wisłę, po czym ruszę w kierunku gospody U Michalika. Szedł będę przez dzielnicę nędzy, miejsce, w którym dzieci budzą się pogryzione przez szczury, bawią pośród odpadów, a potem, nim zdążą odrosnąć od ziemi, wysyłane są przez zapijaczonych rodziców do pracy. Miejsce, w którym dziewczęta rozkwitają błyskawicznie i równie błyskawicznie więdną, w dwunastej, trzynastej wiośnie życia – choć blade i z rozpalonymi gorączką oczami – bywają piękne, lecz wiotkie ich figury szybko deformują kolejne cięższe, a skóra na dłoniach pęka od fabrycznych chemikaliów. To świat skoliozy i gruźlicy, świat wypadających z braku witamin zębów i alkoholowych chorób. Żyjące tu istoty są niewiele więcej niż pełzającym w mroku robactwem, ich wzrastające bez dostępu słonecznego światła ciała mają gąbczastą konsystencję białawych grzybów, umysły są zdziczałe i wykrzywione przez przemoc, jakiej doznają z rąk bliskich od

najwcześniejszych lat. Jedyną ich rozrywką jest picie podłej wódki, pospieszna zwierzęca miłość i od czasu do czasu sobotnie tańce w gospodzie – tańce te zresztą z miłością mają tyle wspólnego, że niejedna już dziewczyna wróciła z nich z brzuchem.

Oto dzielnica, w której przyszło mi żyć. Mieszkam tu od tak dawna, że nienawiść do tego miejsca wrosła w każdą komórkę mego ciała.

Zamknę na moment oczy i wsłucham się w odgłosy miasta.

Gdy byłem dzieckiem, Kraków żył w zupełnie innym rytmie, wtedy słyszało się stukot kopyt na bruku, podzwanianie tramwajów i nawoływania gazeciarzy. Nawet powietrze inaczej wtedy cuchnęło – nie smrodem fabrycznych wyziewów, lecz końskim łajnem i spoconą ludzką cizbą. Dziś w deszczowym mroku pulsują serca gigantycznych maszyn – tych z Zakładów Feldmana, gdzie pracuję, z Huty „Tadeusz Kościuszko”, fabryki braci Kruków i dziesiątków innych.

Maszyn, które nieustrudzenie, dzień i noc, noc i dzień, bez chwili wytchnienia budują i miażdżą, tworzą i niszczą. Żelaznymi dłońmi z tytaniczną siłą gną stalowe pręty, rozdierają arkusze blachy i mieszają surówkę. Dawno temu ich trud wydawał mi się imponujący, dziś jednak nie potrafię myśleć o wszystkich tych urządzeniach bez uczucia dojmującego wstrętu.

U Michalika powita mnie wiszący w powietrzu gęsty i kwaśny odór gotowanej kapusty. Pochyleni nad kuflami mężczyźni o zapadniętych policzkach i przekrwionych oczach spojrzą na mnie i zaraz wrócą do swych zajęć. Nie jestem wart ich uwagi. Kiedyś – przybysz z zewnątrz, z innego, lepszego świata – byłem, ale już nie jestem.

Teraz jestem swój, a więc nikt.

Zerknę w kąć gospody, gdzie siedzieć będą jedyne w tym gronie kobiety, czy może raczej powinienem rzec dziewczęta, sprzedajne dziewczki o jaskrawo umalowanych ustach. Nie znam ich imion, widuję je jednak wystarczająco często, by stały mi się bliskie jak siostry. Nie przyjdą tu pracować, wiem to z żelazną pewnością, choć nigdy nie pytałem ani nie zapytam. To będzie ich chwila wytchnienia, tylko dla siebie, we własnym towarzystwie, wśród śmiechu i nieśmiałych gestów, jakimi dotykać będą nawzajem swoich dłoni. Spojrzę na nie z zazdrością – oto dzieci ulicy, błota i gnoju, które potrafią cieszyć się życiem, oto niewinność niespodziewanie odnaleziona pośród zepsucia. Powinienem tymi dziewczętami gardzić, lecz na przekór wszystkiemu ich widok przywróci mi wiarę w ludzkość.

Gdy stanę przy barze, ogarnie mnie przemożna ochota na miskę grochówki, którą mają tu nawet smaczną, jednak zamówię tylko kieliszek wódki i wychylę go bez przyjemności, cały czas czując, jak na myśl o gęstej zupie do ust napływa mi ślina.

—

Anarchiści podpalili przędzalnię Bethego, wie pan?

— zagadnie Michalik, leniwie przecierając ladę brudną szmatą.

—

Coś słyszałem.

—

A pańska siostra? Pomogło...

—

Tak.

—

To dobrze. — Michalik ucieszy się szczerze. Ten czterdziestoletni mężczyzna, o twarzy zbója i złodziejskich skłonnościach, ma bowiem dla kobiet i dzieci wielce współczującą naturę.

Wypiję jeszcze jedną wódkę, po czym wrócę do domu, gotów stawić czoła Marii. Po drodze zastanawiać się będę, czy czegoś nie przegapiłem. Zdradliwej plamy krwi na podłodze, śladów walki w pokoju, który zdecydowanie na wyrost nazywamy „salonem”. A jeśli tak i jeśli moja siostra je zauważy, czy oznaczać to będzie już koniec, czy może jeszcze nie.

Z duszą na ramieniu wejść do skromnego mieszkania, w 76

przedpokoju powieszę kapelusz i zdejmę płaszcz. Przez krótką chwilę tkwił będę bez ruchu, wpatrzony w odchodzącą od ścian tapetę, wdychając przesycone wyziewami kiepskiej kuchni powietrze. Potem przejdę dalej, do pokoju, w którym czekał będzie nakryty stół, a przy nim Maria. Jej zapadnięte oczy i szara, niezdrowa cera jak zawsze wstrząsną mną, jakbym widział ją po raz pierwszy.

Powiadają, że dobre wspomnienia niosą pociechę w trudnych momentach, lecz ja wiem, że to nieprawda. Gdybym od początku wzrastał w tym świecie, nie tęskniłbym do wszystkiego, co utraciłem, zdołałbym żyć szczęśliwie tym zwierzęcym życiem, gdyż innego bym nie znał. Jestem jednak skazany na nieustanną tęsknotę za tym, co było, pamięć szczęśliwych lat dziecięcych i wczesnej młodości prześladowuje mnie jak upiór, nie pozwalając zaznać spokoju i wypełniając moje serce wstrętem do wszystkiego, co otacza mnie dziś.

Także i na Marię nie będę potrafił już patrzeć bez uczucia dojmującej grozy i żalu. Stała mi się w ciągu tych lat obca, w jej wyżłobionych cierpieniem rysach próżno szukał będę śladu radosnej istoty, którą ongiś kochałem.

—

Jak się czujesz? — zapytam, polewając masłem szparagi. Nie stać nas na nie, ale Maria zechce sprawić mi przyjemność. Ta niepotrzebna rozrzutność kiedyś wprawiała mnie w zły humor, teraz obudzi już tylko zmęczenie.

—

Dobrze — zapewni gorliwie.

Zgodnie z obietnicą złożoną samemu sobie będę się starał być dla niej miły, wypytam, jak jej minął dzień, rozbawię kilkoma fałszywymi dykteryjkami z urzędniczego życia. Wreszcie jednak nadejdzie chwila, gdy wzrok mój zbłądzi na pusty niemal talerz Marii, a brwi zmarszczą się bez udziału woli.

—

Zjadłam przed twoim przyjściem, naprawdę — wystraszy się moja siostra. — Poza tym nigdy nie przepadałam za szparagami, przecież pamiętasz...

—

Nie musisz jeść, jeśli nie masz ochoty.

Maria skuli się, choć przecież słowa moje w zamierzeniu pełne będą zrozumienia i troski.

—

Może zjem trochę ziemniaków, wyglądają bardzo dobrze.

—

Jeśli nie dopisuje ci apetyt...

—

Ależ skąd, właśnie nabrałam na nie chęci. — Nałoży sobie porcję, nim zdołam ją powstrzymać. — Pyszna są, może i ty skusisz się na jeszcze jednego?

Z trudem zdołam nie odwrócić wzroku, gdy udawać będzie szczęśliwą i zdrową. Jej oczy na moment – okupiony tak wielkim wysiłkiem! – odzyskają dawny blask, na ustach pojawia się uśmiech. Przez parę minut paplać będzie o głupstwach, próbując mnie rozbawić. Jak dawniej, w szczęśliwszych czasach. Zmuszając ją do tego, kiedyś na chwilę odzyskiwałem spokój, wiarę w to, że przeszłość jeszcze może wrócić. Teraz robię to z powodów, jakich żaden człowiek, poza jednym, nie potrafiłby zrozumieć.

Wieczorem Maria zwróci wszystko, co zjadła, i z płaczem zapewniać mnie będzie, że to nic, chwilowa tylko niedyspozycja. Ledwo zdoła wyperswadować mi wezwanie lekarza za resztę naszych skromnych oszczędności, a z moich czułych słów wypełzną wstrętne węże złości. Jakże przewrotną bestią jest człowiek! Moja obietnica poprawy będzie szczerą, jednak jak alkoholik nie potrafi odmówić sobie kolejnej butelki, tak i ja na widok cierpiącej siostry nie zdołam powstrzymać się przed okazaniem jej gniewu. Pod pozorami troski – chorych wszak nie można niepokoić – odmówię jej odrobiny śmiechu, pociechy, a kiedy pytać będzie, dlaczego siedzę posępny w salonie, rezygnując nawet z tak drobnej rozrywki jak czytanie, odpowiem: — Nie stać nas na przyjemności, Mario. Jeśli ci się nie poprawi, potrzebować będziesz opieki lekarza albo i pobytu w szpitalu, co oznacza, że musimy sprzedać resztę naszych książek i zrezygnować z nieczęstych wizyt w kinematografie czy teatrze. Pozbawieni środków przeprowadzimy się do mieszkania jeszcze skromniejszego niż to, może nawet wkrótce zostaniemy bez dachu nad głową. Pytasz, dlaczego

jestem ponury? A czy jest coś, z czego mógłbym się cieszyć?

To jej choroba wpędziła nas w tę sytuację. Nie powiem tego, ale słowa zawisną w powietrzu, kładąc na jej kruchych barkach ciężar winy nie do zniesienia.

Będzie próbowała mnie przekonywać, że mówię głupstwa, że już jej lepiej i wkrótce wszystko się ułoży. Podsunie mi wizje rozrywek, jakich zażywać możemy nawet jako ubodzy ludzie, i wiedząc, że ja mam na nie chęć, uda, że i ona cieszy się w oczekiwaniu na te przyjemności. Posunie się nawet do tego, by oznajmić, iż pragnie koniecznie obejrzeć na sobotnim jarmarku zapasy, czego nigdy nie znosiła.

O, jakże bym chciał mieć odwagę, by zmienić tamtą rozmowę.

Nie mogę jednak. Jestem przeklęty, ale byłbym przeklęty po stokroć bardziej, gdybym to zrobił.

W końcu jednak wyrzuty sumienia sprawią, że pozwolę się ubłagać i obiecuję, iż pójdziemy na festyn urządzany z okazji startu „Królowej Jadwigi”, czyli pierwszego krakowskiego powietrznego statku. Pod jednym wszakże warunkiem – Maria bez słowa sprzeciwu zgodzi się wrócić do domu, gdy tylko uznaję, że jest to konieczne.

W Zakładach Feldmana jestem urzędnikiem wydziału zaopatrzania, co brzmi dumnie, w rzeczywistości jednak niewiele oznacza.

Dzień w dzień, przez dziesięć godzin, od świtu aż do wczesnego jesiennego zmierzchu, przy kiepskim świetle lamp naftowych (zarząd oszczędza na elektrycznej energii) sumuję cyfry. Przez moje ręce przechodzą tony stali i węgla, setki me-

trów płótna i litry wosku do usztywniania – a wszystko to widmowe, zamienione w rzędy czarnych liczb na białym papierze. Nigdy nie byłem w halach fabrycznych i nie widziałem żadnego z produktów, jakie drżącą ze znużenia dłonią wpisuję w odpowiednie rubryki. Plecy wygięte mam w kabłąk od garbienia się nad stosami dokumentów, wzrok zawodzi coraz bardziej, a dochody są niskie, jednak moja pozycja wiąże się z pewnymi przywilejami, jakich nie mają prości robotnicy.

Jednym z nich będzie zaproszenie, dla mnie i dla Marii, do specjalnego sektora na jarmarku. Sobotni ranek wstanie zdumiewająco pogodny, w kałużach odbije się słońce, złocąc błotnistą wodę, promienie rozjaśnią twarze ludzi zakutanych w jesienne płaszcze.

Ostatni ciepły dzień tego roku, pomyślę, gdy zmierzać będziemy na krakowskie Błonia. Zbierze się tam podekscytowany tłum, będą pokazy najnowszych wynalazków, takich jak głośno reklamowane „niezbędne w domu” parowe mechanizmy czyszczące, piorące i suszące, nowe wehikuły, bicyle i tricykle, lalki, które potrafią same chodzić, a nawet wołają „mama”, czy wreszcie głupstewka dla kobiet: jakieś urządzenia do układania włosów, podkręcania rzęs czy wiązania gorse-tów. Będą również smażone na ruszcie kiełbaski, cukrowa wata, karuzele i kolorowe baloniki dla dzieci – cały ten jarmarczny blichtr, który tak cieszy gawieź. Maria uda radosną, a może naprawdę znajdzie w tamtych chwilach odrobinę szczęścia? Zapewne nigdy się tego nie dowiem. Będziemy spacerować pośród zgiełku, ja w przetartym na łokciach płaszczu, siostra moja w najlepszej błękitnej sukni, naznaczonej cerami jak twarz chorego ospą. Dziecko, jasnowłose chłopczyk trzymający w rączce barwnego lizaka, wpadnie na mnie i patrzyć będzie oszołomionym wzrokiem, wreszcie

matka porwie je w ramiona, złaje i każe przeprosić.

I właśnie wtedy, gdy uznam, że najwyższa pora wracać do domu, Maria zgubi się w tłumie. Wystarczy chwila nieuwagi – dawno temu przypadkowej – by znikła mi z oczu. Nawołując, będę jej szukał, aż wreszcie odnajdę w jedynym miejscu, w którym nie powinna tego dnia przebywać: w sektorze dla pracowników, oddzieloną od startującej „Królowej Jadwigi” ledwie kruchą drewnianą barierą. Powietrzny statek wznosił się będzie przy wtórze radosnych okrzyków i oklasków, płócienna czasza przesłoni zimne jesienne niebo. Zawołam Marię, roztrącając łokciami stłoczonych w sektorze gapiów. Odwróci się w moją stronę – w tym momencie statek wybuchnie, zmieniając się w kłęb jaskrawego ognia i raniących cizbę odłamków. Ponad Błoniami poniesie się krzyk, „Jadwiga” osiadzie na zrudziałej trawie niczym ptak z podciętymi skrzydłami, a ludzie zaczną uciekać od niej, tratując się nawzajem. Tylko ja i jeszcze jeden człowiek dążyć będziemy w przeciwną stronę, do Marii, stojącej bez ruchu i wpatrzonej w płomienie. A potem siostra moja obudzi się z letargu, przestąpi ponad resztkami drewnianej barierki i przez nikogo niezatrzymywana wejdzie wprost w serce pożogi. Spojrzy na mnie, nim ogień zagotuje białka jej oczu, a wzrok ten wypali mi w sercu ranę, która nigdy się nie zagoi. Tak właśnie ją zapamiętam – z aureolą płomieni wokół głowy i twarzą naznaczoną udręką, jaką znosić powinny jedynie potępione w piekle dusze.

Straszliwa śmierć Marii na krótki czas uczyni mnie, zwykłego urzędnika, sławnym. Niektóre gazety napiszą, iż samobójstwo mojej siostry było aktem politycznej prowokacji – jedna posunie się nawet do tego, by wygadywać nonsensy o

„księżniczce znanej w kołach anarchistycznych i nihilistycznych” – ludzie szeptać będą za moimi plecami i milknąć, gdy do nich podejdem. Omal nie stracę pracy, jednak uda mi się ubłagać przełożonego, by zatrzymał mnie na stanowisku.

Będę także kilkakrotnie przesłuchiwany przez krakowską policję. Przodownik Ćwiąkała, chudy, z niezdrową cerą i sam najwyraźniej cierpiący z powodu żołądka, wyrazi współczucie dla choroby mej siostry, jednak jego podejrzliwość nie zmniejszy się przez to ani na jotę. Pokaże mi film, rzucony na białe prześcieradło w zaciemnionym pokoju komendy, film, na którym widać nie tylko start „Królowej Jadwigi”, lecz także Marię i mnie samego.

—

Proszę spojrzeć — powie — tutaj wygląda na to, że chce pan siostrze pomóc, już wyciąga pan ręce, by powstrzymać ją przed wejściem w płomienie. A potem wpada na pana ten mężczyzna, chwyta pański łokieć i szepce coś do ucha. Czy się mylę? Obraz jest ziarnisty, ale tak, na pewno mam rację. Proszę patrzeć dalej. I oto nagle pan rezygnuje, opadają wyciągnięte dłonie, a pan zastyga, jak nie przymierzając posąg Komandora u Mozarta. Dlaczego? Co ten człowiek panu powiedział? Kim był?

Spojrzę na film rejestrujący ostatnie chwile życia Marii.

—

Przeraził mnie ogień, dlatego jej nie zatrzymałem — odpowiem, pokonując ucisk w gardle.

Ćwiąkała drażyć będzie dalej.

—

Czy człowiekiem tym jest profesor Kostrzewski?

Twarzy nie widać, ale sądząc z sylwetki i staroświeckiego kroju fraka, można by tak pomyśleć. Znam trochę pro-

fesora, widziałem go przy kilku okazjach — pochwali się. — To wybitna umysłowość. Co naukowiec tego formatu ma wspólnego z panem?

Zmilczę, choć pewnie najdzie mnie ochota zaproponować, by zapytał o to Kostrzewskiego.

—

A list anonimowy? — Przewodnik pokaże mi wytłuszczoną i wybrudzoną dziesiątkami palców kartkę. — Nieznany informator ostrzega w nim, że podczas startu „Królowej Jadwigi” dojść może do zamachu, niestety jednak kolega mój, który wiadomość odebrał, uznał ją za bredzenie szaleńca i zlekceważył. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie pana pismo? Może porównamy? Proszę napisać o, tutaj: „bomba”, „anarchiści”, „wybuchnie”.

Zgodzę się chętnie i prawą ręką nakreślę na kawałku papieru kilka podyktowanych słów. Pismo, rzecz jasna, różnić się będzie od tego z anonimowej wiadomości, tę bowiem napiszę, posługując się lewą dłonią.

Ostatecznie Ćwiąkała zwolni mnie z niechęcią, pozwoli wrócić do pustego domu, w którym straszyć będą duchy wspomnień. Kolejne dni moje staną się podobne do siebie jak krople wody w rzece: poranna pobudka, gorzka kawa o podłym smaku i skibka zeschniętego chleba, a potem praca – długie godziny mozolnego rachowania, gdy jedyną przyjemnością jest oczekiwanie na Stasię, naszą śliczną herbaciarkę, która każdego popołudnia przynosi nam po filiżance gorącego napoju. Żyć będę z napiętymi nerwami, w paraliżującym lęku, że zdarzy się coś, co mnie zdradzi. Tak niewiele przecież trzeba, wystarczy jedna zmarszczka, już teraz znajomi niepewnie patrzą na postarzałą moją twarz.

Wkrótce potem uratuję Kostrzewskiemu życie.

Zdarzy się to w czwartkowy wieczór, gdy jako ostatni wychodził będę z pracy. Ostatni, bo pragnący udowodnić nade wszystko, że wart jestem stanowiska, które dozwolono mi zatrzymać. Za oknami srożyć się będzie jesienna burza, huk gromu zleje się w jeden dźwięk z biciem wielkiego zakładowego zegara, tak iż nie będę już potrafił odróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. W zapadłej potem ciszy kroki moje odbiją się od ścian pustego korytarza budzącym lękiem. Wyciągnięty cień śledził mnie będzie w szarym świetle zakurzonych elektrycznych lamp. Przystanę na chwilę, łowiąc uchem dźwięki pracujących niestrudzenie maszyn, po czym ruszę dalej, dwa piętra w dół i znów korytarzem, lecz tym razem na pozór jeno pustym, gdyż pod ścianą, w cieniu, dostrzegę skuloną ludzką sylwetkę.

—

Dobrze się pan czuje? — zapytam niepewnie. — Słyszysz mnie pan?

Odpowie mi głuchy jęk. Podejdę bliżej, by pochylić się nad nieszczęśnikiem, który zwróci ku mnie poszarzałą twarz.

—

Co panu?

—

Serce... — wydusi z trudem. — Proszę... Ból jest nie do zniesienia.

—

Niech się pan na mnie wesprze.

Podniosę go i na wpół wlokąc, pociągnę w stronę wyjścia.

Nocny portier, gdy tylko nas zobaczy, natychmiast doskoczy, by pomóc. Wezwę dorożkę, ostrożnie ułożę starszego pana w jej wnętrzu i towarzyszył mu będę w drodze do szpitala. Noc spędzę na twardym krześle w poczekalni, pośród chlipiących w chusteczki kobiet i milczących, zasepionych mężczyzn. Aż wreszcie wyjdzie do mnie brodaty doktor i zapewni, że profesor Kostrzewski będzie żył.

—

Nie wiedziałem, że to Kostrzewski — powiem.

Doktor zmarszczy brwi.

—

Naprawdę? Sądziłem, że profesora wszyscy znają.

To...

—

... wybitna umysłowość. — Być może zaryzykuję te słowa, mimo iż powinienem udawać, że nic o Kostrzewskim nie wiem.

Od tej pory profesor uzna się za mojego dłużnika, choć ja tłumaczył będę, że niczego szczególnego nie zrobiłem, każdy na moim miejscu postąpiłby podobnie. Kostrzewski jednak na wszelkie sposoby będzie próbował mi się odwdziaczyć. Świadom mej opłakanej sytuacji finansowej, zaproponuje pieniężną zapomogę – odmówię z oburzeniem. Zaprosi mnie do domu na jeden z wieczorków, jakie co niedziela organizuje jego żona – wykręcę się brakiem czasu, choć w istocie zabraknie mi odwagi, by pokazać się pośród arystokratów nauki w nędznym moim odzieniu. Spróbuje przenieść mnie w urzędniczej hierarchii o kilka stanowisk wyżej, ale i te plany pokrzyżuję, uniesiony głupią – o jakże głupią! – dumą. Któregoś dnia Kostrzewskiemu wymknie się, że pracuje nad pewnym niezwykłym wynalazkiem, ja zaś, kierowany wrodzoną przekorą, a

może również chęcią udrženia profesora, zacznę nalegać, by zdradził mi swą tajemnicę. Z początku będzie się wzdragał, jednak nie ustąpię i dam do zrozumienia, że nie zadowolę mnie nic prócz poznania tego właśnie sekretu. Aż wreszcie Kostrzewski, nie mogąc znieść ciężaru niespłaconego dęgu, ugnie się i zaprowadzi mnie do swej pracowni.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdym po raz pierwszy ujrzał wynalazek Kostrzewskiego, ten cud i przekleństwo zarazem. Stanę przed nim, przepełniony pokorą oraz tajonym lękiem, jakich nie zaznałem od lat dzieciństwa, gdy rodzice prowadzili mnie przed słynący łaskami obraz Czarnej Madonny z Częstochowy.

—

Cóż to? — wykrztuszę, patrząc na olbrzymią maszynę tak, jak biblijny Dawid spoglądać musiał na Goliata.

—

To, mój drogi wybawco — powie Kostrzewski — jest okno. W przeszłość, rozumie pan.

To mówiąc, doskoczy do czegoś, co dla mego niedoświadczonego oka wyglądać będzie na sterowniczy pulpit jak z powieści Juliusza Verne'a, i wciśnie jeden z guzików, a wówczas rozpięty wewnątrz mechanizmu ekran rozbłyśnie światłem. Ujrzę na nim Kraków widoczny z lotu ptaka, zanim jednak zdążę spytać, czy to coś w rodzaju kinematografu, profesor z zapałem wariata zacznie ruszać licznymi pokrętlami. Obraz zmieni się, stopniowo zbliżając do mojej dzielnicy, zobaczę front budynku, w którym mieszkam, i brudne dziecko sąsiadki na schodach wejściowych. Kamera wsunie się przez

okno do mego mieszkania, ja zaś westchnę gwałtownie, widząc w nim siebie samego w towarzystwie nieżyjącej siostry. Przypomnę sobie tamtą chwilę sprzed dwóch tygodni, pamięć podsunie ostre słowa, które naówczas pod adresem Marii wypowiedziałem.

Mój sobowtór otworzy usta, a ja zakrzyknę w bolesnej zgrozie: — Proszę to wyłączyć!

Kostrzewski kilkoma ruchami zgasi ekran i zacznie mnie przeproszać:

—

Jestem głupcem, nie pomyślałem... Wszak pana siostra niedawno zmarła, rana musi być wciąż świeża. Proszę o wybaczenie, zapewne doznał pan strasznego szoku. My, słudzy nauki, rzadko zaprzątamy sobie głowy sprawami tak błahymi jak emocje.

Zatroskany usadzi mnie na krześle i zaparzy herbatę. Po chwili twarz jego zmieni wyraz na czujny.

—

Rozumie pan, że tego, co pan tu dziś widział, nie wolno panu za żadną cenę zdradzić? Ufam panu jak bratu, a jednak – tak!

– musi pan przysiąc na wszystko, co panu najdroższe, że nie piśnie ani słowa. To niezwykle ważne. Gdyby informacja o moim wynalazku przedostała się do wiadomości publicznej... Nie, nie chcę nawet o tym myśleć. Wie pan, jak wiele rządy obcych mocarstw dałyby, by móc skopiować moje dzieło? Jak bardzo zaszkodziłoby to potędze naszego Królestwa?

—

Czy to... maszyna czasu?

—

Poniekąd. — Nadmie się Kostrzewski. — Choć ja wolę

określenie „okno”. Obserwuję przez nie Kraków sprzed dwóch tygodni.

—

A czy można spojrzeć na przykład dwa lata wstecz?
Albo trzy dni czy pięć miesięcy?

—

Pracuję nad tym — wykręci się profesor.

—

A czy dałoby się... — myśl będzie niemal zbyt śmiała, by ją wypowiedzieć — przejść przez to okno w przeszłość?

—

To, mój drogi przyjacielu, jest bardzo dobre pytanie.
Zapewne tak, lecz odradzam podobne działania.

—

Czemuż to? Możliwości przecież...

—

Są niezmierzone, wiem. A jednak nie można bezkarnie igrać z takimi siłami. Jeśli cofnie się pan o dwa tygodnie i wprowadzi w czasowej linii zmiany – bo przecież pan to robi, po cóż innego podróżować w przeszłość – świat może tego nie znieść. Istnieje możliwość, że spowoduje pan w ten sposób niewyobrażalną katastrofę, tragedię na kosmiczną skalę. Może pan, mówiąc prosto, raz na zawsze zakończyć dzieło Bożego Stworzenia i wymazać z kronik zarówno Ziemię, jak i wszelkie istniejące na niej życie.

—

To nie musi się stać — szepnę, jakby w obronie.

—

Nie, ale, by podjąć decyzję o podróży w czasie, trzeba się najpierw upewnić, prawda?

—

A pan... zna sposób, żeby zyskać pewność?

—

Oczywiście. — Z irytującą pobłażliwością skinie głową.
— Proszę za mną.

Przejdziemy do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie ku
mojemu zdumieniu ujrzę zawieszony w stalowej sieci akwa-
rium, a w nim – miniaturowe mysie miasto z domkami, ulica-
mi, a nawet maleńkim jak mój serdeczny palec parowozem
mknącym po obrzeżach.

—

Nie rozumiem... — wyjąkam.

—

To model naszej rzeczywistości — wyjaśni Kostrzewski.
— Osobny, całkowicie autonomiczny wszechświat zawieszony
w skonstruowanej przeze mnie sieci. Dla Napoleona i Józefiny
Myszogród jest tym, czym Ziemia dla nas. Proszę spojrzeć tu,
w pobliże ratusza. Co pan widzi?

Przysunę się bliżej, zmarszczę brwi.

—

Czy to... miniatura okna?

—

Oczywiście. Napoleon i Józefina mają taki sam wgląd w
swoją myśl przeszłość jak i my w naszą, człowieczą. Co wię-
cej, one, pozbawione ludzkiego rozsądku, zdecydowały się już
przekroczyć granicę czasu. Wczoraj trzecia mysz, Aleksander,
cofnęła się o dwa tygodnie i zdążyła już z pewnością wprowa-
dzić w rzeczywistość Myszogrodu sporo zmian.

—

Ale... Myszogród przecież wciąż istnieje? Czy nie znaczy
to, że takie podróże są bezpieczne?

—

Niezupełnie. Moja teoria zakłada, że wszechświat może znieść pewną liczbę drobnych przeinaczeń. To jak z kamykami – jeśli rzuci pan pod koła garść żwiru, lokomotywa przejedzie po nim i żaden z pasażerów nawet tego nie odczuje, jeśli jednak żwiru będzie więcej, powiedzmy, spory wzgórek, wystarczy, by pojazd się wykoleił.

—

Po cóż więc ten eksperyment, skoro nadal pan nic nie wie?

—

Bo już wkrótce będę wiedział — odpowie Kostrzewski z niezachwianą pewnością najtęższej głowy w dziedzinie nauki.

— Z moich obliczeń wynika, że eksperyment potrwać musi do północy jutrzejszego dnia. Jeśli do tej pory nic się nie zdarzy, uznam, że zmiany w czasowej linii nie kumulują się i podróże przez okno są bezpiecznie; jeśli przeciwnie, cóż, przeszłość na zawsze pozostanie dla nas jedynie czymś na kształt wyświetlanego w kinematografie filmu.

—

Do północy? — upewnię się.

—

Do północy — usłyszę potwierdzenie.

Przez cały następny dzień mylił się będę w rachunkach, aż inni urzędnicy, z niepokojem patrząc na mą bladą twarz i drżące dłonie, zaczną pytać, czy nie jestem przypadkiem chory. Zaprzeczę oczywiście i tylko zatroskanemu Michalikowi zdradzę część planu.

—

Zamierzam naprawić zło, jakie wyrządziłem — rzeknę przy kufelku piwa.

Michalik roześmieje się gorzko, szmata w jego dłoni znieruchomieje na moment w swej syzyfowej podróży po zachłapanym blacie.

—

To się nigdy nie udaje.

—

Och, mnie się uda — oznajmię chełpliwie. — Mam sposób, jakiego przede mną nikt nie posiadał.

Po czym zamilknę i mimo nalegań (niezbyt, przyznaję, natarczywych) nie powiem ani słowa więcej.

Będzie to też dzień intensywnych działań. Najpierw, wykorzystując roztargnienie Kostrzewskiego, wyciągnę z jego kieszeni pęk kluczy, zrobię duplikaty, a oryginały zwrócę niepostrzeżenie. Potem nabędę w żydowskim sklepie butelkę drogiej wódki i pudło rosyjskich papierosów, którymi to produktami przekupię stróża z nocnej zmiany, by wpuścił mnie do budynku.

Wreszcie nadejdzie wyczekiwana chwila. W wieczór deszczowy, wietrzny i jakby stworzony do złodziejskich poczynañ, prześlizgnę się przez zakładową bramę i ścigany cmentarnym dudnieniem gromów wejdę na ostatnie piętro, gdzie swą siedzibę ma Kostrzewski.

Przyniesioną z domu lampę naftową postawię na stoliku, przy którym nie tak dawno profesor częstował mnie herbatą, i usiądę obok.

Ach, jakże dłużyć się będą pozostałe do północy godziny – a raczej jakże dłużyłyby się, gdybym w istocie nie wiedział już, co mnie czeka.

Czy śledził będę upływające minuty, czy może, pogrą-

żony w rozmyślaniach, stracę w pewnym momencie rachubę czasu? Nie wiem, nawet moja żelazna samokontrola i świadomość wagi mych uczynków zawodzą czasami. Pewien jednak jestem, że gdy nadejdzie właściwy moment, z napiętymi nerwami policzę uderzenia wielkiego zakładowego zegara.

Jedno, drugie, trzecie... dziewiąte... jedenaste, dwunaste.

Uniosę lampę naftową i spojrzę na Myszogród – nienaruszony i wciąż piękny jak zabawka najbogatszego i najbardziej rozpieszczonego z dzieci. Przez chwilę czujnym wzrokiem badał będę myszy, biegające po ulicach maleńkiego miasta w swoich zwierzęcych sprawach, stojące czasem słupka i patrzące na mnie oczami jak czarne guziki.

—

Żywe, wciąż żywe — szepnę, a potem zrobię to, co planowałem już tylokrotnie.

Przejdę przez okno w przeszłość.

Dalszego ciągu mej opowieści z pewnością już się domyślasz, drogi czytelniku. Oto bowiem udam się do domu, gdzie zastanę swego sobowtóra – i ja sam sprzed dwóch tygodni, widząc ociekającą deszczem postać o zmizerniałej twarzy i z szaleństwem w oczach, nie rozpoznam w niej siebie, lecz wezmę ją za włamywacza i rzucę się nań. Wówczas, rzecz oczywista, będę musiał zabić moje młodsze ja i pochować je w mętym nurcie Wisły.

Kolejne dni przewidywalne będą jak dni zamkniętego w klasztorze mnicha. Co dzień z góry znane czynności i słowa, wszystkie te straszliwe słowa, jakie należy wypowiadać. Raz jeden, jeszcze nieświadom zagrożenia, miałem szansę coś

zmienić, ale i wtedy, niech mi Bóg wybaczy, podła ma natura wzięła górę. Zdobyłem się jedynie na to, by napisać anonimowy list, który i tak nikogo nie ocalił, a Marię zawiodłem dwukrotnie: gdy żyłem jeszcze jak zwyczajny człowiek i gdy po raz pierwszy wróciłem w przeszłość ze szczerym zamiarem naprawienia wyrządzonego zła. Teraz, kiedy wiem już wszystko, lękam się jakiegokolwiek odstępstwa od narzuconej mi mocą przeznaczenia roli. Ileż razy chciałem przerwać tę mękę, nie bacząc na ogrom tragedii, jaką spowoduję! Zawsze jednak zdarza się coś, co pozwala mi przetrwać kolejną godzinę – widok dziewcząt tulących się do siebie w kącie plugawej gospody, uroda herbaciarki Stasi, która każdego popołudnia idzie przez zakładową halę, popychając przed sobą wózek z syczącym samowarem, czy wreszcie troska, z jaką stary Michalik wypytuje o zdrowie żon i dzieci wszystkich swoich klientów.

Czekam więc na dzień, w którym znów znajdę się na krakowskich Błoniach i biegł będę w stronę płonącej „Królowej Jadwigi”, czekam, aż potrafi mnie, niby przypadkiem, Kostrzewski, nieszczęsny więzień czasu, jak i ja. Czy jego sumienie również obciążają kolejne zabójstwa? Nigdy nie będę miał pewności, lecz sądzę, że tak, bo jakże inaczej mógłby w tym świecie żyć? Jak długo zdołamy jeszcze obaj wytrzymać? Nawet jeśli wytrwamy, prędzej czy później wiek upomni się o swoje, w którymś momencie same nasze pobrużdżone zmarszczkami twarze i siwe włosy mogą przechylić szalę.

Czekam więc na koniec świata i słyszę kolejny raz, jak Kostrzewski wypowiada te cztery najbardziej przerażające słowa: — Pomyłka. Myszogród został zgładzony.

JUBILEUSZOWY KONKURS LITERACKI – OGŁOSZENIE WYNIKÓW

NOWA Fantastyka

05 (368) 2013 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



NEIL GAIMAN
I JEGO UKRYTA
BOHATERKA



IRON MAN
PRAWDZIWE
OBLICZE AMERYKI

„TORMENT”
TRYUMFALNY
POWRÓT LEGENDY
MODA NA NERDA
OD FRAJERÓW
DO IDOLI

OPOWIADANIA:
JEFF VANDERMEER
PAWEŁ MAJKA
ATHENA ANDREADIS

PROSZYŃSKI
MEDIA
© Marvel & Subs.



Paweł Majka

Grewolucja

Opowiadanie pochodzi z „Nowej Fantastyki” 05/2013

1.

Wiszę i majtam nogami. Spod nich gapi się na mnie otchłań, z góry leci jej siostra bliźniaczka. Mam kilka, może kilkanaście sekund, żeby się z tego wykaraskać. A muszę to zrobić, bo jak w pieprzonym scenariuszu dla pryszczatych, spajderka uwięziona w zawieszanej Intrze może liczyć tylko na mnie.

Każdy ma własny system. Ja, żeby się skupić, gadam w myślach sam ze sobą, udając, że poza mną nie ma świata. Ani otchłani i jej siostry bliźniaczki, ani bogów, ani nawet spajderki. Jestem sam, więc wszystko widzę lepiej.

Niech się tylko skupię, a na pewno dam radę.

Powinno mi się udać. Taką mam robotę – skupiać się.

2.

Ostatnio moją jedyną rozrywką w godzinach pracy stały się wizualizacje battli ochrony z infospami. Jedyną, bo tylko taką dopuszczała spajderka – laska słodka i darząca nas matczynymi uczuciami, ale ostra i z wymaganiami z najwyższych leveli. Niby stały jakieś stoły do pinga i sokera w bezstresowni, ale wiadomo – co wizja, to wizja. Ciągi cyfr zmieniające się w dywizje pancerne toczące boje ze smokami pobudzały galarete

większą skalą impulsów niż jakieś tam nudne pinganie. Intra najeżała się od ognia i pocisków, a ty miałaś, człowieku, chwilę oddechu od zmagania się z potopami danych.

Zero ingerencji. Tylko sobie oglądałaś. To i tak dużo. Ludzką mamy spajderkę, nie ma co. Bywają firmy pozwalające tylko na profepcje, którymi nikci nasiągają do tego stopnia, że nawet wracając do domu, podbijają statystyki w ugłaskiwaniu klientów albo dyscyplinowaniu niktów o mniejszych levelach.

Guru z krain słodkich snów twierdzą, że mogą cię wyciągnąć z cugu i dryfu, jeśli im pomożesz, jeśli będziesz chciała. Bzdura. Nikt normalny nie chce, to raz. A dwa, że cug zawsze w tobie siedzi. Nie twoja wina, sam sobie tego nie zrobiłaś. To oni. Zacugowali cię, nim się nawet narodziłaś. Zadbali o to tatuś z mamusią dzielnie wspierający pieprzyćsystem! dla twojego dobra. Więc ciupiesz w edugry, grontemplacje, społgry i ani się spodziewasz, a jesteś już bardziej ludens niż sapiens. W czym nic złego, bo cała reszta ludzkości, poza golcami zagrywającymi się w odciętych archaikach sprzed półwiecza, jest taka sama jak ty. Niemniej zawsze w końcu pojawia się ktoś, kto powie ci, że możesz z tego wyjść. I jeśli trafia na właściwy moment, kiedy akurat rzygasz na multimpdzie albo zdychasz na kacu dzień po niej, może się zdarzyć, że mu uwierzysz.

Jeśli jednak będziesz miał naprawdę dużo szczęścia, to gdy będzie ci zawieszało galaretę z tęsknoty za dryfem, spotkasz porządną spajderkę, a ona da ci substytut lepszy nawet niż cug.

Mam dziewięćdziesiąt sekund oddechu na każdą godzinę dłubania. Łapię chwilę, odrywam skupienie, a potem, wyluzowany jak po resecie, wracam do roboty.

W samą porę. Właśnie przytaszczyła swoje co do grama pięćdziesięciokilogramowe, zwiewne cielsko paniusia w po-

trzebie.

Wtargnęła do klitki spajderki niczym enpec na skrypcie. I oczywiście oniemiała, bo spodziewała się spajdera, a nie ślicznej laski. Z paniusiami zawsze tak. Gość jak zobaczy spajderkę to albo się spieszy, albo napali – w każdym razie na pewno nie zdziwi. Paniusie odruchowo zaczynają się rozglądać za jakimś facetem, który ich zdaniem powinien szefować naszemu bajzlowi. Jak spajderka ma dobry humor, to robi je w jajo, wzywając kogoś z nas, żebyśmy poigrali z babiszczem, odgrywając wielkiego patriarchalnego bossa.

Tego przedpołudnia nie miała dobrego humoru. Jakieś gówno wlało w Intrę. Infospamy nadlatywały całymi dywizjami i ochrana ledwie nadążała z likwidowaniem zagrożeń, a co tu dopiero gadać o łataniu wyłomów. W dodatku spajderka pożarła się ze swoim frelastym trepem, co mocno ją podkopało. Ku naszej radości, oczywiście, bo my wszyscy, jak jeden, kochamy się w spajderce na amen i marzy-my, żeby jej trep odszpicował się na wieki wieków.

Czy bowiem można jej nie kochać? Tej kruszyny spinającej w kok czarne jak heban włosy dopiększone tylko na samiusieńkich końcówkach subtelnym muśnięciem różu, niczym pierwsza zapowiedź poranka, gdy staczasz się do domu po całonocnym multi na mieście. Zawsze wbitej w ironicznie kanarkowy unikorp, podkreślającej wąskie usta błękitną fluszminką. Łajzy, które tu przychodziły, spodziewały się zobaczyć szalonego acz seksownego mnemonika wyciągniętego z filmowej prehistorii i spajderka dawała im to, plus coś jeszcze – swój własny styl. Wyglądała dla nich jak wcielenie wyuzdanego snu wielbiciela neonów, a równocześnie jak wyzwolona cyber domina z korpo. Frajerzy dawali się zauroczyć tej wizualizacji, a my kochaliśmy spajderkę właśnie za to, co oni prze-

gapiali i za to, że kręciła nimi jak chciała.

Nami zresztą, prawdę mówiąc, też.

– Proszę usiąść – raczej poleciła niż zaprosiła syknięciem typowej korposuczy i paniusia, ciągle skonsternowana, opadła na fotel.

Spajderka rzuciła dyskretne a wymowne spojrzenie fiołkowych oczu właśnie mnie, więc oddałem się jej jak elfka wiedźminowi i już razem gulgaliśmy paniusię od stóp do głów przez oczy spajderki, moje zerkanie zza biurka i przez Intrę.

Paniusia jak paniusia – syntetycznie odpicowana z biofotem rozsmarowanym na bilbordowej fejsuni, brzoskwiniowymi włosami jak tchnienie zefirku o świcie i wielkim fiubździu w główeczce.

Widziałem cały ten syf w jej puszcze, bo zerkąłem w jej plusy. Całą galaretę poobwieszała rojami pasożytów sprzedawanych jako symbionfy, więc otwarta na każdego trepa nadawała jak latarnia morska na wyspie zombie. Wykopałem kilku podczepionych pod nią cwaniaczków i podłączyłem ją pod pseudo naszej ochrony. Wiele to nie dało, bo transfer i tak zapychały jej roje społecznościówek. Równocześnie uprawiała jakąś farmę dla siebie i sześciuset znajomych, szukała skarbów Atlantydy z psiapsiułką z liceum równie głupią i obciążoną jak ona sama oraz robiła sto innych otępiających czynności w każdej chyba grze, jaka zapukała do jej konta. Od migotania zdobywanych osiągnięć można było dostać płasawicy. Jej plussystemy ledwie zipały, jej n-płuca obciążały dodatkowo serce chłodziarkami wyjąłymi z przepracowania na pełnych obrotach, żeby galareta się nie zagotowała. Szczęśliwie serce miała sztuczne jak fejsunię, więc nie obawialiśmy się, że wykorkuje nam przed wypłatą.

– Mój syn zniknął – wyrzuciła z siebie niby z przejęciem,

ale nie wyglądała na wzruszoną. Tak to można odgrywać role na gronowelach, a nie opowiadać o zaginionym dziecku. Inna sprawa, że mało kto w dryfie przejmował się realem. Przyszła tu, bo tak kazały jej domowe plusy. Alternatywę stanowiła policja, ale stróże prawa z automatu odcięliby ją na starcie od gier i zarekwirowali do nich klucze. A potem jeszcze zrobiliby jej płukanie galarety. Pieprzyć system! nie cackał się z lewymi wszczepami.

– Prawdziwy?

Przytaknęła. Całe szczęście, że nie jakiś tamagoriczny twór, kupiony od cwaniaka wciskającego jej masowy półprodukt, jako jedyne w swoim rodzaju dzieło podziemnego artysty. W życiu byśmy go nie namierzili.

Oczywiście paniusia nie wiedziała, kiedy dziecię się zawieruszyło, bo przez ostatnie trzy dni pławiła się na stylowym niulajfie któregoś ze słonecznych net.archipelagów, walcząc o punkty piękna z innymi paniusiami z topu mamusiek. Trafiła się okazyjna wyprzedaż, sami państwo rozumienie. Tabuny paniuś zdobywały serca enpeców, by uwieść bossa, za którego mogły dostać inforgazm i awansować na tubylcze lanserki adorowane przez męskie odpowiedniki paniuś. Oczywiście, zgodziła się spajderka, takiej okazji nie można przepuścić. Któż zrezygnowałby z awansu, dzięki któremu można znaleźć własnego jelenia zapieprzającego na społecznościowych poletkach? Ani trochę się nie dziwimy, że żywa biologiczna pociecha, krew z krwi i gen z genu, mogła w tym czasie sobie pójść i zniknąć.

– Znajdziemy go – zapewniła spajderka. – Zajmę się tym osobiście.

Paniusia wyraziła życzenie zostać. Po pierwsze musiała zobaczyć mistrzynię w akcji, po drugie żywiła przekonanie, że

znajdziemy jej synka w trymiga.

W takich chwilach wkraczałem ja.

Może kawki? A nie, na pewno witaminkowego soczku! Proszę mi wybaczyć ten nieprofesjonalny off, ale widzę, że należy pani do kobiet szczególnie dbających o siebie. Może przejdziemy do pokoju, w którym będzie się pani mogła odprężyć? Możemy dokonać przeglądu pani systemów, nie, oczywiście nic głębokiego, gdziez byśmy śmieli! Lekko tylko sprawdzimy peryferia pani zainteresowań z ostatnich trzech dni. Wie pani, odruchy powiązane, cały ten niezauważalny chaos, kiedy pani plusy sterują domem i nie pozwalają pani umrzeć z głodu. Być może znajdziemy tam jakiś trop. No i – tylko proszę nie powtarzać szefowej – wydaje mi się, że znam panią z *Mocniej!Teraz!*, czy się nie mylę? Jak zgadłem? Och, ludzie z *eM!Te!* wręcz lśnią pewnym charakterystycznym urokiem, a jeden lśniący zawsze rozpozna drugiego. To, jak pani patrzy, jak pani mówi...

Klientka zabajerowana to klientka, która przestaje truć dupę.

Moje peryferia uwodziły ją, kradnąc teksty z jakiegoś dupianego gronowelowego MMO, a ja zająłem się właściwą robotą. Spajderka zdążyła już całą sprawę z siebie usunąć. Kopie upchnęła Intrze i wróciła do polowania na swojego trepa w jakiejś jego ukochanej gierce. Jak znałem życie, nie miał szans. Bez trudu umiała go tak przerobić, żeby przypełzł, błagając o litość i prawo zostania jej podnóżkiem do końca marginesu życia.

Prawdę mówiąc, rzeczywiście powinniśmy poradzić sobie raz–dwa ze zniknięciem synalka. Zwykle jednak przeciągamy nieco sprawy, żeby klientom nie wydawało się, że płacą za nic.

– Pan też jest skupiaczem? – upewniała się paniusia, a moje peryferia zapewniały, że owszem, najlepszym. Wyłączyłem nasłuch zewnętrzny, awatar z gronoweli musiał poradzić sobie z paniusią sam. Teraz musiałem się skupić. Za to mi płacili.

3.

Tak naprawdę ludzkość zawsze cierpiała od nadmiaru informacji. Przez długie tysiące lat potrafiła jednak radzić sobie z tym sama. Galarety selekcjonowały dane. Nawet kiedy ganialiśmy goli i bosy, żywiąc się głównie owocami, żyliśmy już w infoświecie, tyle że naturalnym. Potem pierwszy pacan namalował pierwszego mamuta na ścianie i zaczęła się jazda prowadząca nas do punktu, w którym jesteśmy. Do świata, w którym każdy jeden nikt maluje swoje mamuty na ścianach i wrzaskiem nakłania miliardy innych niktów do ich oglądania. Galareta sama sobie z tym nie poradzi. Potrafiła odróżnić tygrysa szabłozębego od poziomki. Ale teraz infoświat pożarł i tygrysy, i poziomki, i galareta utknęła, niezdolna przetrwać nadmiaru danych bez pomocy. Czyjej? Syntetycznych wspomagaczy, którymi durnie obwieszają sobie cielska? Implantów upychanych gdzie popadnie – w fałszywych garbach, a nawet cyckach? Buzujących od danych infołańcuchach iDNA mieszczących wszystkie biblioteki świata w opuszku palca? Tak wydaje się prostaczkom. Gromadzą dane jak smoki złoto, a potem za nic nie umieją się w nich odnaleźć.

Światu potrzebny jest ktoś, kto potrafi się skupić w huraganie danych. Ktoś zdolny powiedzieć dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom informacji szturmujących receptory, żeby się szpicowały.

Znaczy – ja. Skupiacz.

Jak już ktoś cię wyciągnie z dryfu, od razu myślisz, żeby po-wrócić w cug, że teraz już sobie poradzisz. Nic z tego. Otwierasz łeb na dane i już po chwili nie wiesz, jak się nazywasz. Wszystkie twoje sejwy i rezerwy wyłazą na wierzch, bo pieprzyćsystem! dba przecież o ciebie i trzyma rezerwę każdego wyhodowanego przez ciebie na społecznościowym poltku ziemniaka, każdego twojego awatara, czy to z roboty, czy z eskejpu. Najpierw dopadają cię urocze boty, które tak za tobą tęskniły, potem prawdziwi znajomi, gdy wreszcie zdążą odkliknąć twoją automatyczną zajawkę. Bez długiego postu połączonego z treningiem utoniesz. Tonie dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu na tysiąc. Ten, który przetrwa, ma szansę zostać skupiaczem.

Oczywiście bez Intry (niech się święci imię twoje) mógłbym co najwyżej dołączyć do komuny archów, ortowców albo nygusów, by kontemplować piksele. Intra to pierwsza linia odsiewu. Ty się jej uczysz, ale przede wszystkim ona uczy się ciebie.

Załadowana danymi o zaginionym potomku klientki już sama szperała i odsiewała pierdoły. Szczyl, jak każdy pod promieniującym danymi niebem, miał systemy przeładowane marketingiem. Intra wykasowała większość wielkookich animek reklamowych, nim choćby dotknąłem zapisów chłopaczka przechowywanych przez domowe peryferia.

Moje cielsko sterowane lekko podkręconym pseudakiem ściągniętym z gronoweli flirtowało z paniusią, tymczasem Intra i ja szperaliśmy po jej gospodarstwie domowym. Mikrofała zachowała wspomnienie burgerowni „Twoja Mała”, zachwalanej przez animkę najczęściej pojawiającą się w zakładkach szczyla. Animka nosiła imię Lim Ji i na mój gust nie różniła się niczym od armii innych wielozadaniowych pseudok reklamow-

wych. Co oznacza, że składała się głównie z pary gigantycznych cyców, błyszczących wielkich oczu i wyrastających spod cyców nieludzko długich nóg. Szczyl tę właśnie polubił najbardziej. Wypadało się dowiedzieć dlaczego. Intra gotowa była mi podać analizę na tacy, wolałem jednak przyjrzeć się Lim Ji sam. Takie skrzywienie, każdy jakieś ma. Jeśli nie wierzysz w szczęście albo intuicję, to równie dobrze możesz sobie wymienić galaretę na druty.

A zatem Lim Ji. Ku mojemu zaskoczeniu reklamka miała swoją bogatą historię. Zwykle spece od marketingu nie tracą czasu na takie pierdoły, przekonani, że wystarczą same cyce i uwodzicielskie spojrzenie. Tymczasem biografii Lim Ji starczyłoby na cykl gronowel. Jej ojca zabili piraci, bo nakrył ich na czytowaniu w GoToHell7, uroczej grze o potępionych przeprowadzających zbrojną rewolucję w piekle. Zbanował kilkunastu spasionych userów, skasował im zabawki nakradzione innym graczom i wpisał ich czity na czarną listę.

W odwecie wypalili mu mózg sevensinsem, legendarnym wirusem poskładanym ponoć z siedmiu innych zabójczych wirusów w ukrytej lokacji GTH7, stworzonej przez cziterów ósmego kręgu wtajemniczenia. Typowe zapychacze dla smarkaczy, tworzone żeby gra posiadała jakieś tło. W skrócie – Lim Ji traci tatusia, więc żeby się zemścić, zostaje cziterką, daje się gwałcić całej armii cziterów, czym zdobywa ich zaufanie, a nawet miłość, po czym znajduje ukrytą lokację i kasuje ją, wypalając mózgi cziterom zmodyfikowanym sevensinsem. Od tej pory jednak cierpi, bo rozumie, że zabójstwo odmieniło ją na zawsze, więc zamyka się w – no proszę – klasztorze skupiaczy, gdzie kontempluje tajemny kod umożliwiający skupienie w cugu. Wreszcie dochodzi do wniosku, że świat potrzebuje pomocy, więc wyrusza ratować niewinnych w cugu i dry-

fie. Jak? Reklamując im kluby, burgerownie, gry i kosmetyki, oczywiście.

Wyjawszy rozbudowaną historię, to nic nadzwyczajnego. Lim Ji jest mroczna i okrutna, a równocześnie słodka i nadwrażliwa. Nastolatki w każdym wieku kochają się w niej na zabój. Być może Lim Ji stanowiła produkt jakiegoś marketingowego eksperymentu. Ciekaw byłem, czy jakiś dzieciak dotarł choć do połowy jej historii. Nowoczesne społeczeństwa nie narzekały na nadmiar cierpliwości.

Myknąłem do burgerowni, pozostawiając Intrze szperanie po śmieciach gówniarza. Rzuciłem okiem na cielsko, ale wszystko szło dobrze – bajerowało paniusię na naszej seledynowej kanapie.

Na wszelki wypadek ustawiłem blokadę na seks. Jedna Intra wie, co paniusia mogła przenosić. Powinna być biosterylna, to teraz modne. Ale równie dobrze mogli ją naszprycować masą infobotycznego syfu. Nadałem do Intry, że trzeba sprawdzić domostwo także pod tym kątem. Niestety, samej paniusi nie mogliśmy przeszukać, brakowało nam sprzętu i uprawnień.

Jak odkryłem, zapisy burgerowni to nie był bajzel, ale chaotyczna mgławica bajzłów. Lim Ji mrugała do mnie z każdego pliku, nawet niektóre klientki nosiły jej twarze. Święta Intro, co za szit!

4.

– Moglibyśmy być razem – mruzczał tłum Lim Ji. Odciałem je.

Już wiedziałem, że nasz szczył chciałby ratować mroczne nimfetki i nawracać się na ich potrzeby. Mógłbym powtórzyć mu to, co powiedziała mi kiedyś spajderka – „Nie bądź

taki Mario. Dziewięć na dziesięć księżniczek wcale nie chce być ratowane”.

Szczyl przychodził do „Twojej Małej” prawie codziennie. Należała do sieci sterylnych fafów, na oko bardziej przypominających szpitale niż jadłodajnie. Ale o klimacie nie decydowało to, co klient widział gołymi oczami. Burgerownia uderzała do galarety przez białe Soropkina, kolejnego genialnego ruska, który prysnął na zachód, by odmienić świat i zgarnąć miliardy. Non stop podłączona do sieci galareta pogrążała zacugowanego klienta w wizjach speców od marketingu. Dla nich „Twoja Mała” spełniała wszelkie warunki podejrzanego speluny, pełnej partyzantów wszystkich podziemnych armii walczących z pieprzyćsystem! Dostawałeś tu wyłącznie burgery z chrustu – papki warzywnej udającej coś pożywnego, ale systemy „Twojej Małej” łączyły się z twoją galaretą, wybierały jej preferencje na podstawie zamówień w innych knajpach i wmawiały odpowiedni smak. Wszyscy żarli ten sam bogaty w proteiny szit, ale każdy znajdował się we własnym kulinarnym niebie. Czasem im zazdrościłem, skupiacze nie dawali się tak łatwo oszukać.

„Twoją Małą” prócz przypadkowych niktów odwiedzali stali klienci, tacy jak szczyl. W społecznościowym archiwum znalazłem kilka ciekawych postaci. Jakiś ortowoc przychodził tu chyba tylko po to, żeby rozrzucać cyfrową bibułę, może nawet infekować smaki.

Od czasu rewolucji patentowej owocowa firma nieco podupadła, ale za to jej najwierniejsi klienci zmienili się w prawdziwych ultrasów.

Ignorując białca, łączyli się z siecią wyłącznie za pośrednictwem archaicznych syntetyków – ganiali ze słuchawkami wciśniętymi uszy i okularami wizyjnymi na oczach, mal-

tretując galarety może i prześlicznie wystylizowanymi, ale wyłącznie zewnętrznymi kodami. W

fafach nie mieli czego szukać – chrust smakował im tak samo jak mnie: jak sałatka z plastiku i opon. Jeśli więc ortowoc przychodził tu codziennie, to albo był masochistą, albo coś knuł. Nie byłem go w stanie zinflitrować, ale mogłem poszukać skutków jego działań.

Gdyby sabotował kody smakowe, już dawno by stąd wyleciał. Musiało chodzić o coś innego. Poszerzyłem spektrum odbioru i w szumie dryfu znalazłem to, czego właściwie mogłem się spodziewać.

Ortowoc należał do apostołów Mai.

Ukrył boginię w marketingowym szumie. Pomiędzy linijkami kodu Lim Ji, sugestiami smakowymi, przesyłem debaty politycznej, w której ucharakteryzowany na Zdrapka poseł okładał wielkim młotem posła udającego Pocharatkę. Wszędzie tam w „Twojej Małej” poupychał fragmenty kodu Mai. Lokalna ochrona nie miała szans ich wykryć, bo strzępy były zbyt małe, niknące w przekazie. W dodatku każdy z nich pozostawał uśpiony, dopóki nie zgrał się z pozostałymi sygnałami ukrytymi w cudzych przekazach strzeżonych przez odrębne ochrony. Gdy jednak wszystkie posiadające umowę z „Twoją Małą” systemy zaczynały nadawać, budziła się Maja.

Ortowoc przychodził tu codziennie, by aktualizować boginię, nic więcej. Choć apostołował Mai, robił to z czystej złości: nie posiadając białca, nie mógł doznawać bogini, a zatem należeć do jej wyznawców. Po prostu sabotował pieprzyćsystem! i było mu z tym dobrze.

Maja jednak mogła wpłynąć na szczyła.

Podobnie jak inni bogowie pojawiała się tam, gdzie sięgały nadajniki Soropkina. Czyli wszędzie. O ile jednak więk-

szość pozostałych bogów wyszła na świat z gier albo – jak Intra – została stworzona na patronów, Maja objawiła się inaczej. Twardogłowi utrzymywali, że początkowo była tylko echem szumów systemowych, którym nawykłe do porządkowania wszystkiego galarety zaczęły nadawać sens. Wierni odpowiadali, że owe szумы stanowiły język bogini. Jak by nie było, Maja ewoluowała dzięki wytężonej pracy swoich wyznawców. Wciąż dekodowali podświadomie szумы, ale też z pełną świadomością wzbogacali je o nowe treści. W zależności od preferencji pakowali w Maję wizje z Upaniszady, Mahabharaty albo Lema czy Matriksa. Imię ich było Legion i nie znali się nawzajem. Łączyło ich to, że poznali Maję i pokochali ją.

Inni wyznawcy musieli jakoś łączyć się ze swoimi bogami.

Czyciele cielsk ćpali Kratosa albo Larę, inni, jak na przykład skupiacze, oddawali się w opiekę patronich sióstr i braci Intry, instalując je na stałe do galarety poprzez druty oraz iDNA. Maja po prostu pojawiała się wszędzie tam, gdzie tylko sięgała biosieć, a nasze galarety dopowiadały jej kształty wedle prywatnych upodobań. Kratosa czy Larę można było kupić, Intry zhakować. Maja była ponad to. Kupić jej nie mógł nikt, bo nie należała do nikogo. Ktokolwiek podesłałby jej wirusa, tylko by ją wzbogacił, bo sama była wirusowym tornadem.

Poniekąd trudno jej było nie lubić. Zwłaszcza nastoletniemu buntownikowi.

No dobra. Szczyl kochał się w Lim Ji, a w jej fafie miał okazję poznać Maję. To żaden trop, bo w każdym miejscu mógł ją poznać.

Ale coś mi podpowiadało, że krążyłem we właściwej okolicy.

Sprawdziłem innych oryginałów odwiedzających ten oddział

„Twojej Małej”. Zajęło mi to trochę, chyba z pięć minut, podczas których paniusia zbliżyła się do mojego cielska na tyle blisko, by prawie położyć mi dłoń na kolanie. Niemniej było warto.

Znalazłem dziewczynę wyglądającą jak żywe wcielenie Lim Ji. Nie kolejną lalę z biofotem nadającym wymarzony wygląd przez białca, ale prawdziwego sobowtóra animki. Biologiczne stworzenie wyglądające jak sen nastolatka.

5.

Podczas gdy ja nurkowałem w seksualnych marzeniach szczyła i dawałem się prowadzić intuicji, a paniusia powzięła plan przelecenia mnie na firmowej kanapie i rozpoczęła wdrażanie jego realizacji, Intra nie próżnowała w domu klientki. Przeczesła zapisy plusów, analizując ostatni tydzień pracy każdego urzędnika dbającego o to, by domownicy nie pomarli z głodu. Sześć godzin z każdej doby paniusia spędzała osobiście w pracy, maltretując klientów kancelarii adwokackiej gigabajtami żargonu, od którego zawieszały się systemy. Przez połowę tego czasu podstawiała klientom awatara, który wzywał ją wyłącznie, gdy jakiś zmyślniejszy klient zadawał pytanie wykraczające poza program. Paniusia, co musiałem przyznać, przykładała się do pracy i nawet jeśli w jej godzinach szalała po społecznościówkach, były to bez wyjątku profpleje. Czasami zdarzało jej się zostać w pracy dłużej, a od wielkiego halo wybierała się do sądu, jeśli jakiś sędzia starej daty nie zadowalał się wirtuałem rozprawy.

Przez pozostałe godziny swojego życia paniusia doskonaliła się na siłowniach i w grach, a wszystko to, by zniewalać

samców dla punktów i awansów. Do upragnionego statusu Femme Fatale brakowało jej dwóch leveli.

Jej syn okazał się bardziej interesujący, ale dopiero, gdy Intra dokopała się do jego dziupli. Natychmiast mnie przywołała.

Szukałem powiązań wcielenia Lim Ji, ale na wieść o dziupli przekazałem to zadanie Intrze, a sam wparowałem do kryjówki szczyla.

W świecie, w którym wszyscy należeli do dziesiątek społeczności i grali w kilkadziesiąt gier równocześnie, prywatność stała się skarbem. Każdy mógł spojrzeć w twój profil i przeskanować go programami tworzącymi profil psychologiczny, analizującymi twoje przyzwyczajenia, gust i odruchy, a nawet stworzyć na ich podstawie twój model i przetestować go na tysiące sposobów. Ukrywanie choćby cząstki siebie stało się nową globalną grą. By to ułatwić, mogłeś kupić sezamy oferowane przez chyba każdą istniejącą firmę. Te najprostsze dostawałeś za darmo do nowego białca, za bardziej skomplikowane musiałeś grubo zapłacić. Ale jeśli byłeś naprawdę sprytny i odpowiednio wytrwały, wydłubywałeś sobie dziuplę, drażyłeś pieprzyćsystem!

Nie istnieją systemy idealne, a te państwowe należą do najbardziej dziurawych. Ale równocześnie są najbardziej rozbudowane.

Najwyraźniej szcyl posiadał odpowiednie umiejętności, by znaleźć dla siebie lukę, zamaskować ją i wymościć w niej gniazdko. Okazał się lepszy, niż się spodziewałem; był kimś innym, niż założyłem. Musiałem przyjąć, że większość z tego, co dowiedziałem się o nim dotychczas, to ściema. Taki syn dobrze się maskował. Mógł być nawet hakerem, jeszcze jednym marzycielem odgrywającym neuromancera z legend.

No cóż, hakerzy istnieją, nawet jeśli pieprzyćsystem! udaje, że to tylko bajki. Większość z nich to dzieciaki wychowane na grach o kowbojach i samurajach przestrzeni atakujących pieprzyćsystem!

Wymyślają kodeksy i wydaje im się, że stają sami przeciw całemu światu. Najlepszych wyłapują korpo albo armia. Reszta albo dojrzewa, albo się stacza. W świecie wszechobecnych sieci opartych o białca nie musisz być łamaczem kodu, by kiwać pieprzyćsystem! i jego mieszkańców. Znacznie lepiej od hakerów radzą sobie tradycyjni oszuści, naciągacze i złodzieje, którzy tylko lekko zmodyfikowali metody, by dostosować je do nowych czasów. Większość skupiaczy nie napisała w życiu ani linijki kodu, tylko by nas to rozpraszało. Sieci są ogromne i wszechpotężne, mało kto potrzebuje wnikać, z czego je zbudowano. Odnaleźć się w nich – to już sztuka.

Musiąłem przyznać, że dziupła szczyla mnie zaskoczyła. Na jej wystrój składały się niemal wyłącznie zdania – zbudowano z nich ściany, wymoszczono nimi podłogę; unosiły się w powietrzu długimi, jaśniejącymi łagodnym blaskiem wstęgami. Te wydawały się niemal żywe – podpływały do mnie jakby zaciekawione, krążyły wokół i ocierały się o moje plusy, drażniąc i prowokując galaretę urodą stylu bądź nieskończonymi ścieżkami skojarzeń.

Szczyl czytał.

Coś było głęboko nie tak.

6.

Oczywiście, skupiacze także czytają, każdy jeden. Książki stanowią jeden z ważniejszych elementów odwyku po dryfie. Kiedy żyjesz w cugu, skaczesz od informacji do informacji, od gry do gry, i zacznasz się w to tak zaplątywać, że wpadasz w

dryf sterowany już nie własną wolą, ale wymogami gier, do których się podłączyłeś.

Twoja galareta przywyka do wielkich migotliwych ławic danych, pomiędzy którymi skacze bez wytchnienia. Odbiera tysiące informacji równocześnie, nie radzi sobie z ich segregowaniem, ale na każdą odpowiada. Tak zaczyna się dryf. Samo odcięcie od sieci, co praktykują co durniejsi netdruidzi, nie wystarczy. Jeśli chcesz wyjść, musisz nauczyć się skupiać i selekcjonować informacje. A w tym pomagają książki.

Zaczynasz od jednej, prostej, zwykle jakiegoś zabytku sprzed czasów biączy. Bywa, że musisz zacząć od elementarza, bo choć litery wielu alfabetów są w sieciach wszechobecne, to zdążyły już nabrać nowych znaczeń i obrosnąć w konteksty i skojarzenia. W cugu mało kto czyta. Stare alfabety zostały wyparte przez emosymbole i infoznaki przemawiające bezpośrednio do znaczeń i skojarzeń w galarecie. Po co czytać menu, jeśli możesz je poczuć? Po co męczyć się trzystustronicową opowieścią o miłości nastoletniej wampirzycy do wilkołaka z Wenus, jeśli wystarczy ciąg emosymbów, by miłości tej doświadczyć? Oparta na zdaniach literatura jest nudna, a czytanie mozolne i wymagające skupienia. Świat pozbył się fabuł – zostały tylko prologi do intensywnych doznań.

Dla skupiaczy literatura jest cudem, ścieżką życia. Nikci ćpają wrażenia, każdy z nas przez to przeszedł. Jeśli jednak ktoś wyciąga cię z permanentnego dryfu, powinien podać ci książkę. Na początku będzie trudno. Będiesz przekonany, że prędzej zwariujesz, niż przeczytasz choćby stronę. Skupiasz się na zdaniu zbudowanym z kilkuset nieaktywnych znaków, ciągnącym się przez kilka linijek, a twoja galareta wyje ze zgrozy i podsyła wizje, ile mógłbyś przeżyć, ile doświadczyć, ile zrobić w czasie, w którym czytasz. Gdy wreszcie docierasz

do końca zdania, uświadamiasz sobie, że nic z niego nie zrozumiałeś i nic nie zapamiętałeś. Wracasz więc na początek i zaczynasz znowu.

Ta udręka może trwać bez końca. Jeśli tak się dzieje rzeczywiście, odpadasz; może i wyjdiesz z dryfu, ale powrócisz w cug, by znów stać się niktem. Jeśli dotrzesz do końca pierwszej książki i poprosisz o następną, masz szansę zostać skupiaczem. Szczyłe kochające się w legendach będą sobie wyobrażać ciebie i twoich kumpli jako rodzaj zakonu, powstaną gry na temat twojej pracy. Tak naprawdę wciąż będziesz niktem, ale niktem potrafiącym się skupiać.

To jednak, co mnie przynosiło chwałę, w przypadku szczyła było niepokojące. Pogodziłem się z faktem, że wodził za nos matkę i pieprzyćsystem!, a przy okazji i – przez chwilę – mnie, udając zwyczajnego nikta, podczas, gdy potrafił hakować. To nic nadzwyczajnego wśród szczyli. Ale czytanie to już zupełnie inna bajka. Kto mógł go tego nauczyć? Kto nakłonił go do skupiania się na nieprzyjemnym dla współczesnych galaret, archaicznym przekazie? Maja?

Nakazałem Intrze odszukanie związków Mai i jej wyznawców z czytaniem. Czy mógł istnieć ich odłam praktykujący czytanie?

Wedle współczesnej mitologii Maja była równocześnie boginią stanowiącą wcielenie ułudy (pieprzyćsystem!), jak i wyzwolicielką z niej. Doktryna mówiła, że sieć sama stworzyła istotę, której rolą było chronienie przed ostatecznym zatraceniem w dryfie. Maja miała ukazać swoim wiernym ułudę ostateczną i tym samym ich wyzwolić.

Gdzie w tym miejsce na czytanie? Chyba że wyzwoleniem miało być skupienie. No dobrze, czyżbyśmy szukali szczyła, któremu marzyło się zostać jakimś mistycznym ro-

dzajem skupiacza? Czy Lim Ji nie była właśnie kimś takim?

Jak by nie było, to dzieciak. Może być sobie nawet i geniuszem kodu, może znać klasyków literatury, ale ciągle pozostanie podatny na manipulację erotyczną. Zwłaszcza jeśli spotka żywą lasencję w typie swojego ideału z reklam. Zakląłem. Minęło już dwadzieścia minut poszukiwań. Powinienem zdać przez Intrę meldunek spajderce.

A wciąż nie wiedziałem nic.

Nakazałem Intrze przyjrzeć się bliżej żywemu wcieleniu Lim Ji, a sam na powrót skupiłem się na paniusi.

7.

Jej cielsko położyło mojemu cielsku dłoń na kolanie. Miałem podgląd w jej zewnątrz, więc zobaczyłem migotanie tuzina czerwonych serduszek w peryferiach gromadzących osiągnięcia. Ciekawe ile można dostać punktów za uwiedzenie skupiacza?

W innym przypadku mógłbym jej na to pozwolić. Jeśli podryw jest tylko grą, za którą dostajesz konkretne nagrody, nawiązywanie znajomości i seks przestają być tak trudne i ważne. Są tylko środkiem, jak wszystko. Owszem, zawsze tak było – jeśli odpowiednio grałeś w życiu społecznym, miałeś szanse na nagrody. Jednak wszystkie wcześniejsze systemy były niedoskonałe, bo niedopowiedziane. Pieprzyćsystem! nic nie ukrywa; wyznacza jasne i klarowne reguły, w których odnaleźć się może i największy noob, pod warunkiem, że przyjmie i zrozumie umowność świata. Związek, w którym wciąż czekają na ciebie nowe osiągnięcia, nie znuży cię równie szybko jak zwyczajne życie z coraz nudniejszym partnerem, którego potrzeby wyznacza tępe i niestałe ego. Tam, gdzie nie radziły sobie uczucia i religie, pieprzyćsystem! wkroczył z ca-

łym rozmachem wytrychów ukradzionych z gier.

Nie masz ochoty bzykać się z mężem, z którym sypiasz od dwudziestu lat? A jeśli pieprzyćsystem! da ci za to punkty wytrwałości, które pomogą ci polepszyć statystyki atrakcyjności? Czy zdołasz osiągnąć wyższy poziom amanta, uwodząc żonę po dziesięciu latach małżeństwa? Praca nigdy ci się nie znudzi, a nawet najwredniejszy szef cię nie zgnoi. To tylko kolejny boss i następny level. Świat stał się jednym wielkim zbiorem reguł, których opłacało się przestrzegać.

Wiedziałem już, że szczył poznał ojca. Wyśledził go w pieprzyćsystem!, by odkryć, że to taki sam nikt jak mamcia. Wiedziałem też, że do niego nie uciekł, to sprawdziła Intra. Musiałem jednak przełamać gronowelową akcję nic nie wartym pytaniem, by choć trochę wybić paniusię z roli.

– Czy syn wypytywał panią o ojca?

Zamrugła. Aż cofnęła dłoń z zaskoczenia i jej osiągnięciowe serduszko natychmiast schudło. Zmarszczyła jedną z ślicznie wymodelowanych brwi, westchnęła i cielskiem, i dwudziestoma procentami peryferiów galarety. Siedemdziesiąt botów i dwunastu prawdziwych ludzi przesłało jej w odpowiedzi pocieszenia na sieciach, do których była podłączona. To poprawiło jej nastrój. Lekko nacisnęła dłonią na moje udo, więc za radą plusów ściągających przez Intrę najpowszechniejsze gronowelowe reakcje uśmiechnąłem się niby mimowolnie. Zgodnie z kanonem wygenerowała własny lekki uśmiech zadowolenia i podjęła wędrówkę śmieiej niż poprzednio.

– Przepraszam, że o to pytam – pozwoliłem plusom obniżyć tembr głosu. – To mój obowiązek.

– Należy wypełniać obowiązki, prawda? – wymruczała.

Wydawało mi się, że Intra zachichotała. Byłoby niedo-

brze, gdybym zaczął ją nadto personalizować. Najprawdopodobniej to spajderka albo któraś z dziewczyn podglądały spektakl rozgrywający się na firmowej kanapie i posłały mi komentarz.

– A zatem wypytywał czy nie?

Zyskałem trochę przestrzeni, bo zgodnie z większością gronowelowych scenariuszy powinna była mnie teraz ukarać, okazując niezadowolenie. Cofnęła rękę, znów westchnęła. Za to westchnięcie dostała oklaski od botów i znajomych. Obok serduszka pojawił się sztylet, a jego blask zyskał trzy procent mocy za granie zimnej uwodzicielki.

– Nie, nie wypytywał.

– To pani nie zdziwiło? Że nie interesował się ojcem?

– Maciek jest trochę inny niż większość dzieci w jego wieku.

– Osiągnięcie Serce Matki zapulsowało wzmocnionym rytmem. Cielsko paniusi uśmiechnęło się, tym razem naprawdę mimowolnie.

Spodobało jej się, że rozmową ze mną może nabić sobie statystyki w kilku kategoriach. Dostrzegła szansę; miałem nadzieję, że ją wykorzysta.

– Inny?

– Zamknięty w sobie. Staralam się zachęcić go do zainteresowania się osiągnięciami i życiem społecznym, ale on wolał tworzyć własny świat. Wiem, powinnam była bardziej go stymulować...

Wyznaniem i smutną minką zyskała kolejne punkty w trzech kategoriach, ale blask sztyletu nieco przygasł. Mogłem wyobrazić sobie, jak pracowały jej trybiki, gdy zastanawiała się jaką strategię wybrać i które osiągnięcia są dla niej cenniejsze. Zaprzyjaźnienie kibice podpowiadali, że ważniejsze

jest Serce Matki. A więc grałem.

– Myślisz o przyszłości syna. Jak każda dobra matka.

– Jestem nie tylko matką...

No tak, znowu wybrała tandetną gronowelę. Szlag.

– Spójrz mi w oczy – zażądała, a ja, tknięty przeczuciem, a może dlatego, że usłyszałem coś nowego w jej głosie, rzeczywiście w nie spojrzałem.

Urosły. Nie pozornie, poprzez przesyłaną przez pieprzyćsystem! wizję, ale naprawdę, jakby pobudzone strachem bądź zdziwieniem. Urosły nienaturalnie, przybierając kształty przynależne raczej elfom bądź kosmitom. Odpowiednie programy potrafią, jeśli potrzeba, stymulować mięśnie dla potrzeb gronowelowych spędów w realu, więc teoretycznie nie działo się nic nadzwyczajnego. Tyle że scena i rola przyjęta przez paniusię nie pasowały do takich cudów.

Spróbowałem spojrzeć przez Intrę w puszkę paniusi, żeby sprawdzić, co się w niej dzieje, ale nie mogłem się tam przebić. Coś mnie odcięło.

Intro? Intro...? Dobra Pani?

Paniusia wykrzywiła gębule w dziwnym grymasie. Jeśli tak wyobrażała sobie zaloty, to musiał ją opanować program z jakiegoś horroru. Coś jej się zdecydowanie w środku poprzepalało.

Syknałem z bólu, gdy zacisnęła na moim udzie palce. Zerwałem się z sofy.

Intro?

– Uciekaj! – wycharczała paniusia. Odchyliła głowę do tyłu, syczała i ślinała się. Drżała, wyciągając ku mnie dłonie o powykrzywianych na kształt pazurów palcach. – Uciekaj! Sa-dyb Simpson, uciekaj!!!

8.

Uciekłem.

Obejrzałem się jeszcze na zamartwych w nienaturalnych pozach kolegów, nawet wpadłem do pokoju spajderki, żeby pociągnąć ją za sobą. Ledwie chwyciłem ją za ramię, a zrozumiałem, że nic z tego.

Mięśnie miała napięte jak przy ogromnym wysiłku, twarde jak skała, a oczy rozszerzone niczym oczy paniusi. Z jej otwartych, zaślinionych ust wydobywało się charczenie, w którym rozpoznałem to samo hasło.

„Sadyb Simpson, uciekaj”.

Uciekłem.

Poczułem mrowienie w małym palcu lewej dłoni, gdy rezerwowe systemy Intry wygaszały jej osobowość w moim iDNA. Już samo mrowienie stanowiło sygnał alarmowy, ale połączone z moim osobowym kodem dowodziło, że stało się coś naprawdę złego. Musiałem wyrwać się z biura, nim niezależne od Intry systemy odetną je o świata. Dlatego jak ostatni tchórz zostawiłem spajderkę i czmychnąłem.

Zataczając się, gnałem ku zamykającym się drzwiom. Chwyciłem kurtkę zwisającą z wieszaka. Stawiła opór, szarpnąłem, chyba coś urwałem. Potknąłem się, wyłożyłem jak długi w korytarzu, ale zaraz poderwałem, Zdążyłem w ostatniej chwili. Jak w pieprzonej grze albo starym filmie.

Po schodach zbiegłem, chociaż zaczynało brakować mi tchu, a noga bolała coraz bardziej. Normalnie Intra odcięłaby ból, ale nie miałem już Intry. Starczyło jej na tyle, by uratować mnie, nim wyga-siła resztki zainfekowanych systemów.

Coś nas pożarło. Pieprzyćsystem! pewnie już o tym wiedział i wysyłał ratowników. Lada moment mieli tu wpaść ubrani na czarno rzeźnicy w maskach zasłaniających twarze i

odcinających od jakichkolwiek zewnętrznych sygnałów. Wyważą drzwi, wyciągną na zewnątrz ludzi, pokrywając ich przedtem od stóp do głów izolacyjną pianką. Nieruchome ciała zapakują do sarkofagów i odwiozą do szpitalnych kwarantann, gdzie spajderka i wszyscy moi kumple z pracy spędzą pewnie i z miesiąc, jeśli nie dłużej. A całe nasze biuro zdezynfekują, co oznacza, że nie będzie dokąd wracać. Bo dezynfekcja oznacza rozbicie wszystkiego, co mogło zostać zainfekowane, na atomy.

Dlatego musiałem zmykać.

Ukryłem się w barze po drugiej stronie ulicy i sącząc witaminowy koktajl, czekałem chyba godzinę. Nic się nie stało. Czarne samochody nie zaparkowały przed biurem i nie wypłyły z siebie bezimiennych siepaczy. Zostaliśmy pożarci, a pieprzyćsystem! się o tym nie dowiedział.

To dopiero było interesujące. Intra mogła być niezależnym pa-tronem, jednak nie ma – może poza Mają – takiego infobóstwa, któremu pieprzyćsystem! nie zaimplementowałaby obowiązku natychmiastowego poinformowania go o infekcji. Taki alarm miał absolutne pierwszeństwo.

A jednak najpierw Inra ostrzegła mnie. Nie spajderkę, nie któregoś z lepszych ode mnie wymiataczy, nie pieprzyćsystem!

Pobudziła moją ciekawość. Mogłem być przestraszony i obolały. Mogłem czuć się goły i bezbronny. Ale wciąż byłem skupiaczem, odruchowo dokonywałem selekcji danych, by wynajdywać te najważniejsze.

Wyglądało na to, że sam stałem się najważniejszą daną. Nie mogłem siebie wykluczyć z układanki, którą ktoś nam zaserwował, taka jego mać.

9.

Pieprzyćsystem! nigdy nie odpuszcza, zawsze jest wokół ciebie i w tobie. Odrutowanie galarety, biąca i iDNA – wszystko należy do pieprzyćsystem! Czasem o tym zapomniałem, otulony błogosławioną obecnością Intry, ale nasza firma bogini to tylko wewnętrzny program działający – a jakże – wewnątrz pieprzyćsystem!

Kiedy człowiek oddaje się infobogom, zdaje mu się, że uzyskuje coś w rodzaju niezależności. Ale to nieprawda. Jedyne, co dostajemy, to nowy skuteczniejszy interfejs, podkreślony system operacyjny i sprytniejszą osłonę. Nikt nigdy nie może opuścić pieprzyćsystem!, nawet nygusy i ortowoce podłączają do niego przez archaiczne łącza swoje prehistoryczne elektroniczne maszynki.

Dlatego kiedy zniknęła Intra, pozostałem podpięty do sieci.

Trudno jednak powiedzieć, bym poczuł się jak w domu.

Spłynęła na mnie masa syfu. Wszystko, co Intra trzymała ode mnie z daleka – natrętny prymitywny marketing, polityczne i ideologiczne odezwy, superważne niusy, wrzaski niktów przekonanych, że muszą zaistnieć, i molesty gwiazdek uderzyły w moją biedną galaretę. Porzygałem się od tego i musiałem spłynąć z baru, odprowadzany ćwierkaniem dzieciaków niktów nadających do podobnych sobie nudziarzy, że oto byli świadkami ostatecznego upadku jakiegoś lumpa. Pewnie, nie wyglądałem najlepiej. Poobijany, kulejący, w kurtce z naderwanym rękawem. Co gorsza nie zadbałem o awika, który wyświeślałby moją podkreśloną fejsunię w pieprzyćsystem!

Obrażałem moralność gołymi zakładkami na konta społecznościowe i nie nadawałem żadnego atrakcyjnego spamu.

Równie dobrze mogłem być przybyszem z kosmosu.

Zorientowałem się, że zamiast w stronę swojego mieszkania zmierzam ku domowi paniusi. Jakby Intra mimo wszystko prowadziła mnie szlakiem zagadki. Musiałem to sobie poukładać.

Inwazja infospamu dławiącego naszą ochronę zaczęła się tego poranka, na kilka godzin przed przybyciem paniusi. Jej synalek bawił się w hakera, teoretycznie mógł więc zmontować kilka zabawek zdolnych popsuć nasz system. Teoretycznie mógł nawet napakować tym mamuśkę i podesłać nam jak trojana. Ewentualnie naszprycował ją wirami dla własnych celów, a ona pozarażała nas mimochodem.

Jeśli tak, wystarczyło znaleźć smarkacza, postraszyć konsekwencjami o wielu zerach po jakiejś sympatycznej cyfrze i zmusić do oczyszczenia Intry. Nawet oszukanie pieprzyćsystem! mogło stanowić konsekwencję przeprogramowania mamuśki, przecież zawirusowanie jej też chciał ukryć przed władzą.

Gorzej jeśli to wszystko nie było dziełem paskudnego przypadku, a celowym atakiem na firmę. Ale po co nas atakować? Tak naprawdę nie znaczyliśmy nic w wszechświecie opanowanym przez pieprzyćsystem!, byliśmy jeszcze jedną małą firemką gromadzącą laski i facetów po cugu. Nawet psychopaci infekujący biąca bez sensu i celu raczej by nas nie ruszyli, bo zwyczajnie nas nie zauważali.

Adres paniusi i klucze do jej mieszkania Intra skopiowała i upchnęła na jakimś spamserwerze. Nie wrzuciła go do moich zewnętrzzy z obawy, że zainfekuje mi galaretę. Na szczęście pamiętałem o zaprogramowanych jej przez spajderkę sztuczkach. Odszukałem adres strony „bowyche-dorz.się.sam.trepie” i przyglądałem najnowszym neonowym

linkom, nie klikając w żaden nich. Trzy ostatnie zawierały adres paniusi i klucze do jej mieszkania. Miałem niedaleko, naszej klientce nie chciało się chodzić i wybrała skupiaczy blisko domu.

Zachowany przez światłą Intrę kod pasował do drzwi. Zawahałem się, nim przekroczyłem próg. Jeżeli gówniarz zawirowował własną matkę, to co mogło na mnie czekać w jego mieszkaniu? Powinienem zawiadomić pieprzyćsystem! Mogę nim gardzić, ale nie jestem samotnym mścicielem z marginesu, tylko zwyczajnym obywatelem, niktem z trochę lepiej wytre-sowaną galaretą. Nie mam supermocy, nie znam się ani na prowadzeniu śledztwa, ani na programowaniu. Niby jak mam pomóc spajderce, przetrzasując mieszkanie paniusi?

Oczywiście przekroczyłem próg. Wystarczyło, że pomyślałem o niej, uwięzionej w zastygłej Intrze. Taki ze mnie baran.

10.

Skup się. Stałem w pokoju gówniarza odcięty od jego dziupli.

Właściwie nie było tu na co patrzeć. Gołych ścian nie pokrywały żadne plakaty, tylko na jednej z nich wielkimi literami wymalował napis: „Kto wybrał dla mnie tę twarz?”. Powinno mnie to zainteresować, ale zostawiłem odszukanie cytatu na później. Z pewnością pochodził z jakiejś książki, którą łatwo odnajdę w zapomnianych archiwach, gdzie przetrzymuje je pieprzyćsystem! Na półkach nie stały figurki animek ani książki, choć szczył tak lubił czytać. Wszystko, czego dzieciak potrzebował poza łóżkiem, mieścił w sobie pieprzyćsystem!

W starożytnych czasach zewnętrznych komputerów

neurologowie przekopywali się przez umysły graczy, by odkryć, że to właśnie oni potrafią skupiać się na rozwiązywaniu konkretnych problemów, odcinając równocześnie od niepotrzebnych bodźców napływających z zewnątrz. Ból zęba, świadomość, że trzeba rano wstać do pracy? Nie ma sprawy. Odpalasz strzelankę, ścigałkę czy co tam chcesz i świat traci do ciebie dostęp. Masz cel i go się trzymasz.

Najpierw sieć, a potem białca zmieniły to. Kiedy całe życie zostaje podporządkowane regułom z gier, kiedy otrzymujesz tysiące celów, wyzwania i obietnic na minutę, skupienie staje się przeszkodą, a stare gry odchodzą w przeszłość. Obecnie grali w nie jedynie ortowoce i nygusy. No i, oczywiście, skupiacze. Gliniarze trenują na strzelnicach, my mamy prywatne konsole przerabiane bez końca na bazie dawno wycofanych z użycia modeli.

Zamiast tracić czas na przeszukiwanie mieszkania, usiadłem wygodnie na podłodze, oparłem się o łóżko szczyła i odpaliłem gotycko-pastelową gierkę o strzelaniu do rozwrzeszczanych botów.

Miałem jeden cel – dostarczyć flagę do centrum strzeżonej bazy.

Mogłem sobie wyobrazać, że flaga to sekret szczyła, a wrogie boty to rozpraszające mnie dane, podobno niektórzy tak właśnie wykorzystują stare gry. Nie ja. Ja po prostu pozwalałam sobie zapominać o świecie. Tylko jeden cel na raz – to moja dewiza.

Wygrałem osiem do sześciu. Od razu poczułem się lepiej. Odpreżony mogłem skupić się na sprawie.

Paniusia nie była istotna. Także ja nie byłem istotny, w każdym razie nie imiennie. Byłem tylko przypadkowym skupiaczem, każdy inny mógł się znaleźć na moim miejscu. Kto mi

pozostał? Szczyl. Co było w nim istotne? Miłość do animki i ewentualne zarażenie Mają dzielił z paroma milionami innych. Umiał dłubać w kodzie, co ostatecznie okazało się przydatne, ale także nie czyniło go nikim szczególnym. Co pozostało?

Książki.

Spróbowałem przypomnieć sobie ich tytuły. Używanie biopamięci nie jest, niestety, proste w czasach biączy. Jeśli możesz trzymać dane na peryferiach, galarety używasz przede wszystkim do przyjemniejszych pierdół. Mieszają się w niej jakieś wspomnienia pierwszych pocałunków, wakacji, ale przede wszystkim zdarzenia zachowane w pamięci krótkotrwałej. Tytuły powieści zgromadzonych w dziupli szczyla zachowała dla mnie Intra, a nie okazała się na tyle sprytna, żeby przerzucić je do bezpiecznych, niezainfekowanych katalogów zewnętrznych.

Na szczęście pamięć to też dane, a w nich umiałem się poruszać. Przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie zawartość galarety w formie labiryntu do oczyszczenia. Prosta logiczna gierka, jakich już nikt nie robi. Dobre ćwiczenie dla skupiacza.

Potrzebowałem kwadransa, żeby załapać, o co chodziło.

Sukinsyny. Głupie, gówniarskie sukinsyny.

Kimkolwiek byli.

11.

„Kto wybrał dla mnie tę twarz?”.

Od chwili zawieszenia Intry minęły dwie godziny. Nadal nikt się tym nie przejął. Siedziałem w „Twojej Małej” ze standardowym fejsem nadawanym przez pieprzyćsystem!, dostępnym za niewielką cenę dla dowolnego nikta. Trochę ją przemodelowałem w dołączonym do zestawu kreatorze. Nie zaszalałem, przeciwnie, dodałem gębie bylejakości. Na po-

strzeżenie nałożyłem tanie filtry umożliwiające mi unikanie co prostszych spamów. Nadawałem na wszystkich łączach nikotową przeciętnością, wpięprzałem niespiesznie chrust, przepijałem to proteinowym koktajlem bez smaku i ograniczałem dane.

Nie czytałem „Ulissesa”, z którego pochodził cytat rozmazany przez szczyła na ścianie. Spajderka nie podsuwała nam zbyt szaleńczych lektur przypominających strumienie dryfu, by nie ryzykować odnowienia w nas zarazy. Przejrzałem pobieżnie omówienia i interpretacje oferowane przez pieprzyćsystem!, ale szybko zrezygnowałem z próby zrozumienia szczyła poprzez ten cytat. Może żył wedle reguł podsyłanych przez literaturę, a może odnajdywał w ciągach liter własne sensy. Interpretacje tylko niepotrzebnie przeciążałyby system. Skupiacze znają urodę i potęgę prostoty. Dlatego nie szukałem dodatkowych kontekstów i interpretacji, ale siedziałem w fafie, czekając na ruch szczyła. Mogłem się mylić, być może traciłem czas. Odrzuciłem jednak wszystkie obawy, jako kolejne niepotrzebne dane. Skupiacz musi być ślepy na wszystko, co uzna na nadmiar.

Nie pomyliłem się. Dziewczyna o twarzy Lim Ji weszła do „Twojej Małej” ledwie dwadzieścia minut po tym, jak ugryzłem pierwszy kęs swojego burgera.

Tylko ja ją zauważyłem. Dla pozostałych klientów była jeszcze jedną nimfetką o niezbyt oryginalnej fejsuni. Nikci nie zaglądną pod fejsy, coś takiego byłoby naruszeniem netykiety, za nadmierną ciekawość można dostać bana. Wejdiesz w pieprzyćsystem! – i jesteś tym, co emitujesz.

Ale ja widziałem jej prawdziwą, animkową twarz.

Pozornie nie zwróciła na mnie uwagi. Odebrała burgera oczekującego już w podajniku, usiadła przy wolnym stolczku i

odwrócona do mnie plecami, jadła powoli i dystygowanie, jakby nigdzie jej się nie spieszyło. Spróbowałem zirytować ją, wychodząc z fafu. Schowałem się za słupem nadajnika po drugiej stronie ulicy. Nie wybiegła zaskoczona moim zachowaniem. Jeśli się nie myliłem, wiedziała, że mają mnie w garści. I pewnie jakoś naznaczyła.

„Kto wybrał dla mnie tę twarz?” – założyłem, że napis na ścianie został nabazgrany dla mnie. Zabiączowany zaraz po narodzeniu dzieciak nie uznawał różnic pomiędzy realem a wejściem w pieprzyćsystem! – ich suma była jego prawdziwym światem. Gdy chciał ozdobić swoje otoczenie, ozdabiał pieprzyćsystem! Nie należał do nygusów, anarchistów, czy ortowoców, lubujących się w podkreślaniu przywiązania do twardej materii. Jeśli upačkał ścianę literami nabazgranymi tak koślawo, że mogło to świadczyć, iż po raz pierwszy napisał coś własnoręcznie, znaczyło to, że zamierzał przekazać coś ślepcowi odłączonemu od filtrów i przyglądającemu się światu nie tylko przez pieprzyćsystem! Ilu takich ludzi mógł spodziewać się w swoim pokoju? Tylko mnie.

A skoro wysłał mi wiadomość, to znaczy, że tym samym napisał dla mnie grę. Mogło mu się wydawać, że w ten sposób stał się wielkim kreatorem, kimś w rodzaju mojego prywatnego boga. Tak mogą postrzegać się awangardowi artyści. Kiedy jednak tworzysz grę sam, też musisz podać się jej regułom. To znaczy, że podsyłane mi tropy musiały mieć jakiś sens.

Reklamowa Lim Ji żyła w zakonie skupiaczy, ja byłem skupiaczem. Szczyl miał się za twórcę, trafiają się i tacy wariaci. Jeśli jego matka otwierała grę, być może odnalezienie dzieciaka pozwalałoby ją ukończyć. Coś spoza drutów podpowiadało mi, że nie będzie to takie proste.

Pewnie byłem przemęczony i zestresowany, ale potrak-

towałem to przecucie jako jeszcze jeden zbędny element napierającego na moje łącza chaosu.

12.

Architektura miasta nie zmieniła się bardzo po upowszechnieniu biączy. Choć większość reklam wzięła na siebie pieprzyćsystem!, a każdy nikt mógł sobie założyć taki filtr, jaki chciał, by oglądać budynki ornamentowane według własnych fantazji, wciąż trzeba było stawiać nowe domy i dbać, by nie zawałyły się stare. Turyści-emerycy lubili zresztą na nie popatrzeć w realu. My, tubylcy, cieszyliśmy się nowoczesnością, ale ona nie przyciąga zagranicznych dziwaków, z których możemy wyssać trochę krwawicy. W wyobrażeniu bardziej cywilizowanych narodów Polska to wciąż pogranicze bogate w cuda niedostępne w normalnym świecie. Choć slumsy Londynu czy Niu-jorku różniły się od slumsów Krakowa wyłącznie jakością ubrań ich mieszkańców, przybysze z lepszych światów żywili przekonanie, że te nasze były egzotyczne i ciekawsze. Zarówno władcy miasta, jak i zawodowi subkulturyści, nie mieli nic przeciw temu.

Z punktu widzenia turysty oraz miejskich księgowych Kraków dzielił się na urocze zabytkowe tła do uwieczniania turystycznych fejsów, wielkie nic zamieszkane przez niktów oraz enklawy wiecznych kontestatorów. W tym ostatnim przypadku mieliśmy coś, czym rzeczywiście wyróżniamy się na tle subkulturowych gett całego świata: wyciągnięty w niebo środkowy palec zabytkowego łez padołu, mieliśmy szkieletora.

Nawet pieprzyćsystem! nie podaje dokładnie, kiedy właściwie zaczęto budować paskudną żelbetonową wieżycę; wariaci wszelkiej maści dołożyli starań, by uczynić ten budy-

nek prawdziwie mityczną tyczką do nieba, Wieżą Babel pod pieprzyćsystem! Dotarli do archiwalnych zapisów, część z nich niszcząc, a część przekształcając wedle własnych pomysłów. Turyści szukający informacji o Szkieletorze dowiadywali się, że powstał samoistnie jako dowód na to, iż chaos może być twórczy, albo że stworzył go jakiś starożytny magik o nazwisku Twardowski. Znajdywali „ściśle tajne” informacje, że pierwotnie miał stanowić wyrzutnię rakiet międzykontynentalnych, załączek krakowskiego kosmodromu albo pierwszy gigantyczny superkomputer symulujący wirtualny komunistyczny raj dla wybranych.

Został tak naćkany nielegalnymi i legalnymi nadajnikami, że systemy niktów nie były w stanie przebić własnych fantazji przez wizje, które skomponowali mieszkańcy tego architektonicznego zombie.

Dla wszystkich opętanych przez pieprzyćsystem! galaret wyglądał więc jak czarny szpon samego diabła, wycelowany w niebo i rzucający cień zawsze w jedną stronę – ku wschodowi.

Jeśli spojrzeć nań zwyczajnymi oczami, wyglądał dokładnie na to, czym był. Na ponaddwudziestopiętrową kupę gruzu, trupa budynku chronionego przed ostatecznym rozkładem chaosem decyzyjnym w lokalnych władzach i wielką wiarą miejscowych wariatów.

Ani trochę nie byłem zdziwiony, że Lim Ji prowadziła mnie właśnie ku niemu. Tubylcy witali ją tu jak swoją niezależnie od tego, czy należeli do sekciarzy wpisujących w pieprzyćsystem! własne światy, czy do nygusów ignorujących elektroniczną rzeczywistość; do archów pracujących na fizycznych klawiaturach i monitorach, albo do borgów podpiętych w iluzje wspólnych świadomości. Wyznawcy Mai uśmiechali się do niej porozumiewawczo. Była u siebie.

Sekciarze mieszkający u stóp wieży bądź okupujący jej piętra zdawali się traktować ją z szacunkiem. Mnie ostentacyjnie nie zauważali.

Jednak to nie tubylcy stanowili dla mnie problem, ale fakt, że Szkieletor pozbawiony był wind, a Lim Ji postanowiła zaciągnąć mnie na sam dach. Zasapałem się już w okolicach dziesiątego piętra.

Na dwudziestym osiągnąłem stan, w którym marzyłem tylko o tym, żeby położyć się i leżeć tak do końca świata. Gdy wreszcie wspiąłem się na dach, gdzie Lim Ji czekała już w towarzystwie obejmującego ją szczyła, mogli ze mną zrobić co chcieli. Nie obroniłbym się nawet przed niemowlęciem.

– Witaj – powiedzieli równocześnie, a dla mojej skołowanej galarety ich głosy zlały się w jeden.

Próbowałem wydyszeć im coś w odpowiedzi. Z trudem zdobyłem się tylko na potrząśnięcie ręką. Usiadłem i czekałem, co zrobią. Ale oni też zdawali się czekać. Sto lat później, kiedy znów mogłem normalnie oddychać, zdobyłem się wreszcie na oświadczenie, z którym tu przybyłem:

– Znalazłem cię, młody. *Game over*. Uwolnij matkę. I In-trę.

Wtedy roześmiali się, a ich bardziej okrutne niż wesołe śmiechy moja galareta znów potraktowała jak jeden.

Przyszło mi do głowy, że możliwe, iż jednak źle to wszystko wykombinowałem.

13.

Odchrząknąłem.

– Bo przecież to jest gra, nie?

Lim Ji potrząsnęła głową, a szczył pokiwał. Popatrzyli na siebie, znowu się roześmiali i równocześnie najpierw pokiwali

głowami, a potem nimi potrząsnęli.

Nawet pieprzyćsystem! miewa problemy z dzieciakami. Nie jestem dziadkiem, jeszcze nie przekroczyłem ćwiartki, ale swoje już zasejwowałem. Misje i lokacje, jakie zaliczyłem, zgasiły tę gorączkę, jaka napędza człowieka, póki mu się wydaje, że należy do wybrańców, a nie enpeców. Póki nie uświadamiasz sobie, że jesteś niktem jak wszyscy, pozostajesz dzieckiem. Bo dzieci lubią być wyjątkowe.

To one wymyślają gry w grach, wciągają przypadkowych niktów w postlarpy. Zamiast siedzieć jak dorośli zanurzeni w pieprzyćsystem!, olewają społecznościówki i urządzają sobie własne imprezy. Jeśli są cwańsze i bezwzględniejsze, zabawiają się, wciągając w nie przypadkowych niktów, jak mnie teraz. Dzieci, które uwalniają się od społecznych umowności, to psychopaci. Wszyscy jesteśmy dla nich zabawkami albo tłem.

Spróbowałem jeszcze raz.

– Słuchajcie, gnojki. Ty, gówniarzu, ustawieś swoją mamuśkę.

Wykorzystałeś jej zawieszenie w społecznościówkach i wpisałeś w nie uśpione wirusy. Nie wiem, jak długo ją infekowałeś, ale zmieniłeś własną matkę w konia trojańskiego. Gdybyśmy przełamali rejestry, okazałoby się pewnie, że nie zniknąłeś z domu przed chwilą, ale całe tygodnie temu, prawda?

Skinęli głowami. Świetnie. Odzyskałem nieco pewności siebie.

– Dobra. Dzisiaj rano uruchomiłeś jej macierzyński niepokój, a ona poleciała do najbliższego biura skupiaczy, czyli do nas. Bardzo możliwe, że nas też ty jej podsunąłeś. Jeszcze zanim przekroczyła nasz próg, przypuściliście inwazję śmieci infekując ochranę i Intrę.

Mamuśka do tego jakoś przemyciła ukryte wirusy...

– Seks – wtrąciła Lim Ji, a szczyl zachichotał. – Pobudziłeś ją i zaczęła bionadawać. Głupki.

– Seks. No tak. Podrzuciliście mi wystarczająco dużo tropów, żebym mógł was odnaleźć. Gratulacje, macie mnie w ukrytej kamerze. Wygraliście, ja spełniłem swoją rolę. Nie koniec na tym?

Przez chwilę nie odpowiadali, sycąc się chwilą. Mogłem sobie wyobrazić te tłumy podłączonych do nich niktów, oglądających nas w wykreowanej przez dzieciaki scenerii Szkieletora. Oni dwoje, zapewne jako jacyś potężni czarnoksiężnicy, i zagubiony ja.

– Nadajecie to, co?

– Nie – odpowiedziała Lim Ji. – Nic nie rozumiesz. Nic a nic. To nie jest gra, a my nie jesteśmy ekipą kręcącą spektakle dla biernych.

– To jest gra – nie zgodził się szczyl i przez chwilę wyglądało na to, że się pokłóca. Dziewczyna ustąpiła, nim do tego doszło.

– W porządku, to jest gra. – Wzruszyła ramionami. – Ale inna, niż ci się wydaje, skupiaczu. Odczytałeś tropy, dotarłeś po nich do nas. Zaliczyłeś prolog.

Zezłościł mnie.

– Od trzech godzin matka tego smarka i moi kumple tkwią zawieszeni! Nie pieprzcie mi tu o prologach! Mają zdechnąć z głodu, żebyście się dobrze bawili?

Chciałem do nich podejść, żeby porządnie nimi potrząsnąć, ale nie zrobiłem tego. Nie dlatego, że byłem taki opanowany. Nie byłem w stanie się ruszyć. Zakląłem, a oni znowu zachichotali.

– Świat jest do dupy – oświeciła mnie nastoletnią mą-

drością Lim Ji, kiedy próbowałem przewyciężyć paraliż. Powinienem być wpaść na to, że skoro zhakowali Intry, we mnie też coś wpakowali. – Świat jest do dupy, nic się w nim nie dzieje, a my to zmienimy.

Właśnie to zmieniamy. Przy pomocy takich jak ty. Myślisz, że to jest gra? Jeszcze jedno zadanie dla jeszcze jednego acza?

– A nie?

– Nic nie zrozumiałeś.

– Coś zrozumiał – znów nie zgodził się szczył. – Ale za mało.

Czekaj, ja spróbuję. Grywasz czasem? – zwrócił się do mnie.

Parsknąłem.

– Nie, nie na co dzień, jak wszyscy. – dodał szybko – Nie w jebactwo... Wiesz, GovNet.

– Dla mnie to pieprzyćsystem!

– Może być. Więc grywasz w coś poza tym? W stare, pozasystemowe gry z czasów sprzed chmury i totalnego uspołecznienia?

– Grywam. Choć my dorośli mamy trochę mniej czasu...

Przerwał mi machnięciem ręki.

– Czym różnią się stare gry od systemowych gier GovNetu, skupiaczu? Co przegapiłeś?

Wyglądało na to, że zamierzał dać mi szansę, choć jego idolka najwyraźniej była już mną znudzona. Chyba że odgrywali przede mną dobrego i złego glinę. Zaraz. Role. Dawniej w grach odgrywaliśmy role, dziś gry są sprofilowane pod nasze role społeczne. Już nie wcielamy się w herosów, ale asymilujemy ich aspekty w nasze profile tak, by wpisywały się w nasze zadania i role społeczne.

– Dawniej gry dawały nam chwilę oddechu od świata, dziś są jego niezbywalną częścią!

Lim Ji wydeła wymodelowane usteczka, by oznajmić, że wiedziała, że to wszystko strata czasu.

– To nie to. – Szczyl był cierpliwszy od niej. – Nie kombinuj, skupiaczu, skup się na danych, które masz.

– Czemu wam tak zależy, żebym sam na to wpadł? – zirytowałem się. – Nie możecie mi powiedzieć, żebyśmy to mieli z głowy?

– Strata czasu – powtórzyła Lim Ji. – To głupek. Spadamy, Micro.

Szczyl sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście zamierzał mnie zostawić. Teoretycznie nie oznaczało to końca świata. Po prostu sam zawiadomię pieprzyćsystem! Siepacze zapakują nas wszystkich do sarkofagów, firma zejdzie z rynku na jakiś czas, ale może uda jej się przetrwać. Na skupiaczy zawsze jest zapotrzebowanie. Mógłbym nawet działać jako wolny strzelec albo pracować dla korpo i segregować dane dla jakiegoś tłuszciocha niewychylającego nosa z profplejów. Dałoby się przeżyć.

Ale nie o to chodziło. Oznaczałoby to wydanie spajderki pod pieprzyćsystem!, a może nawet porzucenie jej na zawsze. Nie chciałem być szczurem spieprzającym z okrętu, ale...

– Mam! – zawołałem za gówniarzami. – Już wiem, o co wam chodzi! To kompletnie bez sensu, ale wiem!

14.

Buntowałem się kiedyś, jak każdy. Mój pierwszy dryf zaczął się od wypięcia na pieprzyćsystem! i odpłynięcia w różowe sny z panienką, której stary robił w gronowelach i podobno pracował nad stymulantami dla niktów. Teoretycznie

to żaden problem: opracować zestaw bodźców, który przez odrutowaną galarete będzie pobudzał cielsko do produkcji określonych chemicznych kompozycji. Odpowiednio stymulowane cielsko samo produkowałoby sobie narkotyki do zaciągania miłością lub nienawiścią, strachem, podnieceniem i innymi chemicznymi stanami galarety. W praktyce pieprzyćsystem!

zamykał każdego, kto tylko próbował takich zabaw. Stymulanty, które panna zwinęła staremu, okazały się w stu procentach legalne, ale i tak nas nie rozczarowały.

Teraz, kiedy Lim Ji przyglądała mi się wreszcie z zainteresowaniem, pododawałem sobie wszystko raz jeszcze. Owszem, jak wszyscy w robocie podkochiwałem się w spajderce. Wszystko jednak w granicach rozsądku. A teraz zupełnie odbiło mi na jej punkcie.

– Podsunęliście mi prochy – strzeliłem. – Naćpaliście mnie zakochaniem.

– Jednak nic nie wiesz. – Lim Ji na znów przybrała znużoną minę.

– Czekaj! Fabuła!

Wszechświat eksplodował fajerwerkami, a Lim Ji posłała mi całusa.

– Nareszcie, skupiaczu. Ale udowodnij mi, że nie strzelasz w ciemno.

– Stare gry, powieści w dziupli szczyła...

– Gdzie?

– No, u Micro. Wszystko łączy to samo – fabuła. Dziś gry jej nie mają.

– Świat jej nie ma – zawołała z przejęciem. – Świat nie ma fabuły! Wszystko, co robimy, jest bez sensu. GovNet przejął rozwiązania z gier i ustawił pod nie wszystko. Chodzisz do

szkoły, żeby zdobywać osiągnięcia i budować simzwiązki. Nie masz kumpli, tylko ich profile, z którymi zażerasz się zadaniami i nagrodami. Na studiach jest to samo, tylko zadania trochę się zmieniają, a potem idziesz do roboty i brniesz w te same pleje. Niby żyjesz, niby masz się z czego cieszyć, ale wszystko wokół ciebie to jedna wielka stymulacja potrzeb. Nie poznajesz ludzi, bo tak chcesz, nie grasz, bo tak chcesz, ale dlatego, że tego wymagają role i reguły. A wszystko to pozór. Wiesz, czego trzeba światu?

– Przecież nie fabuły – jęknąłem. – Dziewczyno, toż...

– A czemu nie?

– Bo życie zawsze takie było. Jeszcze przed tym, zanim pojawił się pieprzyćsystem! Życie nie ma fabuły. Wszystko dzieje się powoli, związki między zdarzeniami to suma konsekwencji, nie szalonych wydarzeń, i nic nie zmierza do puenty.

– No i co z tego?

– To, że jeśli chcesz powrotu do natury, fabuła jest kiepskim rozwiązaniem.

– Głupek!

– Nie chcemy powrotu do natury – szczył znów ratował sytuację. – Nie bierz nas za golców. Natury już nie ma i szans na nią też nie ma. Widzisz, ugrowienie ludzi to tylko odcinek drogi ewolucji.

Teraz panuje chaos i pustka. Fabuła nada życiu cel. Wcześniej w życiu jej nie było, nie miała jak się zawiązać, bo nie istniał żaden mistrz gry ani program, który mógłby pospinać miliony przypadkowych zdarzeń. Jebactwo to umożliwia. Mamy system i reguły, których prawie wszyscy chętnie przestrzegają. Możemy dać temu światu sens.

Uzupełnimy system, naprawimy go.

– Mną?

– Takimi jak ty. Zaczęliśmy od ciebie, ćwiczymy. Potem napiszemy szersze, mocniejsze fabuły. Inni się przyłączą, zobaczysz. Gro-nowele przejdą do historii, to nic niewarte substytuty. Po co udawać, ćpać linearne wyzwania, których jedynym celem są acze, jeśli można naprawdę przeżyć opowieść?

– Wystarczy tego – zawołała Lim Ji. Machnęła na mnie ręką. – Teraz masz szanse. Spadaj.

I spadłem.

Wbrew własnej woli podszedłem do krawędzi dachu i powoli opuściłem się na rękach nad otchłanią. Kilkadziesiąt metrów pode mną nikci bawili się przy prawdziwych i wirtualnych ogniskach.

– Możesz odzyskać władzę w rękach, jeśli podejmiesz właściwą decyzję – zaświergotała bardzo rozweselona Lim Ji. – Micro wierzy, że ci się uda, teraz, gdy wiesz już wszystko. Ja mniej na ciebie liczę. Ale trzymam kciuki.

Pieprzona psychopatka.

W szczenięcych latach buntowałem się, jak wszyscy. Wyobrażałem sobie, jak to wszystkim pokażę na co mnie stać. Jak wymyślę najzajebistszy wynalazek, wrywam najseksowniejszą pannę albo robię dla siebie dziupłę stulecia i mieszkam w niej do końca życia.

Ale nigdy, nigdy nie wpadłem na to, żeby przerobić pieprzyćsystem!, a po nim pewnie cały świat, na pieprzoną bajkę! Nie można się buntować w ten sposób.

To jest, cholera, nieludzkie.

Nie władałem cielskiem, ale czułem, że zaczynają drętwieć mi ręce. W dodatku cholerne dzieciaki uruchomiły w Szkieletorze Maję i niebo zaczęło do mnie nawoływać głosem bogini. Błagała, bym się otworzył.

Fabuła. Też wymyślili.

15.

Wiszę na coraz słabszych rękach. Majtam nogami nad otchłanią, którą uczynna Lim Ji zwizualizowała mi jako paszczę potwora z jakiejś piaszczystej planety. Z góry błagalnie wyciąga do mnie ręce Maja. Chaos wrażeń drażni bardziej niż wizja nieuchronnej śmierci.

Ale nie bardziej niż świadomość, że będę musiał posłuchać bogini.

Wszystko jest grą. Zawsze było, tylko reguły pozostawały bardziej niejasne. Pieprzyćsystem!, taka jego mać, uprościł i skodyfikował zasady, a także ofiarował szybkie, atrakcyjne nagrody, jakich próżno doszukiwać się w zwyczajnym życiu. Po cholerę komu fabuła? Fabuła tylko wszystko komplikuje. Świat nie jest i nie powinien być opowieścią. A już na pewno nie opowieścią wymyśloną przez neurotyczną nastolatkę z twarzą z reklamy i zakochanego w niej dzieciaka.

Nie musiałem się wysilać, żeby wpaść na to, co dla mnie wymyślili. Wystarczy, że wejdę w rolę rycerza, pognam ratować spajderkę za wszelką cenę i będę reagował na różne kretyńskie zwroty akcji, które pewnie przygotowała dla mnie ta pokręcona parka. Wystarczy, że szczerze podejmę decyzję, a Lim Ji i jej przyszczaty amant odczytają to i uwolnią mnie, a może nawet pomogą, stymulując mięśnie tak, by udało mi się wygrzebać z powrotem na dach.

Tylko że wcale tego nie chcę. Boję się, że już nie będzie odwrotu, że moja ogłupiała galareta da się nabrać na iluzję sensownie poukładanych wydarzeń. Bo w tym tkwi największa pułapka fabuły – życie zmierzające do puenty jest tak cholernie kuszące. Sam bym na to poszedł. A miliony wygłodzo-

nych wrażeń niktów nawet się nie zważają. Do tej pory odgrywali z zaangażowaniem banalne role, teraz będą mogli się nimi stać. Następny, może i logiczny krok grewolucji wessie ich i przemieli. Oczywiście gówniarze ostatecznie przegrają, nie zniszczą systemu, ale pomogą mu się jeszcze rozwinąć. Cały ich śmieszny bunt przyczyni się tylko do wzrośnięcia kilku fortun gronowelowych magnatów, którzy obejmą swoim chłamek wszystkie aspekty życia.

Nie chcę tego.

Może tylko odruchowo buntuję się, jakby coś tak naprawdę ode mnie zależało.

„ W fabule by zależało – kusi Maja. – W fabule każdy twój czyn ma wartość”.

Pieprz się, bogini.

No dobra, wejdę w rolę. Zostanę wybawicielem spajderki.

Dla niej. Niezależnie od tego, czy pograliście z moją chemią, czy to wszystko, co do niej czuję, jest prawdziwe. Ale jak już rozegram waszą gierkę, znajdę sposób by was dorwać! Nie będę błędnym rycerzem, ale czarnym magiem waszego gówniarskiego świata. Sarumanem, lordem sithów, Irenicusem. Wystarczy tylko, że się skupię, a na pewno coś wymyślę. To w końcu mój fach. Jestem skupiaczem, zwiadowcą chaosu, bohaterem, za którym stoi pieprzyćsystem! Wybawcą spajderki. Błędnym – żebyście się szpicowali, trepy – rycerzem. Będę, niech to szlag, Mario.

A jeśli to też ma być wasza fabuła, nie życzę w niej sobie żadnych suspensów.

MARK HODDER – BAŁAGANIARSKI PODRÓŻNIK W CZASIE

NOWA Fantastyka

08 (872) 2018

MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 9% VAT)



JUŻ W SPRZEDAŻY

„RIDDICK”
CZY BOISZ SIĘ
CIEMNOŚCI?

„KONGRES”
LEM NA EKRANIE

APOKRYFICZNY
SHERLOCK
HOLMES

FANTASTYCZNY
ŚWIAT: RPA

OPOWIADANIA:

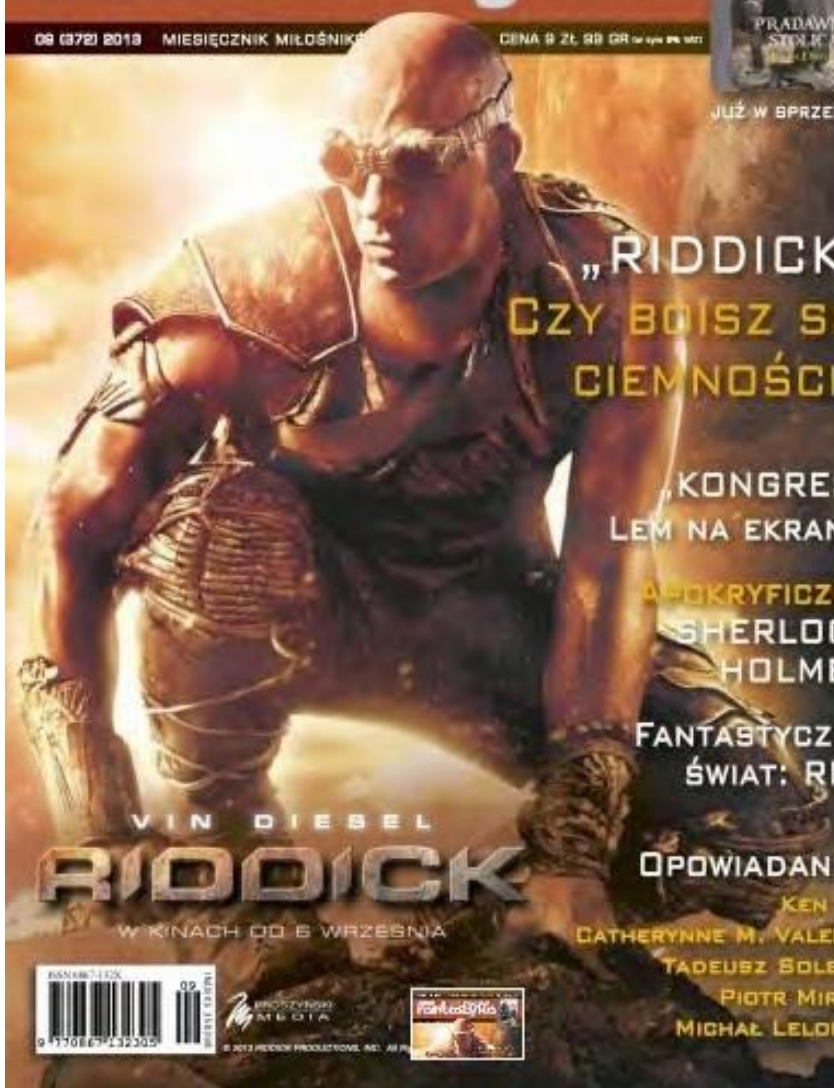
KEN LIU

CATHERYNNÉ M. VALENTE

TADEUSZ SOLECKI

PIOTR MIRSKI

MICHAŁ LEŁONEK



VIN DIESEL

RIDDICK

W KINACH OD 6 WRZESNIA



PROJEKTOWAŁ
MEDIA

© 2013 RIDDICK PRODUCTIONS, INC. ALL RIGHTS RESERVED.



Piotr Mirski

Drobnoustroje

Opowiadanie pochodzi z „Nowej Fantastyki” 09/2013

Klej z potu, duszna noc, cudze włosy na twarzy jak alergen.

Budzę się nagle i dyszę Magdzie w kark, a ona, po swojemu, jest cicha i pokorna, zupełnie inaczej niż w dzień. Kiedy odsuwam się, słyszę mokre kłaśnięcie – to skóra z mojego brzucha odlepia się od skóry z jej pleców, a między nami tworzy się próżnia, która dopiero ćwierć, jedną ósmą, jedną miliardową sekundy później zapełnia się powietrzem.

Krocze mam ciągle przyciśnięte do jej tyłka. Tu włącza się dawna neuroza, odruchowy lęk: ona jest naga, ja jestem nagi, ja jestem ciągle mokry, ona jest ciągle mokra, musnę ją tam, gdzie nie powinienem, nasienie jak drobnoustrój rozpuści się w niej, pomknie przez ciemne tunele, a potem – ciąża. Magda zajdzie w ciążę. Zły, głupi odruch.

Tym bardziej głupi, bo nieaktualny. Teraz, to znaczy – od kilku miesięcy, mam nowy: głaszczę Magdę po udzie, a później spokojnie sunę dłonią do przodu, do brzucha, już dużego, obciągniętego skórą, pełnego, oczekującego.

Odwracam się do niej tyłem, koniec z czułościami, czas się wyspać. Wtulam głowę w ścianę – to kolejny nawyk, w sumie dziwny – i dopiero w takiej pozycji, z czymś twardym i chłodnym przy twarzy, mogę wreszcie dotrwać do rana.

Głos w mojej głowie milczy. Ciemności wypełniają wnętrze Kopyły, rozlewają się w powietrzu niczym atrament rozpuszczony w wodzie, zamazują kontury. Jedynym źródłem światła są zawieszona półtora metra nad podłogą interfejsy, holograficzne tafle szkła ozdobione neonowymi hieroglifami. Siedzę po turecku na podłodze naprzeciwko jednego z nich i słucham ciszy. Już za kilkanaście, może kilkadziesiąt minut gdzieś za kolejnymi ścianami, drzwiami i korytarzami rozszaleją się alarmy, ubrani w mundury ludzie będą biegali, wykrzykując różne polecenia. Teraz jednak mam spokój, mogę kontemlować chwilę, kolekcjonować ostatnie sekundy, wdychać je i wydychać, przeliczać na uderzenia serca.

Głos w mojej głowie mówi:

- Już!

Podnoszę się i włączam za pomocą interfejsu światło. Lampy eksplodują, zalewa mnie rozżarzona biel, a z niej po kilku sekundach wyłaniają się urządzenia, których przeznaczenia mogę się tylko domyślać: emitujące elektryczny chłód cylindry, zamontowane na ścianach gigantyczne wiatraki, przezroczyste zbiorniki z wodą, połączone ze sobą systemem rur. Widzę też ustawiony w centrum Kopyły szklany sarkofag. Ruszam w jego stronę.

W środku leży Magda, farmakologicznie uśpiona i ubrana w białą szatę, która unosi się na jej brzuchu. Jest nieprzytomna, ale ma otwarte oczy. W jej źrenicach odbija się moja sylwetka.

Kawa idzie w gardło, z sykiem rozpuszcza się w żołądku, a potem w krwiobiegu; serce wali o żebra, para wali z uszu. Trzeba napierdalać.

Jest szósta rano: Magda jeszcze śpi, grzecznie i spokojnie, a ja siedzę już przy laptopie. Równocześnie włączam Operę i OpenOffice'a, chwilkę czekam na oba programy – komputer ma swoje lata, a mnie nie stać jeszcze na nowy – a tym czasem kofeina rozpycha mi skronie. W końcu są: skrzynka e-mailowa i edytor tekstu. W tej pierwszej sprawdzam szczegóły zleceń na dzisiaj, do tego drugiego wrzucam pierwsze notatki i uwagi.

Trzeba napierdalać. Jestem freelancerem. Freelancerem-publicystą i freelancerem-copywriterem. Ta pierwsza fucha jest fajna, wymarzona. Idąc na kulturoznawstwo, które później zakończyłem magisterką o Gigerze, nie podejrzewałem, że mi się to uda, zresztą prawie nikt nie podejrzewał; każdy oczekiwał, że w końcu i tak wyląduję na stanowisku telemarketera. A jednak – zarabiam, oglądając filmy i czytając książki oraz komiksy, zarabiam, robiąc to, czym inni zajmują się po ośmiu godzinach spędzonych w biurze. Ta druga fucha, copywritera, już taka przyjemna nie jest, ale jest konieczna – finansowy fundament dla działalności publicysty. Wiadomo, dzisiejsza prasa leży i kwiczy, trzeba więc trochę chałturzyć, najlepiej w reklamie, bo właśnie tam odpłynęła kasa, którą mogą zgarnąć humaniści. Bycie copywriterem nie jest trudne, wręcz przeciwnie, ale trzeba uważać – stukanie obłych tekstów promocyjnych i newsletterów tępi pióro, odmóżdża. Stukać obłe teksty jednak muszę.

Słowo „muszę” pojawiło się w moim słowniku po tym, jak Magda zaszła w ciążę. Rok po studiach, wciąż dotowany przez matkę, leniwie rozkręcałem się jako autor, w nieskoń-

czoność szlifowałem teksty, w sumie to więcej czytałem, niż pisałem, bo ciągle wierzyłem, że podstawą jest kapitał kulturowy. Dzień, w którym dowiedziałem się, że ups, Houston, mamy problem, dał mi potężnego kopa adrenaliny. Nie spanikowałem, nie pomyślałem o aborcji, nic z tych rzeczy.

Najpierw powiadomiłem matkę, a potem zebrałem się w sobie i wysłałem dobre tysiąc mejli: do gazet, magazynów, portali, wydawnictw i agencji reklamowych. Pierwsze dni i tygodnie przyniosły ponure oczekiwanie, które z czasem zaczęło przeradzać się w desperację, ale w końcu coś zaskoczyło, machina ruszyła, moja tak zwana kariera się rozkręciła.

Został miesiąc do porodu, a ja czuję się już prawie gotowy. Robię to, co lubię, jestem dorosłym człowiekiem, zakładam rodzinę. Napierdalam.

Kiedy dotykam palcem interfejsu, rozchodzą się po nim złote kręgi, jak po kamieniu wrzuconym w wodę. Czerwone symbole migają, a potem spływają na moją skórę, budząc uczucie mrowienia i ogólnego dyskomfortu psycho-fizycznego; interfejs atakuje mój układ nerwowy, łączy się z nim, a on łączy się z interfejsem. Moja ręka staje się przewodnikiem, ja też staję się przewodnikiem, sam nie potrafił-

bym korzystać z technologii Kopuły. To wszystko robi za mnie głos w głowie. Jestem dla niego narzędziem, podłączoną do systemu wtyczką, za pomocą której spróbuje go zhakować.

Nie znam się zbyt dobrze na technologii, komputerach, zabezpieczeniach, w szczególności na takich, które zostały stworzone przez obcą cywilizację. Znam się za to na kobietach, jestem ginekologiem.

Umiem być delikatny i spostrzegawczy, umiem rozmawiać z pacjentkami, uspokajać je, sprawiać, aby czuły się przy mnie komfortowo.

Nie wyglądam zbyt dobrze, ale po chwili rozmowy budzę zaufanie.

Lubię pomagać, lubię ludzką wdzięczność i sympatię.

Nie jestem tu jednak, żeby komukolwiek pomóc, na pewno nie Magdzie, mojej kochanej Magdzie, która leży parę metrów ode mnie zapieczętowana pod szkłem, uśpiona i zmieniona w inkubator. Od dawna hoduję w sobie gorycz i wściekłość, a ta noc, ta chwila i moment, który nastąpi po niej, przyniosą ich ostateczne ujście. Tak, to będzie zemsta.

Moim współnikiem w zbrodni jest głos. Nie wiem, jakie są jego motywacje, nie wiem nawet, do kogo należy, chociaż oczywiście mam swoje domysły. Wiem tylko tyle: pewnej nocy, kiedy złamany i samotny próbowałem uśpić się za pomocą morza alkoholu i garści pigułek, przemówił do mnie; powiedział, że mnie rozumie, wie, czego chcę i potrafi mi pomóc. Potrzebował tylko mojej zgody. Siedząc w ciemnej sypialni, na łóżku zmienionym w barłóg, z twarzą i dłońmi mokrymi od potu, powiedziałem:

– Tak.

On rozgościł się we mnie, zapuścił korzenie, wyszał przez nie wspomnienia i nawyki, wyhodował pośrodku mojej czaszki trzecie oko, którym patrzył na świat i przez świat. Znał rządzące rzeczywistością mechanizmy. Potrafił rozsypać sploty wydarzeń, które ja brałem za zbiegi okoliczności.

Dzięki temu doprowadził mnie aż tutaj. Wydając mi rozkazy, umożliwił mi wejście do wnętrza Kopyły, najbardziej strzeżonego obiektu naszej planety. Teraz próbuje otworzyć sarkofag, w którym leży Magda.

Myśl o naszym następnym kroku budzi we mnie mieszankę rozpacz, wściekłości i dziwnego poczucia obowiązku. Przybyliśmy tu, aby zdradzić dwie rasy, aby uniemożliwić pojednanie między nimi. Ostatecznym celem naszej wizyty w Kopule jest zabicie dziecka w łonie Magdy.

Jest dziesiąta rano, o oto to, co zrobiłem od szóstej: napisałem jedną recenzję, dwie recenzje poprawiłem i wysłałem do redakcji, do innej redakcji wysłałem propozycję tekstów na przyszły miesiąc, do-grałem szczegóły zlecenia z agencją reklamową. Zrobiłem też śniadanie dla siebie i Magdy.

Magda właśnie się budzi, wciąga szlafrok na gołe ciało, odgarnia włosy z twarzy i, tak jak zazwyczaj o tej porze, jest dość niemiła.

Marudzi, że hałasuję, że mamrocę do siebie, że w nocy potrąciłem jej nogę, wychodząc do kibla. Tak już ma. Zaraz się zmieni. Znow będzie miękka, gładka, pachnąca, przytulalska. Zacznie jeść śniadanie i będzie znad talerza patrzeć na mnie z uśmiechem, jak wiewiórka trzymająca w łapkach orzech.

Wiewiórka to bardzo dobre skojarzenie, bo Magda jest ruda – ma rude włosy na głowie i między nogami, na białej skórze dużo piegów, na białych piersiach różowo-pomarańczowe sutki. Ma też kocie, zielone oczy i to właśnie te oczy dodają jej charakteru. Człowiek patrzy w nie i widzi *femme fatale* ze starych filmów noir, człowiek patrzy w nie i czuje się gówniarzem, który podejrzwał okładkę świerszczyka przez szybę w kiosku i teraz buzują w nim jakieś nieznane siły. Oczy Magdy hipnotyzują i onieśmielają. Ośmiela natomiast cała reszta.

Magda ma w sobie coś, co każe ją przytulać, brać na ko-

lana i gładzić po włosach. To pewnie kwestia jej budowy – jest zbudowana bardzo delikatnie i raczej mało kobieco, z tymi swoimi cieniutkimi rączkami, wystającą miednicą, żebrami sterczącymi spod piersi; jak origami ze skóry.

To nie jest figura dla matki, ale wierzę, że wszystko pójdzie dobrze; ciążą przebiega bez komplikacji. Magda ma w sobie atomowe pokłady siły. To one trzymają w niej dziecko i nie pozwalają, aby stała się mu krzywdą. Zawsze nosi podniesioną głowę, nigdy nie opuszcza wzroku, mówi głośno i pewnie. Od zawsze tak się zachowywała.

Od zawsze, czyli od liceum. Chodziliśmy do tej samej klasy i już wtedy się ze sobą spotykaliśmy. Ona była królową. Nie królową przerw, domówek i dyskotek, tylko królową lekcji i wywiadówek. To chyba kompleks Napoleona – osoby drobne i niepozorne muszą być przywódcami. Magda była przez trzy lata gospodynią klasy, członkinią samorządu uczniowskiego, prymuską i olimpijką. Organizowała połowinki i studniówkę, była w telewizji jako twarz zbiórki pieniędzy na schronisko dla zwierząt, w sumie to była wszędzie. Ja za to byłem cały czas w tym samym miejscu – razem z grupą podobnych do mnie gości w okularach i półdługich włosach, przegrywających sobie filmy i pożyczających komiksy.

Dlatego zdziwiłem się, kiedy pewnego dnia wykonała pierwszy krok – zagadała o coś, nie pamiętam, o co, ale uznałem, że daje mi sygnał, po prostu chce, żebym zrobił drugi krok. Do teraz twierdzi, że wcale tak nie było, jednak zrobiłem wtedy ten cholerny drugi krok, zrobiłem nawet trzeci, a po czwartym zakochałem się i ją zdobyłem.

Byliśmy parą w liceum, byliśmy parą na studiach, jesteśmy parą teraz. Nasza droga nie była, rzecz jasna, taka prosta. Zakręcała wokół niezrealizowanych planów wyjazdu

Magdy na stypendium do Anglii, komplikował ją pierwszy burzliwy rok wspólnego mieszkania, pretensje o mój marazm, kładła się na nią cieniem niechęć mojej matki, mającej coś przeciwko Magdzie. W końcu jednak znaleźliśmy się tutaj: ja skończyłem kulturoznawstwo i jestem freelancerem, ona skończyła zarządzanie i jest sekretarką, ale mówi, że będzie dyrektorką, a jej wierzę.

W końcu znajdujemy się tutaj: w naszej kawalerce, o dziesiątej rano. Magda kończy śniadanie, ja kończę odpowiadać na mejla. Jest tak, jak się spodziewałem, jest tak, jak zawsze – już nie marudzi, tylko przytula się do mnie od tyłu, gładzi po klatce piersiowej, całuje w kark, łaskocze włosami w ucho. Miłość rozkwita i wzrasta we mnie niczym grzyb atomowy.

Praca trwa dalej: przez mój układ nerwowy przepływają kolejne porcje danych, gdzieś na styku mnie i systemu Kopuły toczy się bitwa. Stoję ze zdrewniałą ręką wyciągniętą do przodu i patrzę na Magdę. Nie, nie wygląda pięknie. Biała szata, w którą ją ubrali i która miała nadać wszystkiemu sakralny charakter, przypomina groteskową podróbkę szpitalnej koszuli. Jej rude włosy wydają się niezdrowe, jakby dziecko wysyłało z niej więcej soków, niż powinno; podobnie jest z cerą. Najgorsze są jednak jej niegdyś wspaniałe, zielone oczy.

Powieki ma uniesione, a gałki co pewien czas obracają się w jedną lub drugą stronę, zupełnie jak u szaleńca z kreskówki.

Magdę poznałem tam, gdzie dojrzały ludzie, mający pokończone wszystkie szkoły i nieruszający się zbyt często z domu, poznają najczęściej życiowe partnerki: w pracy. Byłem

ginekologiem w dość dużym szpitalu, ginekologiem szanowanym, chociaż nie sławnym i nie zarabiającym tacek pieniędzy. Ona była młodą pielęgniarką, roznoszona przez energię i ambicję. W jej wypadku nie miało to jednak pozytywnego wydźwięku – nie ukrywała, że chciała zostać lekarką, a na pielęgniarstwo poszła, ponieważ kilka razy z rzędu nie udało się jej dostać na medycynę.

W swoją pracę wkładała wiele siły, ale było w tym coś chorobliwego, pewna agresja, jakby chciała tych wszystkich chorych uszczęśliwić na siłę: wepchnąć im do gardeł termometry, napompować za pomocą kroplówki jak balony. Była demonem miłosierdzia i pracoholizmu. Biegała po korytarzach z rudym kokiem, krzycząc i wydając polecenia. Jej pasja mi imponowała, innych jednak irytowała.

– Uważaj, zje cię z butami – powiedziała koleżanka z pracy, kiedy zorientowała się, że mam wobec Magdy poważne zamiary.

Nie tylko ona się zorientowała – prowadzonemu przeze mnie niezbyt dyskretnie i umiejętnie flirtowi przyglądało się z rozbawieniem pół kadry szpitala. Oto mądrość przysłów: szewc bez butów chodzi, a ginekolog nie może sobie poradzić z kobietami. Od dziecka byłem nieśmiały, a moje szanse u płci przeciwnej zmniejszały nabyte w latach nastoletnich blizny – w wiejskim domu dziadków, gdzie jeździłem na wakacje, wybuchł kiedyś pożar. Przeżyłem, ale pozostały mi po nim poparzona ręka i brzuch oraz ślad w kształcie półksiężyca na skroni, pamiątka po walącym się stropie.

Jako lekarz wykazywałem się wyrozumiałością i subtelnością, jako facet ośmieszałem się na każdym kroku. Dlatego w wieku trzydziestu pięciu lat byłem ciągle kawalerem, dlatego też, poczuwszy coś do Magdy, złapałem się kurczowo

tego zakochania i postanowiłem potraktować je jako ostateczne wyzwanie. Szło opornie, szło niezgrabnie, ale w pewnym momencie udało mi się dostroić na odpowiedni kanał: nauczyłem się zaczepiać Magdę na korytarzu w sposób nienachalny, wpasowałem się w jej poczucie humoru. Wtedy poszło już z górki.

Kiedy runęły dwa pierwsze mury – moja nieporadność i Magdy żelazny charakter – został jeszcze trzeci: jej życie prywatne, to znaczy to prowadzone poza murami szpitala. Zaproszenie jej do siebie, przespanie się z nią i podzielenie się w mokrej pościeli swoimi emocjami – to było jedno. Czymś zupełnie innym był rewanż z jej strony.

Nieco czasu minęło, zanim udało mi się dowiedzieć, co robi po pracy, a kiedy już się dowiedziałem, wielu rzeczom przestałem się dziwić.

Magda mieszkała z matką-schizofreniczką w dwupokojowym mieszkanku, w ciasnym piekiełku, gdzie diabłem była kobieta, która raz ćwierkała rodzicielskie rady, aby chwilę później zacząć pluć jadem i węszyć dookoła najróżniejsze spiski. Ojciec nie żył, rodzeństwa nie było, więc Magda musiała nieść ten krzyż samotnie, z groszową pensją pielęgniarki zasilaną równie groszową rentą matki. Chciała zostać lekarką, wyrwać się stamtąd, zarobić na leczenie. Chciała być kimś.

Nie udało się.

– Mam wrażenie, że wszystko, co stało się w moim życiu złego, to wina matki – powiedziała mi wreszcie.

Magda prawie nigdy nie zapraszała mnie do siebie, a kiedy w końcu to zrobiła, wizyta przypominała spotkanie ze świadkami Jehowy – byliśmy dla siebie upiornie mili, a zapadającą co chwilę krępującą ciszę próbowaliśmy przerwać głupimi uśmiechami i neurotycznym dolewaniem herbaty ze

dzbanka. Po tym, jak już sobie poszedłem, matka nawrzeszczała na Magdę, że moja blizna na skroni to znak Be-stii i że powinny obydwie pomodlić się, a potem wezwać egzorcystę, który przegoni z domu pozostawione przeze mnie złe duchy. Potem mogliśmy widywać się tylko w pracy, bo za każdym razem, kiedy wracała nieco później, od progu witały ją ataki paniki i oskarżenia.

Pewnego dnia matka zabiła się śmiertelną dawką leków. Domyślałem się, jak ambiwalentny musiał być to okres: poczucie winy przemieszane z ulgą. To był kolejny etap naszej znajomości. Najpierw mnie odepchnęła i znowu musiałem się do niej powoli zbliżać, wejść w rolę cholernego pocieszyciela. W końcu nauczyła się przy mnie płakać. Z łez narodził się spokój, a ze spokoju – pewność. Że chcemy być razem, chcemy się pobrać.

Przez cały rok tworzyliśmy szczęśliwe małżeństwo. Nie szczęściem euforycznym – ja byłem na nie już chyba nieco za stary, a Magda zbyt potrzaskana życiem – ale takim stonowanym, dobrym, o smaku właśnie przyniesionego do łóżka śniadania. Z radością przyjąłem rolę męża. Kupowałem wszystko, co trzeba było kupić, dogadzałem żonie, budowałem wokół nas świat złożony z telewizorów, wakacji, wykładzin, gobelinów, sof i kinkietów. Magda po ślubie stała się spokojniejsza, uszła z niej tamta wściekła determinacja. Poczwała, że o nic więcej nie musi już walczyć, bo znalazła swoją przystań. Rzucała pracę w szpitalu, mówiąc, że teraz chce zająć się kochaniem mnie zawodowo. Nie chciała tylko urodzić mi dziecka – tłumaczyła to umiarkowaną niechęcią wobec dzieci i lękiem przed dziedzicznością schizofrenii.

Pogodziłem się z tym, choć z bólem – miałem dość konserwatywne wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać

związek dwójki ludzi. Ale się pogodziłem.

Potem jednak stało się wiele rzeczy. Ogień spadł z nieba, usłyszeliśmy głosy, a moja piękna żona zaszła w ciążę.

Z seksem z ciężarną jest tak jak z posiadaniem samochodu, jak z braniem narkotyków, po prostu jak z życiem – ma swoje plusy i minusy. Plusy: możliwość zdjęcia wreszcie gumki i świadomość tego, że robi się coś, co dla niektórych stanowi spełnienie perwersyjnych fantazji. Minusy: wszystko to, co przychodzi człowiekowi do głowy, a jeśli nie przychodzi, to czyta o tym w poradnikach. Brak wygody, poczucie dziwności.

Nie byłem do tego za bardzo przekonany – przez pierwsze kilkanaście lat życia zdążyłem polubić masturbację i nie miałem nic przeciwko powrotowi na kilka miesięcy do dawnych zwyczajów. Ale Magda w pewnym momencie zaczęła nalegać.

– Ma być wszystko po ludzku, ciąża nie zmieniła mnie w kalekę – mówiła.

Okej.

Przygotowaliśmy się, a sposób, w jaki to zrobiliśmy, perfekcyjnie oddał różnicę między płciami. Magda pożyczyła od koleżanki specjalny poradnik i poprosiła trochę Google’a. Ja postawiłem tylko na Internet. Wpisałem w wyszukiwarce „pregnant porn”.

Jedziemy. Jest dwudziesta pierwsza, odwaliliśmy dzienne obowiązki, teraz przyszedł czas na seks. Zaczynamy od tyłu, od pozycji na łyżeczkę, ale jest zbyt leniwa, pasywna; przykryci gorącą kołdrą szybko robimy się senni. Inaczej – na jeźdźca.

Magda wdrapuje się na mnie, a ja mam przed oczami przeblysłk tego, czym ciąża jest dla kobiety – balastem. Patrę na chude nóżki, chude rączki, drobne piersi i balon ze skóry, patrzę na to i robi mi się nieswojo, chociaż wciąż mam w sobie to czułe ciepło, które rozlewa mi się w klatce piersiowej na samą myśl o naszym dziecku. Magda jest już na mnie, a jej brzuch zsuwa się na mój brzuch. Unosi się w górę i w dół. Niby nie ubrałem prezerwatywy, ale nie mam z tego zbyt wiele radości, zamiast coraz bardziej gorącego tarcia czuję głównie ścisk.

Głaszczę ją po bokach, po brzuchu, cofam jednak ręce. Czuję się nieswojo, bo myślę, że znajdujące się po drugiej stronie skóry dziecko też wyciąga swoją rączkę i dotyka tam, gdzie ja. Zupełnie jak więzień w amerykańskim filmie, desperacko przykładający dłoń do szyby podczas odwiedzin.

Nie potrafię nie myśleć o dziecku. Widzę to w trójwymiarze: główkę chuja docierającą do wypełnionej wodą i czerwonym światłem pieczary, gdzie niczym Budda unosi się różowy płód. Widzę to i myślę o życiu. O pierwotnej oceanicznej zupie, w której nagle zawiązały się nici DNA. O zrobionych z falbanek i glutów meduzach, które pulsowały w błękitnej wodzie. O rybach wyczołgujących się mokrymi brzuchami na ląd. O „Drzewie życia”, filmie, w którym to wszystko było pokazane równocześnie w kiczowaty i piękny sposób, co kazało podejrzewać, że sprawy ostateczne zawsze będą miały w sobie jakiś posmak tandety. Myślę też o moim plemniku, który kilka miesięcy temu wymknął się z kondoma i dotarł do światła na końcu tunelu.

Dawniej ciąży bałem się jak piekła. Kiedy miałem osiem lat, matka wyjaśniła mi, że ptaszki i pszczołki to tak naprawdę fiutki i cipki, a na zakończenie dodała:

– Teraz ci się to wydaje dziwne, ale niedługo, za dwa lub

trzy lata, zacznie cię to kręcić, będziesz tego chciał. Oczywiście minie trochę, zanim to dostaniesz, jednak pamiętaj, że ta zabawa niesie ze sobą niebezpieczeństwo ciąży. Niebezpieczeństwo sparania sobie życia.

Kiedy związałem się z Magdą, a matka poznała ją i znieubiła, zaczęła dodatkowo powtarzać:

– Dziewczyny chcą ciąży, chcą ciąży, bo chcą ślubu, ty tego na pewno nie chcesz, bo z tego, co wiem, chcesz zawodowo pisać. Więc uważaj, uważaj, uważaj, żeby jakaś pinda nie zmarnowała ci kariery.

Zaczynając sypiać z Magdą, miałem w głowie to, a także wiele więcej: rzeczy, które przeczytałem w Internecie, straszne opowieści o plemnikach, które potrafią przedostać się spod paznokcia i podczas palcówki zapłodnić nawet dziewicę. Ciągłe myłem ręce – przed grą wstępną, przed włożeniem prezerwatywy, po jej zdjęciu – a po wszystkim zużyta gumkę długo zalewałem wodą i ścisakałem, żeby sprawdzić, czy nic w niej nie pękło; czy jakiś zarazek nie przedostał się na zewnątrz i nie zafundował mi i Magdzie dożywotniej choroby.

W końcu naprawdę chciałem żyć z pisania. Mimo to stało się, wjebaliśmy się w dzieciaka, jednak nie traktuję tego już jak choroby. Nie jest lekko, ale nie jest źle.

Boję się tylko tego, jakim będę ojcem. Sam nie miałem ojca, to znaczy miałem, ale tak, jakbym go nie miał. Po prostu: nie było go.

Rozwiódł się z matką, kiedy chodziłem do zerówki. Potem się zjawiał, ale rzadko, do tego te spotkania zawsze były sztywne; ojciec miotał się między standardem w stylu „jak tam w szkole” a próbami poufałości, w wyniku czego nastrój kiś jak pierd. Potem olał mnie totalnie, nawet w kwestii alimentów. Wyjechał, założył rodzinę i to w nią zainwestował uczucia

i pieniądze. Choć matka w końcu zniszczyła go w sądzie, wyzerowała i puściła w samych skarpetkach, to niesmak i pustka pozostały.

Jedziemy dalej. Zaczynam czuć gorąco, narastające w moim i Magdy wnętrzu; mimo niedogodności udaje mi się skończyć. Magda schodzi ze mnie i kładzie się na boku. Chce, żebym ją objął od tyłu – inaczej nie zaśnie, jak mała dziewczynka. Dopiero później wolno mi odwrócić się do ściany.

Przysypiam, a ona mówi, że coś ją boli w środku. Myśli i pierwsze sny przelewają mi się leniwie w głowie jak fale zatrutego ropą oceanu, więc odpowiadam tylko: mhhmmmm. Ona mówi jednak, że boli. Boli, boli, boli, boli, boli.

Czuję się słabo, po ciele rozlewa się gorączka. Nic dziwnego – w końcu w moim organizmie walczą dwie siły. Kopuła zdaje się rosnąć: jej ściany wystrzeliwiają w górę, aby potem zlać się w jedno i opaść z powrotem na mnie. Wokół trwa praca niezliczonej ilości mechanizmów, a wydawane przez nie dźwięki dochodzą do mnie, jakbym słuchał ich z wnętrza łodzi podwodnej; szumy, buczenie, zgrzyty i pikanie otaczają mnie jak gruby, otumaniający koc. Głupia myśl: to wszystko wygląda jak z filmu science-fiction. Głupia, ale prawdziwa.

Zaczęło się od meteorytu. Kawałek kosmicznej skały uderzył w Ziemię nieopodal Szczecina, tuż przy granicy z Niemcami. Kiedy okazało się, że znajdują się w nim ślady pewnych „drobnoustrojów” – tak przynajmniej głosił oficjalny prasowy komunikat – do Polski zleciał się tabun naukowców z zachodniej, wschodniej i północnej granicy, nawet z oceanu. Wyrywano sobie ten kamyk, chodziły nawet pogłoski,

że zainteresowany nim Wujek Sam wyruszy wkrótce nad Wisłę z misją stabilizacyjną. W końcu obok Szczecina wybudowano międzynarodowe laboratorium, w którym rozpoczęto badania nad meteorytem i jego zawartością.

Sprawa z czasem ucichła: albo nie udało się odkryć nic ważnego, albo było wręcz przeciwnie – odkryto rzeczy tak doniosłe, że nie nadawały się do udostępnienia maluczkim. Potem jednak tajemnica meteorytu sama znalazła drogę poza antyseptyczny i dobrze strzeżony teren laboratorium.

Ludzie zaczęli mieć sny.

Falowały w nich atramentowo czarne wody oceanu, kłębiły się gęstwiny wodorostów i meduz, jedna płetwiasta bestia pożerała drugą; było tam też niebo – równie ciemne co woda, rozjaśniane jedynie przez ogniste narodziny nowych gwiazd. Wkrótce wyszło na jaw, że wszyscy widzą podobne obrazy. Mąż budził się obok żony i mówił jej, co zobaczył, a ta odpowiadała, że oglądała dokładnie to samo. Psychiatrzy z zaniepokojeniem odkrywali, że ich umysły produkują identyczne obrazy, co umysły pacjentów. Sąsiadki opisywały sobie sny i odkrywały, że łączy je więcej, niż myślały.

Laboratorium w końcu wydało oświadczenie i wyjaśniło sprawę: przyniesione przez meteoryt formy życia w błyskawicznym tempie rozprzestrzeniły się po powierzchni całej Ziemi i zaraziły wszystkich mieszkańców. Słowo „zaraziły” oznaczało w tym wypadku to, że opanowały ludzkie układy nerwowe i zmieniły je w przekaźniki; ktoś dzięki nim nadawał nam wiadomości. Z czasem w tych wiadomościach obrazy zastąpiły słowa. Miękki, ale wyprany z emocji głos oznajmił, że jesteśmy obserwowani od dawna przez cywilizację z innego zakątka galaktyki. Osiągnęła ona stan gnostyckiej jedności, w której stała się wszechumysłem i wszechorganizmem, gigan-

tyczną istotą pokrywającą niczym mech powierzchnię planety tak odległej, że nieosiągalnej dla ludzi jeszcze przez miliony lat. Cywilizacja ta doszła do wniosku, że ludzkość wreszcie osiągnęła poziom rozwoju umożliwiający kontakt, wystrzeliła więc w naszą stronę meteoryt ze swoją częstką. Wraz z nim przysłała propozycję przymierza, które miało oznaczać splecenie ze sobą DNA obu ras.

Nie było jednak przymusu, Obcy zostawili decyzję nam. Rozpętał się największy medialny burdel w historii ludzkości. Gazety, portale internetowe i telewizja mówiły tylko o jednym, kolejni specjaliści zabierali głos w sprawie, próbowano przewidzieć, jak rzeczony „przymierze” wpłynie na codzienne życie zwykłych mieszkańców, powstawały na ten temat kolejne filmy i książki. Cała sprawa wywarła oczywiście gigantyczny wpływ na religię i to właśnie w tej sferze toczono największe batalie; niektóre Kościoły mówiły o objawieniu, inne – o kuszeniu i fałszywych prorokach. Wybuchwały zamieszki na ulicach, stolicami kolejnych państw wstrząsały starcia rozwścieczonej ludności cywilnej z policją. Ale w końcu wszystko się uspokoiło – przecież domniemany wróg znajdował się w innej galaktyce i nie dosięgały go butelki z benzyną i kamienie.

W każdym kraju zorganizowano głosowanie: tak czy nie, nowy etap w historii *homo sapiens* czy podtrzymanie *status quo*. Podczas transmitowanego na żywo programu komisje z każdego zakątka Ziemi odczytały wyniki. Ogromna większość na „tak”, nieliczne głosy na „nie”. Nic dziwnego, w końcu lepiej uznać, że dostało się łaski, niż że stało się na krawędzi zagłady.

Obcy wydali wtedy pierwsze polecenia. Poinstruowani przez nich specjaliści wybudowali obok laboratorium Kopułę – specjalny kompleks wypełniony skonstruowaną z ziemskich

surowców technologią Obcych, który miał umożliwić połączenie obu ras i w którym miało dojrzewać „dziecko przymierza”, jak nazywał je rozbrzmiewający w naszych głowach głos. Z czasem okazało się, że to żadna metafora, że naprawdę musi urodzić się dziecko. A dziecku potrzebna jest matka. Znajdujące się w organizmie każdego z nas drobnoustroje miały zbadać DNA ludzkich kobiet i wybrać tę, która najlepiej nadaje się do tej roli, tę, dzięki której Adam lub Ewa nowej rasy będzie istotą idealną. „Pierwszą damę” ludzkości czekało wtedy zaproszenie do Kopuły, zapłodnienie in vitro, dokonane za pomocą wypreparowanego z meteorytu materiału genetycznego, i dziewięć miesięcy spędzone w stanie błogosławionego letargu, podtrzymywanego przez odpowiednią aparaturę.

Obserwując nas przez tyle czasu, Obcy dobrze zrozumieli, co najlepiej rozpała ludzkie emocje: transmisje na żywo i plebiscyty. Imię i twarz szczęśliwej wybranki miały zostać zaprezentowane określonego dnia i o określonej porze, wyświetlone w naszych głowach jak na ekranie telewizora.

Dwudziesty drugi grudnia, północ. Pamiętam to doskonale: noc i szron pokrywające szyby naszego mieszkania, grzejniki wypełniające sypialnię dusznym ciepłem, Magda leżąca naga obok mnie w pościeli, jeszcze pachnącej seksem. Zamknąłem oczy. Obraz zamigał, rozpadł się na piksele i złożył do kupy. Głos wymówił imię.

Odwróciłem się w jej stronę. Chociaż leżała tuż obok, miałem wrażenie, że w tym momencie łóżko rozjeżdża się, że jej strona odsuwa się daleko ode mnie, pod ścianę i jeszcze dalej, do innego świata, pod gwiazdy. Z jej oczu płynęły łzy. Usta rozciągał uśmiech radosne-go niedowierzania.

Siedzę w poczekalni przychodni i patrzę na wiszące w niej plakaty. Uśmiechnięta styropianowo białymi zębami kobieta podwija pasiastą bluzkę i głaszcze się po brzuchu, który wygląda, jakby ktoś go zaokrąglił w Photoshopie. Dziecko-maskotka o oczach z paciorków i skórze z ciastoliny spogląda dziarsko znad puchatego, błękitnego kocyka. Barbie i Ken pchają w wózku małego Pinokia przez Disneyland. Cięża z supermarketu. Ciało i krew zmienione w plastik. Do tego slogany: „Dziewięć miesięcy szczęścia”, „Razem przez rodzicielstwo”, „Patrz, jak rozkwita życie”. W powietrzu unosi się ten typowy dla przychodni zapach, który niezmiennie kojarzy mi się z krwią – co sprawia, że plakaty wydają się jeszcze bardziej nie na miejscu. Są jak hasła dobrobytu wywieszane na drzwiach PRL-owskich sklepów z pustymi półkami. Jak zdjęcia hoteli w tropikach przyklejone nad więzienną pryczą.

Magdę bolało całą noc i cały ranek. Mówiła, że czuje, jakby dziecko zmieniło się w jej brzuchu w kolczatkę, która dryfuje w wodach płodowych i na zmianę wbija i wyciąga z niej swoje ciernie. Mówiłem, że to może wina seksu, ale ona zaprzeczała. Zabrałem ją do przychodni. Do przychodni prywatnej i w taksówce – nie żebyśmy mieli na takie rzeczy pieniądze, ale są momenty, kiedy zabulić trzeba, szczególnie, gdy jest weekend, a lekarz prowadzący ma urlop.

Nowy ginekolog budził we mnie lęk. Wysoki i blady, nie dość, że miał w twarzy coś gadziego, to jeszcze prawą dłoń pokrywały mu rozległe poparzenia. Ową dłoń podał mi na progu gabinetu, gdy powiedział, że zajmie się moją żoną.

Magda nie jest moją żoną. Nie jest też moją narzeczoną. Ja nie miałbym nic przeciwko temu, ale ona ma. Zaproponowałem jej ekspresowy ślub w dniu, kiedy powiedziała mi o

cięży.

– Chajtanie się z powodu ciąży to najgłupsza rzecz na świecie. – Wzruszyła ramionami. – Teraz powinniśmy popracować nad naszymi finansami i organizacją codziennego życia, a nie pierdolić się w śluby, wybieranie kiecek i krawatów, zapraszanie wujków z drugiego końca Polski i decydowanie, czy na weselu zagra DJ, czy wąsaty koleś z akordeonem.

Czekam na Magdę. Wstaję z krzesła i próbuję spacerować po wąskim korytarzu, ale siedzący wzdłuż niego ludzie patrzą na mnie z wyrzutem, jakbym potykał się o ich nogi. Wracam na krzesło. Pocę się. Dreszcz wędruje wzdłuż kręgosłupa. Coś jest nie tak. Myślę o poparzonej dłoni lekarza – co Magda czuje, gdy on sięga tym czymś w głąb niej? Niepokój rośnie jak ból rozsadzający spróchniałego zęba, jak sraczka gotująca się w jelitach, jak pieczenie znamienia na karku, które zawiera w sobie zapowiedź nowotworu.

Matka ucieszyła się na wieść, że na razie nie biorę ślubu z Magdą. Użyła nawet podobnych argumentów co ona.

– To, że wkopałeś się w dzieciaka, wcale nie znaczy, że musisz komuś wkładać obrączkę na palec – powiedziała. – To często większy błąd od samego zaciążenia. W końcu bobas to bobas, krew z krwi, ale nie musisz fundować sobie dożywotniej odsiadki w jednej celi z jego matką. To takie małżeństwa są najmniej szczęśliwe – te, które robią dobrą minę do złej gry podczas wychowywania dziecka, a potem rzucają się sobie do gardeł, kiedy piskłeta wylatują z gniazd.

Matka mówiła tak, bo uważała, że jestem dla Magdy maskotką. Że mam zaniżoną samoocenę, przez co podświadomie myślę, że nie znajdę sobie innej dziewczyny i trzymam się kurczowo pierwszej miłości. A ona to wykorzystuje, pomiała mną, traktuje jak gówniarza.

Magda to od dawna kość niezgody między nami.

Ale ja kocham Magdę. Czekam, aż przyjdzie odpowiedni czas na ponowne oświadczyzny, tym razem pozbawione jakiegokolwiek presji. Czekam też, pełen dziwnego lęku, aż wreszcie wyjdzie od lekarza i powie mi, że wszystko z naszym dzieckiem jest wszystko w porządku.

Wychodzi. Jest okej. Ból musi mieć podłoże nerwowe, nie ma żadnych powodów do niepokoju. Widząc ginekologa przez szparę w drzwiach, uświadamiam sobie, że ma jeszcze jedną bliznę – białe półkole na skroni – i na chwilę wraca niepokój. Potem jednak jedziemy do domu i cieszymy się niedzielą.

Robię Magdzie herbatę, kładę ją do łóżka, a sam siadam na chwilę do kompa. Otwieram Operę, otwieram OpenOffice'a. Weekend weekendem, ale publicyści-freelancerzy muszą ponapierdalać trochę w każdy dzień tygodnia.

Magda zaczyna krzyczeć. Boli ją. Czuje, jakby w macicy bulgotało jej wiadro kwasu i ten kwas przeżerał ją na wylot. Magdę boli, Magda krzyczy, a ja nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia.

Interfejs pęka, w jego miejsce w powietrzu wykwita miodowa plama, która – zupełnie jak krew – krzepnie w nierównego strupa, a resztki holograficznej tafla, migoczące i coraz bardziej niewyraźne, opadają w stronę podłogi. Ale nie dotykają jej, bo w końcu rozpływają się w niebycie. System został złamany.

Wciąż słyszę tylko szum pracujących maszyn, ale wiem, że piekło właśnie się rozpętało, że w tej chwili rzeka paniki występuje z brzegów i zalewa korytarze połączonych z Kopułą

laboratoriów i baz wojskowych.

Szklany sarkofag, który oddziela Magdę od reszty świata, podnosi się z sykiem. Nagle zaczynam czuć zdenerwowanie. To głupie i dziwne – jak dotąd wszystko robiłem spokojnie i na zimno, z sercem zamienionym w kawałek zamarznętego meteorytu, z równym oddechem, bez skrupułów. A teraz przychodzi to rozedrganie. Od wielu miesięcy nie spotkałem Magdy w cztery oczy. Wiem, że nie muszę jej nic mówić, bo śpi, ale w głowie wciąż obija mi się uporczywa myśl: nie wiem, co jej powiedzieć.

Widzę ją. Znajduje się tuż na wyciągnięcie ręki. Znajduje się tuż na wyciągnięcie ręki – więc wyciągam ręce i zamykam dłonie wokół jej szyi. Czuję puls. Czuję też w sobie siłę, siłę, która pozwoliłaby mi bez żadnego problemu zmiażdżyć jej gardło, złamać kark, urwać głowę. Ty dziwko, nienawidzę cię.

Nienawidzę cię, ponieważ zostałeś wreszcie kimś. Pamiętam dzień, kiedy spakowałaś się i odeszłaś. Pamiętam też rozmowę, którą odbyliśmy tuż przedtem. Emanowałaś mściwą satysfakcją, patrzyłaś na mnie z wyższością, z jaką od dawna chciałaś na mnie spojrzeć. Potem, aż do tej chwili, widywałem cię tylko w telewizji, w Internecie i w prasie. Przez pół roku, zanim uśpili cię i zamknęli tutaj, robiłaś za największą celebrytkę na świecie. Nie istniał chyba talk-show, w którym się nie pojawiałaś, nie było miasta, gdzie nie wisiałby billboard z twoją twarzą. Nigdy nie zapomnę tego, co mówiłaś w wywiadach. Że od zawsze czułaś się stworzona do wielkich rzeczy, że zależy ci na byciu przede wszystkim dobrą osobą i że dziękujesz ludziom, którzy przez cały czas cię wspierali. Tak, dziękowałaś również i mnie, a media chciały oczywiście o tym porozmawiać. Sukcesywnie odmawiałem, ale i tak nazwano na moją część kilka ulic i ufundowano stypendium mojego imie-

nia, mające wspierać młode i ambitne matki.

Zaciskam coraz mocniej dłonie na szyi Magdy, ale głos w mojej głowie mówi:

– Przestań, to bez sensu, Kopuła sprawia, że ona w tym momencie jest praktycznie nieśmiertelna. Jedynym sposobem, aby zabić w niej dziecko, jest dokonanie aborcji za pomocą systemu.

Opuszczam dłonie. Widzę, że nad dziewczyną pojawił się kolejny interfejs. Dotykam go palcem, a głos znów przedziera się przez mój układ nerwowy i zaczyna robić swoje.

Chyba wiem, do kogo należy. Przemówił do mnie po raz pierwszy, gdy poniżenie i ból po odejściu Magdy były już nie do zniesienia, gdy z premedytacją próbowałem stoczyć się na dno: – Los to największy skurwysyn na świecie. Można mu wygrażać pięścią, można bluźnić przeciwko niemu, ale nie jesteś w stanie zrobić mu krzywdy. Więcej, nie potrafisz nawet ustalić, czy to właśnie on stoi za twoim nieszczęściem, bo przecież los nie ma postaci, jest tylko wypadkową cudzych decyzji. Ty jesteś w innej sytuacji, ty wiesz, kto cię skrzywdził, kto ukrywa się za maską losu. Wiesz o tym i możesz oddać cios. Wydaje ci się, że to niewykonalne zadanie i pewnym sensie masz rację, jednak masz też teraz mnie. Pokażę ci tylne drzwi do nieba i dzięki nim będziesz w stanie zgasić nawet słońce.

Powiedział to wszystko, a potem zaprowadził mnie do samego centrum Kopuły. Jestem pewien, że głos należy do jednego z Obcych.

Ten, który mówi do mnie, musi być jednak odszczepieńcem, buntownikiem, kimś, kto wystąpił przeciwko swojemu własnemu gatunkowi. To Prometeusz, który postanowił podarować mi ogień.

Ogień! Czuję dym. Rozglądam się i dostrzegam, że na drzwiach prowadzących do środka, metalowych wrotach prawie niemożliwych do sforsowania, wykwitła czerwona plama. Jestem już wycieńczony, jakbym w ciągu jednego dnia został kilkakrotnie dawcą krwi, przez co z opóźnieniem dociera do mnie to, co się właśnie dzieje. Ktoś z wewnątrz, pewnie oddział specjalnie wyszkolonych przez Obcych komandosów, o którym opowiadał mi głos, próbuje się tu dostać.

Przepala się.

Czerwone słońce na drzwiach staje się coraz jaśniejsze i powiększa się.

Magda krzyczy. Siedzę na krześle, odwrócony tyłem do biurka.

Ona siedzi na łóżku. Szary dres na niej jest pomięty, niechlujny i przepocony. Jej twarz też jest teraz mokra od potu, a do tego szaro-błada z płatami czerwieni. Najwięcej czerwieni ma wokół oczu i w oczach.

Płacze. Rozstawiła szeroko nogi, patrzę między nie i dostrzegam tam ciemną plamę. Patrzę jeszcze niżej, na prześcieradło, i znów widzę czerwień. Mrugam, jej krzyk pruje powietrze, a ja dopiero po chwili uświadamiam sobie, że patrzę na plamę krwi. Magda krwawi.

Myśli przyspieszają, czas zwalnia. Pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, jest kretyńska: czuję ulgę, że dzisiaj mamy niedzielę i nie zostało mi wiele pracy; stan Magdy nie przeszkodzi mi w zarabianiu na życie. Moja druga myśl jest nieco rozsądniejsza: co robić? Zadzzwonić na pogotowie? Pobic do sąsiadów i poprosić o pomoc? Ale o jaką pomoc?

Wstaję z krzesła, chcę coś zrobić, nie wiem co, stoję więc jak ten głupi chuj.

Rośnie we mnie strach, podnosi się w górę jak ściana lodowatego ognia. Uświadamiam sobie powagę sytuacji. Coś jest nie tak z ciążą, coś jest nie tak z dzieckiem, może urodzi się martwe, może w ogóle się nie urodzi, a może jednak urodzi się i będzie żywe, ale w międzyczasie umrze Magda. Dziecko to ciężki kaliber, najcięższy. To już nie ślub, nie romantyczna walka o to, żeby wyżyć z pisania. Tamto to abstrakcja, kultura, coś tak umownego jak to, że mówimy sobie po imieniu i przechodzimy po namalowanych na asfalcie białych pasach.

Dziecko to coś prawdziwego. To plemnik, komórka jajowa, zygota, krew, kości, ciało. Mojemu dziecku coś teraz zagraża. A ja nie potrafię nic z tym zrobić.

Myślę, że moja matka chciała, żeby do czegoś takiego doszło, modliła się do jakiegoś ukrytego w piwnicy czarnego ołtarza, żeby Magda poroniła. Kiedy jeszcze mieszkałem w domu i wychodziłem do Magdy, po powrocie zastawałem ciszę i naburmuszenie. Matka wyglądała, jakby bolały ją zęby. Krzywiła się, odwracała się do mnie bokiem, odpowiadała półsłówkami.

Jednego z takich wieczorów odkryłem, że grzebie mi w laptopie – zostawiła włączone archiwum gadu-gadu i zapomniała wylogować się z mejla. Później, w ramach rewanzu, spenetrowałem jej komputer. Wszystkie moje internetowe rozmowy z Magdą miała zapisane w jednym pliku. Od razu wyrzuciłem go skasowałem.

Chociaż to była głównie zimna wojna, zdarzały się też między nami regularne bitwy. Czyli „poważne rozmowy”. Zaczynały się różne – na przykład od tego, że wracam za późno lub zaniedbuję obowiązki – ale wszystko zawsze prowadziło

do jednego tematu: marnowania sobie życia.

Nigdy nie powiedziałem tego Magdzie, ale miałem do niej trochę pretensji o całą sytuację. Szczególnie, że wiedziała o wszystkim i w żaden sposób mnie w tym nie wspierała. Jej zdaniem to była po prostu kwestia wyboru między byciem mamisynkiem a dorosłym mężczyzną. Odpowiadałem jej, że łatwo być po jednej stronie barykady, a znacznie trudniej siedzieć na niej okrakiem, jednak to do niej nie docierało.

W końcu przyszedł dzień, w którym zdecydowaliśmy się zamieszkać razem. Wtedy poczułem, że i ja wreszcie opowiedziałem się po jednej ze stron. Przekroczyłem Rubikon i oddaliłem się od matki; nasze kontakty stały się chłodne i oficjalne. Po raz kolejny przekroczyłem go, kiedy wyszła sprawa z ciążą. Poinformowawszy ją o tym, usłyszałem tylko wypowiedziane cichnym i coraz bardziej chrzęszczącym głosem: „To twoje życie”, ale brzmiało to jak „to twój nowotwór, jeśli nie chcesz chemioterapii, to już wyłącznie twoja sprawa, twój ból i twoja śmierć”. Matka na pewno życzyła mojej dziewczynie wszystkiego najgorszego. Ja czułem do Magdy żal i być może jakaś część mnie, ta brudna, ohydna, wijąca się jak glisty, też chciała, aby dziecko się nie urodziło. Być może to, co dzieje się teraz – te krzyki i ta krew – to też i moja wina.

– Ty kaleko, ofiario losu, łazęgo, chuju jebany, czemu tak stoisz, czemu, kurwa, stoisz i nic nie robisz, zrób coś, zadzwoń, zadzwoń po pogotowie, bo tu zaraz, kurwa, zdechnę, razem z twoim dzieckiem!

– Magda wrzeszczy, żyły pulsują jej na szyi i skroniach, z ust pryska ślina, a z oczu leją się łzy.

– Misiaczk, Magduś, koteczku, już, już, nie bój się, będzie dobrze, jestem tutaj, dzwonię, dzwonię, nie bój się, kocham cię, Magduś... – Wyciągam w jej stronę rękę, ale zatrzy-

muje ją w pół drogi, potem opuszczam, rozprostowuję palce, zaciskam pięść.

W końcu sięgam zdrętwiałą dłońią do kieszeni, wydaję komórkę i wybieram numer na pogotowie. Odwracam się na chwilę tyłem, żeby się skupić. Słyszę przy uchu sygnał oczekiwania i nagle uświadamiam sobie, że słyszę tylko to – ucichły nagle krzyki.

Opuszczam rękę, patrzę na moją dziewczynę, na przyszłą matkę mojego dziecka, i widzę, że leży nieruchomo. Spomiędzy jej nóg wypływa krew, która plami wszystko wokół. Magda już nie krzyczy.

Krew plami wszystko.

Nie patrzę w stronę drzwi, bo boję się, co tam zobaczę. Nie patrzę, ale czuję kolejne podmuchu żaru, czuję dym, słyszę systematyczne uderzenia, które rozchodzą się echem po całej Kopule. Zaraz tu będą, nie pozostało wiele czasu. Głos w mojej głowie mówi: – Kiedy komandosi tu wejdą, sam nie dasz sobie rady. Będiesz musiał zgodzić się, abym przejął twoje ciało. Bez twojej zgody tego nie zrobię, ale to jedyny sposób, żebyś przeżył.

– Idąc tutaj, nie brałem nawet pod uwagę przeżycia – odpowiadam mu, czując, że gdzieś w gardle przesypują mi się gruz i żyletki.

– To nie skończy się tutaj. Czeka nas jeszcze ważniejsza misja.

Głos hakuje sprzężony z systemem Kopuły organizm Magdy, pokonuje kolejne funkcje obronne, atakuje równocześnie układ immunologiczny i nerwowy. Dla mnie, lekarza, jest

to coś fascynującego. Docierają do mnie różne przebłyski pamięci, powidoki uczuć, iskry przebiegające po neuronów w mózgu. Jestem rytmem serca Magdy, głuchym echem rozchodzącym się pośród żeber, wędruję wraz z czerwonymi krwinkami przez korytarze żył, nurkuję w białej magmie narkotykowego błogostanu, dryfuję w jej macicy, pośród wód płodowych doświadczam obecności nowego życia. Mam pewność, że to nie mogłoby być normalne dziecko.

Powrót do własnego ciała. Żar, zgrzyt metalu, huk, krzyki.

Głos mówi, że zaraz, za chwilę, że jest już blisko, brakuje sekund, aby udało mu się zniszczyć dziecko w brzuchu Magdy. To śmieszne, ale dopiero teraz zadaję w myślach sobie i jemu pytanie: czy ona przeżyje aborcję?

A jak myślisz?

Nagle w mojej głowie włącza się projektor, który wyświetla na siatkówce jej życie – to chyba znak, że głos rzeczywistości jest bliski sukcesu, przecież takie retrospekcje mają ponoć osoby na skraju śmierci.

Na początku są to tylko kształty i odgłosy, bezładna i przytłaczająca masa rzeczywistości, czekająca, aż ktoś ją posegreguje. Potem pojawiają się pluszaki i zabawki, głównie lalki, obojga płci, które Magda starannie ogląda ze wszystkich stron, przesuwa palcami po torsach i miejscach, gdzie powinny być genitalia. No kto by się spodziewał, urodzona lekarka, myślę, ale sam nie wiem, czy to gorzka ironia, czy wzruszenie. Dalej: szkoła, książki i zeszyty, całe góry papieru pokrywane równym pismem i kolorowymi szlaczkami. Kolejne rozpoznanie: wiadomo, od zawsze ambitna, od zawsze kujoneczka.

Czas przyspiesza, wydarzenia wirują niczym gazety na wietrze. Szkoła, dom, obiad, zadanie domowe, jakieś spotkanie

towarzyskie, jakieś imprezy, ale rzadkie, zamglone, zepchnięte w niepamięć, zbagatelizowane. Coraz więcej chorej matki, która pojawia się prawie zawsze zamrożona w stopklatce, prezentując wściekłe miny i groteskowe pozy. Jest jak widmo materializujące się nagle pośród codziennej rzeczywistości. Nagle pojawia się ja, wyniosła i karykaturalna figura, olbrzym o obliźnionych dłoniach, dziecięcym uśmiechu i pustce w oczach.

Kalejdoskop scen z czasów naszej wspólnej znajomości: ta karykaturalna figura, ten olbrzym zachodzi jej drogę, przebiera poparzonymi palcami jak wampir szponami, muska ją paznokciami, strzyka z ust śliną. Z kolejnymi tygodniami i miesiącami wielkolud nieco się kurczy, staje się cieniem, który niczym duży kot owija się wokół nóg, dziewczyna czasem go głaszcze, a czasem ignoruje, w końcu daje mu się porwać do jego domu, gdzie wszystko jest zacienione, gęste, nieco przytłaczające, ale przy tym na swój sposób bezpieczne. Rutyna.

Nuda. Nagle: światłość, fanfary! Magda została wybrana na matkę nowej rasy.

I tutaj następuje rozmowa, po której odeszła, rozmowa, którą pamiętam bardzo dobrze, słowo po słowie. Ja mówię: zdradziłaś mnie, tak, Magda, to jest zdrada, nie chciałaś urodzić mojego dziecka, powiedziałaś, że to nie dla ciebie i że byłabyś złą matką, może nawet tak złą jak twoja własna, a tu nagle okazuje się, że jednak chcesz urodzić, że uważasz, że bycie matką to twoje życiowe powołanie.

Wykorzystałaś mnie. Ona mówi: to ty mnie wykorzystałeś, myślałeś, że poruchasz sobie pielęgniareczkę dzięki autorytetowi lekarza, poruchasz, a potem zmienisz w żonkę i udomowisz, wykorzystałeś też śmierć mojej matki, nawet nie wiesz, jaki byłeś obleśny, wdzięcząc się do mnie wtedy, poda-

jąc chusteczki, pierdoląc farmazony o tym, że każdy koniec to nowy początek.

Każdy koniec to nowy początek, w głowie dźwięczą mi własne słowa, kiedy nagle dochodzi do mnie smród palonego mięsa. Patrzę na moją żonę, a ta wygina się w pałąk, piana wali z jej ust, na skórze odznaczają się naczynia krwionośne, które nagle rozżarzają się na czerwono, rozżarza się cała Magda, jej brzuchu otwiera się i spopiela jak podpalona od dołu kartka papieru.

Jest po wszystkim. Dokonało się.

Drzwi do Kopuły eksplodują. Pośród stopionego metalu i dymu wdzierają się do środka komandosi, ubrani na czarno i krzyczący głównie po angielsku, ale też w innych językach. Kiedy pierwsza karabinowa seria dziurawi podłogę tuż u moich stóp, głos w głowie krzyczy: – Wpuść mnie, pozwól mi przejąć kontrolę! Uciekniemy stąd, pomogę ci!

Kątem oka zerkam na spalone zwłoki Magdy i dochodzę do wniosku, że nie wiem, co czuję. Jestem czarną dziurą, wcieloną pustką. Kolejna seria karabinowa pruje powietrze nad moją głową.

– Pozwalam ci – odpowiadam wreszcie, a świat rozmazuje się w wielokolorową wstęgę.

Idę. Przepocona koszulka lepi się do pleców, domowe klapki klaszczą o chodnik, łyzy schną na policzkach, krew krzepnie na dłoniach. Idę przez ulicę, zatłoczoną i głośną, a ludzie wokół patrzą na mnie z zaciekawieniem, rozbawieniem lub strachem. Ich spojrzenia ześlizgują się po mnie, nie boją, nie są w stanie mnie zranić. I tak jestem już martwy.

Myślę. Śmierć Magdy i dziecka wcale nie jest winą matki. Owszem, na pewno życzyła mojej dziewczynie śmierci. Jednak nie miała takiej mocy, żeby ją zabić; nie jest ani czarownicą, ani telepatką, ani boginią w ludzkiej skórze. Śmierć Magdy i dziecka nie jest też moją winą. Tak, podskórnie bałem się tego związku, tak, zachowywałem się jak cipa i nie potrafiłem wybrać między dziewczyną a matką, tak, tak, tak, nie potrafiłem też utworzyć wspólnych relacji tak, by nas w pełni satysfakcjonowały. Ale to nie mogło nikogo zabić.

Nagle uświadamiam sobie, że stoję przed przychodnią, do której zabrałem wcześniej Magdę. Patrzą na biały szyld z niebieskim napisem, na ruchome drzwi i podłogę wyłożoną seledynowymi kafelkami. Za mną huczy miasto, przede mną rozciąga się królestwo spokoju.

Zaczynają mi się trząść nogi, ale zbieram się w sobie i krok za krokiem wchodzę do środka.

Wiem, kto zrobił to wszystko mnie i mojej rodzinie. To ten lekarz, ten ginekolog z poparzoną ręką i blizną na skroni. Nie mam pojęcia, kim tak naprawdę jest, skąd pochodzi i jakie śmiercionośne umiejętności posiadał, ale jestem pewny, że to jego wina: widziałem wokół niego czarną aureę, czułem, że jego karma jest zła jak piekło.

Muszę go znaleźć. Zacisnę mu dłonie na szyi, spytam, dlaczego to zrobił, a kiedy otrzymam odpowiedź, zabiję go, a potem siebie.

Na recepcji siedzi ta sama kobieta, co wcześniej, ale nie poznaje mnie. Pytam o lekarza, opisuję go, mówię, że to bardzo, bardzo ważne. Że chodzi o życie mojej żony i tylko on jest w stanie mi pomóc. Recepcjonistka mówi, że nie pracuje tu nikt taki, nie może mi nic na jego temat powiedzieć, a poza tym chciałaby, żebym już poszedł. Krzyczę, kropelki j śliny

osiadają na blacie między nami niczym szron. Szukam w sobie odpowiednich gróźb i zaklęć, magicznych słów i gestów, chcę ją zahipnotyzować, ugłaskać lub przestraszyć. Wypływa jednak ze mnie tylko ślepa i żalosna agresja.

Czyjeś ręce chwytają mnie i wywlekają na zewnątrz. Czyjaś pięść wali na pożegnanie w podbródek, a czyjeś usta każą mi wypierdalać jak najdalej. Zataczam się, próbuję iść, upadam. Chodnik jest twardy i zimny, tak samo jak to, co czuję w środku.

Patrzę na jasną i rzadką trawę wyrastającą z nieco piaszczystej ziemi. Widzę kapsle, owady i kamyczki. Podnoszę wzrok. Więcej trawy, pagórki, mały lasek, nieduże bajorko, pewnie wypełnione w kilkudziesięciu procentach szczykami pijaków. Są też ginące pośród roślinności stare tory i biało-czerwone kominy, wyrastające zza horyzontu i celujące w pokryte ciemnymi chmurami niebo. Owiewa mnie wiatr, pojedyncza kropla spada na głowę. Nadchodzi burza.

Nie pamiętam, jak się tu znalazłem – moje wspomnienia urywają się dokładnie w tym samym momencie, w którym pozwoliłem głosowi, aby przejął kontrolę. Poczułem wtedy, że wypełnia mnie tajemniczy ciężar, jakby moja dusza stała się nagle większa i masywniejsza od ciała, a potem wszystko zgasło, film się urwał. Siedzę teraz na ziemi i wiem, że nie jestem sam. Głos wypełnia mnie swoją obecnością. Kiedyś nie zwracałem na niego uwagi, zanim się nie odezwał; czasem tylko w głowie iskrzyło mi *déjà vu* lub myśl, że jestem obserwowany. W tej chwili odczuwam go jako łapę gigantycznego zwierzęcia, która przygniata mnie do ziemi. Podnoszę do góry dłoń

i nie wiem, czy zrobiłem to dlatego, że chciałem, czy dlatego, że to on mi na to pozwolił.

Dłoń jest opuchnięta, kłykcie pokrywają rany, za paznokciami mam krew. Krew. Dopiero teraz to sobie uświadamiam, przecież jestem cały nią umazany – plamy i smugi pokrywają koszulę, spodnie, nawet buty. Oglądam drugą, równie zmasakrowaną dłoń. To musiała być rzeź, ale jakże mogłoby być inaczej: jakimś cudem wydostałem się z Kopuły, ten cud potrzebował na pewno swoich męczenników.

Podnoszę się z ziemi, a gdzieś nade mną przetacza się grzmot; kolejnych kilka kropel spada mi na ramiona. Głos w głowie mówi: – Udało się nam, wygraliśmy bitwę, ale czeka nas cała wojna.

Magda nie była jedyną wybraną ziemską kobietą, a ten cały cyrk z budową Kopuły to oszustwo. Tak naprawdę do zapłodnienia starczyły same drobnoustroje, którymi jesteście zainfekowani, a płód mógł się rozwijać w normalnych warunkach. Wybrano setki kobiet posiadających genotyp podobny do twojej żony, te kobiety noszą teraz w sobie dzieci lub niedługo będą je nosić. To inwazja w białych rękawiczkach, wkrótce zastąpi was rasa hybryd. To nie będzie ewolucja, to będzie holokaust. Ale walka nie została jeszcze przegrana. Okazałeś się dobrym żołnierzem, a ja zrobię z ciebie lepszego. Z czasem znajdziesz też popleczników, trzeba przecież zorganizować ruch oporu, armię cieni, którą razem poprowadzimy – dobrze wiesz, że potrafię inscenizować zbiegi okoliczności, naginać rzeczywistość i łamać ją w pół.

Będziecie wyszukiwać te kobiety i po cichu zabijać je razem z rozwijającymi się w ich łonach bękartami. Wskażę ci cele, wskażę drogę.

Spoglądam przed siebie. Za kolejnymi pagórkami znaj-

duje się osiedle. Rzędy szarych bloków wznoszą się nad horyzontem, okna i talerze anten satelitarnych są jak oczy zwrócone w moją stronę. Świat patrzy i czeka.

Leżę i krzyczę. Krzyk dociera do zeskorupiałej warstwy chmur i wraca do mnie w postaci pierwszych kropeł brudnego i oleistego deszczu.

Kraków, wrzesień–listopad 2012

PETER WATTS – ŚWIATOWA PREMIERA OPOWIADANIA

NOWA Fantastyka

12 (375) 2013 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



JUŻ W SPRZEDAŻY

W POSZUKIWANIU IDEALNEGO PREQUELA

FANTASTYCZNY
ŚWIAT
- CHINY CZ. 2

NIEWYCIĘŻONY
BOHATER
ROBERTA KIRKMANA

OPOWIADANIA:

MARCIN PODLEWSKI
I MIEJSCE
W KONKURSIE LITERACKIM

GRZEGORZ IRZYK
PRZEMYSŁAW KARBOWSKI
BENJAMIN ROY
LAMBERT
ALYX
DELLAMONICA
DAVID
W. GOLDMAN

PROSZYŃSKI
MEDIA
©2013 Starz Entertainment, LLC.



Marcin Podlewski

Edmund po drugiej stronie lustra

Opowiadanie pochodzi z „Nowej Fantastyki” 12/2013)

„Chwała tobie, Szatanie, cześć na wysokościach Nieba, gdzie królowałeś, chwała w głębokościach Piekła, gdzie zwyciężony, trwasz w dumnym milczeniu!

Uczyń, niechaj ma dusza spocznie z Tobą w cieniu Drzewa Wiedzy, gdy swoje konary rozwinie, Jak sklepienie kościoła, który nie przeminie!”.

Charles Baudelaire, *Modlitwa do Szatana*, fragment zatwierdzony do powszechnej Proklamacji Wstępnej po zmianie określenia „zwyciężony” na „zwycięski” (wg Biblii Szatana, wydanie sześćdziesiąte szóste) I Edmund Techny zrozumiał, że coś jest z nim nie tak, w momencie gdy Rond Buger kończył opowieść o gwałcie.

Opowieść nie wyróżniała się niczym szczególnym. Zwykła historia. Rond dorwał ofiarę niedaleko Placu Hume’a. Zaproponował jej fajki z domieszką kokainy i obiecał „godne zapamiętania rypańsko”. Dziewczyna zgodziła się pod warunkiem niebicia i nieprzypalania jej papierosami. Standardowe sadomaso mogło być, ale bez tłuczenia. Jak wyznała, już jej to nie kręci, a usuwanie śladów po oparzeniach słono kosztuje. Buger przystał na jej warunki. Mieszkała niedaleko placu, ruszyli więc do jej mieszkania w jakiejś taniej, tandetnej kamienicy. Kiedy tylko otworzyła drzwi, Rond natychmiast rąbnął ją

w głowę.

– I zginęła?! – zapiszczała jedna z podekscytowanych sekretarek.

Pewnie Ewa, pomyślał Techny. W zeszłym tygodniu chwaliła się w trakcie półrocznego Zebrania Prawdy, iż uważa się za głupią i bezużyteczną pindę. Nagrodzili ją wtedy huczynymi oklaskami.

– Głupia jesteś – stwierdził Rond. – Jak bym to umotywo-
wował?

– Afekt – rzucił ktoś, ale bez przekonania. Buger prychnął.

– Pewnie, afekt – skrzywił się z niesmakiem. – A potem Inkwizycja sprawdziłaby jej przydatność. Odjęliby jej statystykę od mojej i gdyby wyskoczył mi minus: do obozu, a potem do pieca.

– Sam mówiłeś, że mieszkała w kiepskiej kamienicy – rzucił ktoś.

– Cenna uwaga – pochwalił Rond – ale to nic nie znaczy. Budynek był przecież w tym samym getcie. Mogła zresztą wynajmować tam klitę na okazjonalne rypanko. Po co zresztą od razu zabijać? To się nie kalkuluje. Nawet gdyby była nisko statystyczna, i tak kosztowałyby mnie sporo punktów. W porządku, kontynuuję.

Zaciągnął bezwładne ciało do pokoju i rzucił na łóżko. Był, jak wyznał, „dość podniecony”, zatem zaraz przystąpił do rzeczy. Na początek zdarł z niej ubranie i przeszukał torebkę. To wtedy zaczął podejrzewać, że dziewczyna może być silniejsza w statystyce od niego: dokumenty mówiły niewiele, ale torebka wyglądała na drogą i najprawdopodobniej zrobioną z małpiej skóry. Zerknął co prawda na jej sigule, ale nie mógł wyliczyć z nich statystycznej wartości dziewczyny, choć na

pewno – jak każdy – była oznakowana. Tak czy owak, postanowił się zabawić. Z neseseru wyciągnął swoją kamerę na taśmę VHS. Włączył nagrywanie i zaczął przypalać dziewczynę papierosami. Żałował, że była nieprzytomna, ale trudno.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – wyjaśnił filozoficznie. Na szczęście ofiara obudziła się i zaczęła wrzeszczeć. Rzucała się jak szalona i w pewnym momencie omal nie wybiła mu oka.

Jęczała, że zgodziła się tylko na sadoseks, a o brutalnej przemocy nie było mowy. Powiedział jej wtedy, że godząc się na bliski kontakt cielesny z elementem standardowego sadyzmu, zgodziła się na skalkulowane ryzyko w ramach tego kontaktu, niewpływające na utratę punktów statystycznych. Zaczął jej nawet tłumaczyć podstawowe zasady wpływu jednej statystyki na drugą (co za durna krowa!), wciąż się jednak darła, więc przywalił jej pięścią i obruszył kilka zębów. Od tego momentu była już znacznie spokojniejsza.

– Za karę skończyłem w środku – pochwalił się Rond. – Jak będzie bachor, to sama jest sobie winna.

– I słusznie – dobiegło z sali.

– Najwyżej usunie.

– Bachora od takiego byka jak Rond? Ja bym nie usunęła!

– A co, masz ochotę?

– Z tobą: zawsze!

Edmund nie słuchał. Śmiechy i gwizdy docierały do niego jak przez mgłę. Coś go ścisnęło w żołądku. Chciał wrócić za swoje biurko i zająć się pracą, historia znudziła go, jednak zakręciło mu się w głowie. Na szczęście nie patrzyli na niego: Rond ciągle był w centrum zainteresowania. Wymachiwał pustym kubkiem po kawie, raz jeszcze demonstrując, jak uderzył ofiarę w tył głowy.

Techny wstał i zaczął mozolnie przeciskać się przez pracowników. Odepchnął głowę jakiejś blokującej mu drogę księgowej o niskiej statystyce i usłużnie przepelzł obok kierownika zmiany. W ten sposób dotarł do szklanych drzwi, a później na firmowy korytarz wyłożony zielonym linoleum. Pocił się. Klimatyzacja nie działała od kiedy szefostwo uznało, że nie będzie na nią wydawać pieniędzy, dopóki któryś z pracowników naprawdę nie zachoruje. Był to nawet ciekawy pomysł: można się było przekonać, kto wytrzyma najdłużej. No i proszę. Czyżby padło na niego? Może poczuł się źle przez zaduch?

Koedukacyjne łazienki były na samym końcu korytarza, niedaleko schowka na szczotki i środki czystości. Techny miał pecha: tuż obok wejścia klęczała jakaś nisko statystyczna sprzątaczką i tarła podłogę szmatą. Teoretycznie nie musiał się nią przejmować, ale mogła dojrzeć, jak się czuje, i donieść komu trzeba. Jeszcze tylko tego brakowało, by na jaw wyszła jakaś jego słabość! Minął ją pośpiesznie i z ulgą stwierdził, że nawet nie podniosła głowy. Na wszelki wypadek lekko trącił ją butem. Niech wie, kto tu rządzi. Zamamrotała tylko; widocznie była przyzwyczajona.

W łazience zamknął za sobą drzwi i stanął przed zakurczonym, popękany lustrem. Spojrzał: był blady jakąś dziwną, trupią bladością. Niepokojące. Odkręcił wodę i ochlapał sobie twarz, ale wcale nie poczuł się lepiej. Przeczesał ręką skołtunione wedle najnowszej mody włosy, aż poczuł pod palcami napiętą skórę czaszki.

Przed oczami wciąż miał obrazy z opowieści Ronda. Wyobrażał sobie, jak Buger gwałci swoją ofiarę, jak uwala się na niej swoim wielkim, tłustym brzuszyskiem, aż pozbawia ją tchu. Chciał o tym zapomnieć. Nie mógł. Co się z nim działo?

To był już drugi raz.

Może nie tak upokarzający jak pierwszy, ale zawsze. Tamto pierwsze, zreflektował się, było nawet gorsze.

Pojechał wtedy z kuzynem Lefim na Koedukację. Nudził się, a był dzień wolny i pomyślał, że nie zaszkodzi mu zerknąć na proces i przy okazji wpaść do jakiegoś baru na drinka z kodeiną. Lefi zabrał swojego dziesięcioletniego bachora, zgodnie z wytycznymi Koedukacji. Dzieciak coś wyczuwał: darł się i wrywał przez całą drogę, aż musieli go tłuc na zmianę. Już wtedy coś było nie tak – Edmund uderzał słabiej i mniej pewnie, czując dziwną suchość w ustach.

Trafili pod budynek Koedukacji nieco spóźnieni, więc Lefi spuścił pasożytowi solidne manto tuż przed samym wejściem. Wrzeszczał: „Zapierdolę cię wreszcie, w dupie mam statystykę! Zapierdolę!”.

Dzieciak nie pozostawał dłużny, też wrzeszczał i gryzł. Był wyjątkowo aktywny i cwany; Lefi wspominał, że już trzy razy musieli zamykać go w oddzielnym pomieszczeniu, bo smark czaił się i kombinował, jak wykończyć uciążliwych rodziców. Kiedy wreszcie wepchali go do pokoju Koedukacji Wstępnej, Lefi klepnął na ławeczkę i otarł czoło chustką. Po twarzy spływały mu grube krople potu. Odgrażał się, że nie będzie patrzył na statystykę czy Koedukację i „zajebie skurwysyna”. Niech mu odetną i dziesięć punktów, to gównu nie jest tego warte. Wyprowadzi się najwyżej do getta z niższą statystyką, całkiem nieźle jest podobno w tym całym... jak go nazwali? Na cześć tej reżyserki... Riefenstahl, dokładnie tak – choć to całe siedem punktów mniej. „Durny gnojek” – pisnął nagle, wygrażając pięścią.

Niby to logiczne: rodzisz za punkty, karmisz za punkty, a wszystko po to, by później pasożyt na ciebie pracował. Nor-

malna sprawa – niech zapieprza, aż ustawi mu się własna statystyka, odcięta od twojej. Ale czy to jest tego warte? Na pewno nie! Pocieszało go tylko to, że „wreszcie go wyedukują”.

I rzeczywiście: Koedukacja, jak to Koedukacja, zrobiła swoje.

Upchali bachora z dziesięcioma innymi z jego getta, czekając, aż utworzą się podstawowe struktury. Wyszło, jak wyszło: dwa pasożyty padły niemal od razu, pozostałe poustawiały się w drzewka społeczne wedle podsycanej przez Koedukatorów struktury dziobania. Bachor Lefiego dostał średni statystyczny wynik: jednemu dołożył, drugiemu się podlizał, więc jakoś wypadł, a Techny, przepraszając na moment, zostawił Lefiego i wylądowawszy w łazience, zwymiotował do kibla.

– Drugi raz... – wymamrotał teraz do siebie. – Drugi raz.

Zakręcił kran i oparł ręce o umywalkę. Zamrugął; coś przewracało mu się w żołądku. Bał się wyjść. Bał się zwymiotować. Strach, ten cenny sprzymierzeniec pomagający odnaleźć się w zawiłościach międzyludzkiej statystyki, nie zawiodł go i tym razem. Musiał siedzieć i czekać, aż mu przejdzie. Bo co będzie, jeśli się dowiedzą?

Cóż, to proste. Będzie miał przesrane.

– O, Szatanie... – wyszeptał z przestraczem. – Jestem chory psychicznie.

I była to prawda.

Niepokojące objawy udało mu się utrzymać w tajemnicy przez resztę dnia. Zasłonił się pracą, zwłaszcza że roboty było mnóstwo, głównie papierkowej. Szefostwo już w zeszłym ty-

godniu zażądało wciśnięcia wszystkich wyników w mikroskopijne tabelki uwzględniające przypadki poszczególnych emerytur z podziałem na getta.

Tabelki dostarczono na fatalnym, kredowym papierze, robota była więc upierdliwa: pod kredą nie przebijała kalka, a sam papier ciężko się wkręcał w maszynowy wałek. Techny siedział zatem i wklepywał, aż cyfry zaczęły migać mu przed oczami. Nie patrzył, co pisze; leciał niemal automatem. Zerknął uważniej dopiero wtedy, gdy nalał sobie kawy.

Liczby były nieubłagane: coraz więcej przypadków kwalifikowało się do EO, czyli Emerytury Ostatecznej. Chodziło głównie o jednostki, których statystyka nie pozwalała na dłuższe obciążanie społeczeństwa i konieczne było wysłanie do nich eutanasty. Sprawa była o tyle ciekawa, że ostatnio nigdy nie wysyłano po nich pojedynczych funkcjonariuszy: coraz częściej trzeba było wysyłać dwóch albo trzech urzędników na raz. Starcy zrobili się po prostu cwani i wyliczali swoją emeryturę z liczydłem w ręku, a potem, gdy było trzeba, barykadowali się w domach lub kupowali broń. Cóż, nikt nie mówił, że eutanastyka to proste zajęcie – choć na pewno opłacalne; po firmie krążyły plotki o wypłacie w procentach za każdego groźnego starca. Jeden był wart bodajże jedną dziesiątą statystycznego punktu. Tak czy owak, można się było obłowić i wskoczyć na wyższą pozycję za zaledwie dziesięciu agresywnych emerytów. Żyć nie umierać. Tylko to ryzyko... Nic dziwnego, że chętnych do EO było coraz mniej.

Techny upił resztkę szybko stygnącej kawy. Nieważne. Trzeba było się zbierać; odrapany, firmowy zegar wskazywał już siedemnastą. Był czwartek, zaczynał się weekend. Edmund z ulgą odłożył tabele, myśląc o wolnym piątku i wolnej, sabbatowej sobocie. Do domu powinien dotrzeć w niecałe czter-

dziesięć minut. Mieszkał po drugiej stronie rzeki, w getcie imienia Maxa Stirnera o średniej wartości statystycznej. Dojazd był łatwy, trzeba było tylko dojść do metra.

Kiedy wychodził z pracy, pogoda była kiepska. W powietrzu unosił się charakterystyczny, spalinowy zaduch jesieni. Padało też kapuśniakiem; śmierdząca, chłodna mżawka. Techny poprawił kołnierz ortalionowego płaszcza i ruszył przed siebie szybkim, zdecydowanym krokiem.

A jeśli jego stan się utrzyma? Co wtedy? Jak długo będzie mógł ukrywać pogłębiającą się psychozę? Wystarczy obowiązkowe wystąpienie na Zebraniu Prawdy, by wszystko wyszło na jaw. Tam mu się już nie upiecze: firma zatrudniała własnego analityka, wyczulonego na objawy kłamstwa niczym wariograf. Musiał coś z tym zrobić. Tylko co? Nie wiedział.

Było już ciemno. Wysokie budynki – ciemne, granitowe kłocze z wytrzeszczami okien – błyskały ku przechodniom mętnymi światłami. Okolica zdawała się martwa, ale było to tylko złudzenie. Niebo przecinały miastowe, wszędobylskie kruki i wrony, szumiało kilka prostych fontann. Edmund przyspieszył kroku. W drodze do metra musiał minąć betonowy park otoczony żelaznymi opłotkami. Wedle najnowszej mody udekorowano go superrealistycznymi rzeźbami wspartymi na żelbetonie i sztucznymi drzewami o wysokim stopniu odwzorowania. Jeszcze kilka lat temu park pełen był prawdziwych drzew i krzaków, ale wykorzystywały to bezpańskie psy i koty.

Przez ich odchody cała okolica śmierdziała, zwierzęta wyłapano więc i zabito, a park uległ transformacji. Wszystko po to, by upiększyć tranzytowe Centrum.

Niecałe sto metrów za parkiem tkwił okazały Kościół Szatana – masywny i piękny w swej prostocie, przypominający

niecو konstrukcje społecznych Krematoriów. Kościół ozdobiono odwróconym krzyżem z czarnego żeliwa, symbolem bezpardonowego zwycięstwa nad Kłamcą. Wielki i ciężki, rzucał łaskawy cień na przechodzących w pobliżu przechodniów.

Zejsście do metra było już blisko. Edmund wmieszał się w anonimowy tłum odziany w ortaliony, pozszywane filce i nieliczne skórzane płaszcze. Schody były śliskie po deszczu, stąpał więc po nich ostrożnie, wiedząc, że jeśli się wywali, będzie zdany tylko na siebie.

Dwa lata temu dostał paskudnej anginy i wydatki związane z chorobą nadszarpnęły porządnie jego skromny budżet. Strach pomyśleć, co by się stało w przypadku złamanej nogi.

budżet. Strach pomyśleć, co by się stało w przypadku złamanej nogi.

– Posuniesz się? – warknęła w jego stronę chuda kobieta pchająca przed sobą wózek. Z trudem utrzymywała go na schodach. Techny zerknął, niemowlę spało w najlepsze. – A żeby to... – syknęła, niemal się przewracając. Gdy złapał ją za ramię, ratując przed upadkiem, spojrzała na niego z wściekłością zmieszaną ze zdziwieniem.

– Czego chcesz?! – syknęła. Edmund cofnął rękę. – Zbożeniec – poczęstowała go jeszcze, przedostając się wreszcie przez ostatni schodek. Techny ani drgnął. Dopiero po dłuższej chwili zszedł w ciemną czeluść starego, obskurnego peronu.

Nie było to wielkie mieszkanie, choć, co prawda, znakomicie usytuowane, z widokiem na wybrukowany plac i kino „Obiektyw”, pod którym zbierali się wielbiciele rozdawanego rząd-

wego absyntu i prostych opioidów. Edmund je jednak lubił, pomimo zagrzybionych ścian i skrzypiącej potwornie podłogi.

Kwatera dzieliła się na niewielką kuchnię, dużą łazienkę i pokój, będący zarazem sypialnią. Centralne miejsce zajmował obowiązkowy telewizor z wielkim kineskopem, z dostępem do stu czterdziestu kanałów, w tym ponad sześćdziesięciu kościelnych. Srebrne pudło TV stało na czarnym kłocu sprzętu wideo, podpieranym przez kilkanaście taśm. Z wideo korzystał częściej. Z początku, niemal nałogowo, testował telewizyjne kanały, by wreszcie stwierdzić, że większość nie różni się zbyt od siebie. Proklamacje do Szatana?

Większość bez polotu, wygłaszana monotonnym głosem ukrytego lektora. Porno? Dokumentalne snuff movies? Wciąż to samo, bez końca. I to ambitne kino wygrywające kolejne festiwale. Każdy film ukazujący cielesną czystość trwania, piękno pierwotnych instynktów, sławiący filozoficzny egoizm jednostki.

Ale nie, jego stan to nie była wina telewizji czy taśm, zdecydował, siadając na kanapie ze sztucznej skóry. To wina podzielonych ksiązek. Nic dziwnego, że – nieoficjalnie, co prawda – ich zakazano.

Już dawno wyczuł, że coś – cokolwiek to było – przemykało gdzieś między wydrukowanymi zdaniem, łąsiło się w cieniu akapitów, rośło w tytułach rozdziałów. Po co w ogóle zaczął czytać? Odpowiedź była prosta: nuda. Nudził się, zaszedł więc do zapomnianych księgarni w jakimś obskurnym getcie i kupił kilka tomów, potem kolejne i jeszcze... aż wreszcie książki, nawet te zatwierdzone przez rząd czy Kościół Szatana, zrobiły mu wodę z mózgu. Dlaczego? Nie wiedział.

Podjeżdżał, że to przez konstrukcję zdań, jakieś ich dążenie do zwartości, do formy... do czegoś poza książką, poza

jej esencją. Było to w każdym razie coś, przed czym przestrzegał i Kościół, i rządowa Władza, coś, co kazało dopatrywać się sensu, gdzie go nie było, jakiejś podejrzanej, transcendentnej wartości. Słowa są oszukańczą siłą słabych, przeciwieństwem czynu. Udają tylko czyn, symulują go. Prawdziwe, cenne zło nie wynika ze słów. Zło, jak mawiał sam wielki Blake, to aktywność wypływająca z energii. Chociaż on też więcej gadał, niż robił...

Książki. Miał ich wiele, więcej niż można było znaleźć w przeciętnym domu – całe trzydzieści trzy sztuki, wymiętolone, o postrzępionych okładkach. Kilka dzieł filozoficznych, przepuszczonych przez oficjalną cenzurę Władzy i ozdobionych pieczętką w kształcie pentagramu. Garść powieści porno i tych oscylujących wokół tematyki uduchowionej grozy. Wybrane, zatwierdzone baśnie braci Grimm. Zatwierdzona historia i sześćdziesiąte szóste zaktualizowane wydanie Biblii Szatana w okładce z ludzkiej, a więc najtańszej skóry. I wreszcie pięć pozycji wydrukowanych na jakimś podejrzanym papierze, zapewne przez sympatyków Kłamcy. Te ostatnie zdobył od zapijaczego lumpa pchającego wypełniony nimi wózek na Dworcu Johna Milтона.

Utwierdził się w przekonaniu, że to one były zapewne odpowiedzialne za jego obecny stan. Zabawne, naiwne powiastki odwracające rzeczywistość do góry nogami: ludzie zainteresowani nie sobą, a innymi ludźmi, brak statystyki w międzyludzkich stosunkach, brak Kościoła – a raczej obecność jego przepoczwarzonej, kłamliwej formy, opisy – uchowaj Szatanie – demokratycznej Władzy. Bzdury sklecone przez dawnych autorów, Nietzsche by się uśmieł! Zwykła fantastyka, której nie przejrzał nawet pobieżnie, bajki. A może zerknął? Przeczytał? Nie pamiętał, ale czuł, że to właśnie takie śmieci

wpędziły go w chorobę. Uszkodziły mózg.

Wstał z kanapy, by zrobić sobie drinka. W regale trzymał kilka rządowych, darmowych butelek oraz parę nieco bardziej ekskluzywnych, a więc płatnych trunków. Złapał za Jacka Danielsa o, jak głosiła reklama, „prawdziwie grzesznym smaku” i nalał sobie do kwadratowej, grubo rżniętej szklanki. Ledwo umoczył usta, kiedy do drzwi ktoś zapukał – dziwnie tchórzliwie, jakby mysz drapała we framugę. Techny niechętnie odstawił alkohol.

– Tak?

– Panie Edmundzie? – piskliwy, kobiecy głos. Westchnął i zerknął przez wizjer. Pod drzwiami stała niejaka Irma Grese, sąsiadka z naprzeciwka. Jedno z jej wytrzeszczonych oczu wyglądało na podbite, zapewne mąż zafundował jej drobny małżeński sparring. – Panie Edmundzie?

– Chwileczkę. – Niechętnie zaczął zdejmować łańcuchy i blokady. W końcu uchylił drzwi i spojrzał na kościstą, ponad-sześćdziesięcioletnią sąsiadkę. Irma stała niepewnie na wycieraczce, wyginając palce. Nic dziwnego, że mąż jej przyładował, przeszło mu przez myśl. Sam miał ochotę walnąć w ten nastroszony kok na kwadratowym łbie.

– Czego pani chce?

– Mogę wejść? Nie chcę tu, na klatce...

– To konieczne? Właśnie piłem.

– Na momencik. – Spojrzała na niego płacząco. Skąd biorą się takie upierdliwe ofiary losu? Dziwne, że nikt jeszcze na nią nie doniósł; widać było, że jest ledwo przydatna. A wystarczyłby jeden telefon i standardowa kontrola. Miejsc w obozach jest sporo, popracowałyby trochę, schudła, przerobiliby ją na mydło... Pokręcił głową i usunął się z przejścia. Wlazła do środka.

– Nie miałby pan... halanu? – wydusiła. Edmund uniósł brwi.

– Znowu? Po co to pani?

– Dla męża...

– A sporysz?

– Już się skończył – przyznała skwapliwie. – Nie chciałabym zresztą, żeby się przekręcił. Mocno spał po sporyszu, ale halan lepiej na niego działa. Śpi po nim dosłownie jak zabity.

– To, że raz miałem halan, nie znaczy, że będę go miał zawsze – zastrzegł, zostawiając ją w przedpokoju i wchodząc do kuchni. – Poza tym – dodał, przeglądając zawartość szafki – halan też odkłada się w organizmie. Jak go będzie pani nim regularnie podtruwać, to w końcu dostanie raka. Nie lepiej dać sobie wtłuc ten raz czy dwa w tygodniu?

– Łatwo panu mówić – obruszyła się. – Zresztą, jeśli Josef nawet zdechnie, to nie obciążą mi tak statystyki jak po normalnym morderstwie. Inkwizytorzy stwierdzą, że był zbyt głupi, by zauważyć, że go podtruwam, a to wpłynie korzystnie na Rozliczenie Końcowe.

Zabiorą mu z miejsca przynajmniej dziesięć punktów. A wtedy, kiedy odejmą jego statystykę od mojej...

– Marzy pani. – Techny przerwał jej, wręczając fiolkę. – To już ostatni raz, tak?

– Tak, oczywiście. – Szybko kiwnęła głową. – Chce pan za to czegoś? Mogę... – zaczęła unosić spódnicę.

– Nie. – Zamachał ręką. – Niech już pani idzie. Nie jestem w nastroju. Złego dnia życzę.

– Złego dnia – wyszeptła i już jej nie było. Po jej wyjściu długo patrzył na zamknięte drzwi. Głupia, naiwna baba. Żałosne, lękliwe babiszczce.

Było mu jej żal.

Szybko wrócił do swojego drinka.

II

Właśnie tak wyobrażał sobie gabinet psychiatry. Przystronny, z wielkim mahoniowym biurkiem, z wiszącym na ścianie obrazem przedstawiającym zadumanego Aleistera Crowleya. Sam psychiatra wyglądał jowialnie: obowiązkowe okulary, schludnie przycięte włosy, nieco otyły. Kościana tabliczka, umiejscowiona gdzieś między gilotynką na cygara a stosikiem dokumentów, głosiła dumnie: dr n. med. Edmund E. Kemper. Zabawne: imię mieli to samo, choć Edmund nie sądził, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Pali pan? – spytał psychiatra. Techny kiwnął głową. – Chce pan cygaro?

– Nie. Może papierosa.

– Mam „Raki” – oznajmił lekarz. – Świetne pety, żadne rządowe świństwo. I mentolowe „Mansony”. Zero domieszki, czysta nikoty-na plus substancje smoliste.

– Mentole? Daje je pan za darmo? – zdziwił się Edmund.

– Z reguły nie – powiedział doktor. – W końcu dziwnie to wygląda, jeśli to nie rządowe gratisy. Ale tu, o czym się pan przekona, obowiązują nieco inne reguły. To jak, chce pan?

– Niech pan da.

Psychiatra wyciągnął niewielką złotą papierośnicę i wysupłał cienki, mentolowy patyk. Podał go Edmundowi, samemu włożył końcówkę cygara do gilotynki. Trzasnęło. Lekarz wyczarował skądś zapalniczkę i po chwili obaj zaciągnęli się uspokajającym dymem.

– A więc – zaczął doktor – co panu jest, panie Edmunde? Spadek libido? Zmęczenie agresją?

– Może to drugie, nie wiem. To... wszystko, co powiem, zostaje tutaj?

– Niestety tak – przyznał Kemper. – Jako lekarz muszę prognozować, że pańska słabość, jaka by nie była, ma efemeryczny charakter i że wyjdzie pan z powrotem na prostą. A to oznacza, że jest pan potencjalnie coś wart. Co innego, gdyby był pan stary. Tak na marginesie: ile ma pan lat? Przed czterdziestką?

– Zgadza się.

– Spójrzmy. – Psychiatra zagłębił się w papiery. – Całkiem niezła statystyka, produktywność w normie... Nie – zachichotał – nie chcielibyśmy wysyłać pana do obozu koncentracyjnego, panie Techny. Z pewnością nie. Jeszcze się pan przyda. Mało tego: możliwe, że pański problem będzie miał wysoką klauzulę tajności. Nie chcemy pana niepotrzebnie upokarzać. Chwileczkę. – Nacisnął guzik interkomu. – Proszę przynieść dokumentację inwigilacyjną pana Technego. Zaraz sobie w to zerkniemy – zwrócił się do Edmunda. – Niech pan nie robi takiej zdziwionej miny! Instytut Chorób ma wgląd w dokumentację Inkwizycji. Jestem wszakże pewien, że nie znajdziemy tam niczego, co mogłoby wykluczyć leczenie. Pańska potencjalna przydatność dla społeczeństwa... – Zaciągnął się cygarem. – Jest pan może pedałem?

– Nie.

– A szkoda. Dewiacje?

– Niestety nie.

– W sumie nie ma czego żałować, na dłuższą metę to szkodliwe.

Homoseksualizm także. Nie płodząc, obniża pan statystykę społeczną. Na marginesie, polecam biseksualizm. O ile jest pan w stanie się przełamać. Prowadzę indywidualne tera-

pie...

– Nie, dziękuję.

– W porządku. A zatem, wracając do meritum. Co panu jest?

– Nie wiem. – Techny skulił się w fotelu. – Chyba... doktorze...

czytałem trochę i... żal mi, to znaczy... – plątał się. – Kiedy patrzę na innych, to jest inaczej niż kiedyś.

– Może to pan uściślić?

– Ja... myślę o nich.

– Myśli pan? W jakim sensie?

– Zastanawiam się, co czują. Nie wiem, jak to wytłumaczyć... – ucichł.

– Kiedy walnę swoją sprzątaczkę przez łeb albo uderzę denerwujące dziecko, też myślę o tym, co czuje – powiedział Kemper. – To zupełnie normalne. Chcę wiedzieć, czy wywołałem określony efekt.

– Ale ja myślę, co czują tak... ogólnie. Ja... jakoś męczy mnie to, że oni... ci ludzie znaczy... że cierpią – wypluł z siebie wreszcie.

Zapadła krępująca cisza.

– Cierpienie to niezbędny składnik egzystencji – odezwał się w końcu doktor. – Jest ono dowodem na to, że ten, który cierpi, jest słabszy i gorszy od nas, co pozwala nam wznieść się ponad niego.

Cierpienie zatem to cenny element, odgradzający silnych od słabych.

Nie wolno i nie należy się nim przejmować. Lepiej je cenić. – Kemper ponownie zaciągnął się cygarem. – A to, to odczucie, o którym pan mówi, to empatia – sprecyzował. – A przynajmniej na to wygląda. Faktycznie niezdrowy objaw, za-

burzenie kondycji psychicznej, które może prowadzić do poważniejszych konsekwencji psychopatycznych. Mogę panu przepisać mocną amfetaminę czy kilka zubożających substancji psychoaktywnych, ale nie sądzę, by mogło to pomóc na dłuższą metę. Nie jest pan pierwszym przypadkiem.

– To znaczy? – wyjąkał Techny. Doktor spojrział na niego ze źle ukrywaną pogardą.

– Prowadzę pewną grupę w ramach psychoterapii. Jeśli pan chce, mogę wpisać i pana. Znajdzie się jeszcze wolne miejsce. – Wydmuchał gęsty, cygarowy dym. – Ale uprzedzam: są tam cięższe sprawy niż pańska. To prawdziwi psychopaci, leczeni z uwagi na fakt późniejszej przydatności wniosków badawczych. Jeden czy dwa przypadki uważam osobiście za nieuleczalne, nadają się tylko na przemiał. Gdyby to ode mnie zależało... – Wzruszył ramionami. – To jak? Co pan wybiera? Receptę czy terapię?

– Terapię – powiedział Techny.

Tak poznał Moirę.

W zasadzie wyglądała niepozornie. Niewysoka, o drobnych kościach. Ładna, na oko przed trzydziestką. Odziana w czarną, nabijaną ćwiekami skórę jakiegoś Murzyna z rezerwatu podrasowego.

Czarne, krótkie włosy. Mocno umalowane oczy i usta, dziwnie kontrastujące z niemal białą cerą. Wiszący u szyi niewielki odwrócony krzyżyk. Wytatuowany na ręku sigul, wysuwający się nieco spod rękawa kurteczki. Typowa satanistka, przychodząca co sobotę na obowiązkowy sabat do Kościoła Szatana. Nic szczególnego. Poza tym, że milczała.

Siadała tak jak wszyscy na plastikowym krześle i palcami o pomalowanych na czarno paznokciach wyciągała niewielką szklaną firkę. Wtykała w nią małe, różowe papierosy bez filtra, pachnące piżmem. Zaciągała się i po trzech sekundach znikwała w różowawym dymie.

Było ich ośmioro, licząc z lekarzem, Edmundem i Moirą. Korpulentna Leila, pałająca niezrozumiałym uczuciem do własnych dzieci.

Uzależniony od morfiny, podstarzały Hermann, bojący się własnego cienia. Równie wystraszona Teresa, ściągnięta podobno z dalekich, wschodnich kolonii, oddających hołd potwornemu Alace z asurów, szepcząca do niewidzialnych postaci. Najmłodszy z nich wszystkich Damien Thorn, zaledwie dwunastoletni szczeniak, który rzekomo – jakkolwiek dziwnie by to brzmiało – uratował komuś życie. I wreszcie odziany na czarno, chudy Kolbe, równie stary jak Hermann – podobno były wyznawca Kłamcy, zapewne beznadziejny przypadek.

Ten milczał tak samo jak Moira, tyle że patrzył na wszystkich dziwnym, maślanym wzrokiem.

Tak jak Edmund przypuszczał, było fatalnie.

– Więcej tu nie przyjdę – rozpoczął Hermann.

– Zaczyna się – skwitował Damien. Hermann spojrzał na niego ze złością.

– Zamknij się, gnojku! W ogóle nie powinno cię tu być. Miałeś tylko chwilową niepoczytalność. Nie widzicie tego?

– Sam zawrzyj mordę, morfino!

– Spokojnie – przerwał im doktor Kemper. – Zatrzymajmy się na chwilę. Damien, bardzo prawidłowa reakcja, ale zachowaj ją na razie dla siebie. Hermann, powiedz nam, dlaczego chcesz zrezygnować z terapii?

– Bo gówno was obchodzi, oto dlaczego!

– Hermann, problem tej grupy polega właśnie na tym, że tak nie jest – powiedział lekarz.

– Pieprzenie. Leila w kółko tylko pierdoli o tych swoich bachorach, a reszta... nic was nie obchodzi...

– Nie możemy bez końca zajmować się właśnie tobą. Doktorze, wytłumaczy mu pan?

– Dziękuję, Leilo, ale to nie będzie konieczne. Hermann, twój problem polega na tym, że oczekujesz od innych nienormalnych reakcji. Zdziwi cię może to, co powiem, ale jesteś na drodze do wyzdrowienia. Słyszysz siebie? Już jest lepiej, zapewniam. Pragniesz, by ludzie stali się psychopatami, samemu nie mając do tego pełnych predyspozycji. Oczekujesz od nich niemożliwego. Z czasem zaś zrozumiesz, że choć jesteś im całkiem obojętny, jest to zupełnie normalne. Ta wiedza spowoduje, że staniesz się obojętny i na nich. To tylko kwestia czasu.

– Pierdol się! Pierdolicie się wszyscy!

– I świetnie, Hermann. Świetnie. – Doktor Kemper z zadowoleniem popukał długopisem w notatnik. – Kto następny? Leila?

– Tak, doktorze?

– Jak sprawy z dziećmi? Uderzyłaś którąś?

– Nie, ale...

– Leila. Twój przypadek wymaga czysto behawioralnej terapii.

Co mówiliśmy na ostatnim spotkaniu?

– Czyn... czyn określa rzeczywistość.

– No właśnie. Musisz to w sobie przełamać. Zrozum: jesteś nieszczęśliwym przypadkiem tak zwanego *baby rock*. Aktywowały się w tobie pewne, uśpione przez lata selekcji naturalnej, zasoby hormonalne. To zjawisko czysto fizyczne i jeśli nie wyeliminujemy go terapią, będziemy musieli pomyśleć o

lekach. Naturalnie hormony są konieczne, choć w dość ograniczonym stopniu, inaczej matki natychmiast mordowałyby swoje potomstwo. Byłaby to wszakże statystyczna głupota. Są jednak odpowiednie preparaty...

– Ale panie doktorze...

– Na Szatana! Tylko bez tych upokarzających łez! Leila, nie każę ci przecież zaraz zabijać dziecka! Po pierwsze zrujnowałoby cię to statystycznie, a po drugie tylko pogorszyło twój stan psychiczny. Po prostu je uderz i zostaw samo, niech trauma z niego wycieknie razem ze łzami. Pierwszy raz jest trudny, rozumiem, ale niezbędny.

Znalazłem zresztą pewne rozwiązanie... zadziałamy metodą małych kroków. Chodzi o szpilki. Zwykle stalowe szpilki. Nie tak oczywiste jak uderzenie, ale równie skuteczne. Zostaniesz po spotkaniu, porozmawiamy na ten temat. Tereso?

– Nie jest dziś obecna, doktorze – wtrąciła skwapliwie Leila. – Znowu z nimi rozmawia. Z tą całą Faustyną, Marią i nie wiadomo kim jeszcze...

– Tereso? Cóż, trudno. – Psychiatra skrzywił się. – Nie rozumiem zupełnie, po co to ciągniemy. Proroctwa? Wizje? To psychoza religijna. I żeby to chociaż opierało się na wierze w asurów... to kto wie, może nawet zaskarbiłabyś sobie naszą sympatię. Ale ty uparłaś się na religię, której, de facto, nie ma. – Z niesmakiem zerknął na Kolbego. Potem przeniósł wzrok na Technego. – Edmund?

Wywołany chrząknął.

– Tak?

– To twoje pierwsze spotkanie, nie musisz się na razie odzywać – oznajmił Kemper. – Opiszę tylko pokrótce twój przypadek. – Omiótł wzrokiem pozostałych. – Pan Edmund Techny cierpi na nietypowy syndrom obudzonej empatii, pro-

stej psychozy opartej na współodczuwaniu. Nieleczona może ona przerodzić się w pełnoprawną psychopatię o nieokreślonym jeszcze kształcie. Na razie jednak pan Techny jest w fazie początkowej i ujmując to może mało profesjonalnie, przejmują się innymi.

– To powinno cię zainteresować, Hermann – parsknął Damien.

– Damien, jeszcze nie skończyłem – syknął lekarz. – W każdym razie jestem przekonany, że sama obecność Edmunda na naszych sesjach pomoże mu uporać się z jego problemem. W końcu wystarczy na was popatrzeć, by w pełni wyleczyć się z empatii... – Zerknął w notatnik. – Tak. Moira. Moira, powiedz nam coś? Nic? Jeszcze trochę, a twoje wycofanie zacznę uważać za objaw cudownego ozdrowienia.

Kolbe? To samo? Świetnie. – Kemper przejechał dłonią po rzadziejących włosach. – Robimy zatem małą kopię Zebrań Prawdy. Każdy, z wyjątkiem Edmunda, wygłosi niewielką serię upokarzających prawd na swój temat. Pamiętajcie: prawda nas wyzwala, kłamstwo – ponownie spojrzął na Kolbego – dokładnie odwrotnie. Hermann?

Hermann Goering, proszę. Tylko bez mazania się, jak ostatnio. Damien! Damien, do ciebie mówię! Nie rzyj mi tutaj! Jesteś następny!

Miasto było czarne i tylko gdzieniegdzie rozbłyskiwało światłami. Nad blokami kłębiły się szare dymy zakładów produkcyjnych, na północy widniały cienkie wieżyczki kominów krematoryjnych.

Daleko, za czarnymi wodami rozdzielającego metropolię Styksu, lśniła łuna Getta Antona Szandora LaVeya – ekskluzywnego hadesu dla najbogatszych obywateli o piekłotycznie wysokich statystykach, z reguły wyznawców ekskluzywnego satanizmu laveyańskiego niedostępnego dla szarych, nisko statystycznych mas.

Edmund Techny szedł asfaltową uliczką, rozdeptując płatki czarnego popiołu z kominów. Nad ziemią unosiła się ciepława kwaskowata mgła. Gdzieś darły się koty. Techny stanął przy studziencie kanalizacyjnej i wyjął papierosa.

Ktoś go śledził. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Kroki cichły, gdy stawał, i przyspieszały, kiedy i on przyspieszał.

Dwa razy wydawało mu się, że widzi czyjś cień. Raz stanął pod typowym dziecięcym sklepikiem okultystycznym i spojrzął w jedno z umieszczonych nad tabliczkami Ouija luster Twardowskiego: ktoś skrył się w mroku ciasnych uliczek.

Zapalił papierosa. W nikłym świetle zapalniczki dostrzegł, jak ten ktoś wychodzi z cienia. Postać spowita w różowawą mgłę. Moira.

– Cześć – powiedziała. Głos miała przyjemny, nieco chropowaty, seksowny, zachęcający do gwałtu.

– Cześć – odpowiedział, zaciągając się.

– Edmund, co?

– Aha.

– Protopłaści postanowili, że udupią cię już na starcie? – spytała złośliwie. – Takim imieniem?

– Aha.

– Fajnie. Dasz szluga? Zapaliłabym coś innego.

Podał jej „Polańskiego”. Nachyliła się i powoli, patrząc

na niego, złapała papierosa ustami. Czego chciała, demonstrując mu takie gesty? Żeby zerznął ją tu i teraz? I co ma teraz zrobić? Najpierw walnąć, by ustalić z miejsca, kto rządzi i będzie na górze, czy może łapać za tyłek? Jakoś nie miał na to ochoty. Wszystko przez tę chorobę. Ale Moira przejęła inicjatywę.

– Idziemy do ciebie? – spytała, gdy przypalił jej papierosa – Czy do mnie?

– Wszystko jedno. – Wzruszył ramionami.

– To do ciebie.

– W porządku – zgodził się i wtedy zaczęło być dziwnie.

Szli razem, blisko siebie. Do domu miał niedaleko, jakieś półtora kilometra, gdy nagle złapała go za dłoń. Zesztywniał w oczekiwaniu na atak, ale tylko trzymała go za rękę. Jej własna była mała i ciepła.

Dotyk wydawał się przyjemny, może nie tak jak wyłupienie oka królikowi, ale jednak. Uspokajał jak niewielka dawka kodeiny. Głupio było puścić – a nuż posądziłaby go o tchórzostwo – więc trzymał tę dłoń, aż doszli pod wejście do budynku. Puściła go wtedy sama i spojrzała mu prosto w oczy, lekko rozchylając wargi i jakoś tak nachylając się ku jego twarzy. Chciała na niego chuchnąć? Nie gustował w ustnych wyziewach, choć słyszał, że niektórych to podnieca.

– Tędy – powiedział niepotrzebnie, wprowadzając kod do domofonu. – Trzecie piętro.

Piknęło, drzwi otworzyły się i weszli do środka.

Następna godzina była zupełnie dziwaczna i nie przypominała niczego, czego dotąd doświadczył.

Moira zachowywała się zupełnie inaczej niż dziewczyny, które wcześniej zgwałcił czy okazjonalnie przeleciał. Nie nastawiała się do bicia, nie próbowała go gryźć, nie klękała pod-

dańczo z rozchylonymi ustami, nie drapała. Nie wrzeszczała na niego. Nie musiał jej trzymać, żeby nie uciekła. Nie potrzebował zrywać z niej ubrania czy pozbawiać przytomności.

Rozebrała się sama, a on patrzył. Zdjęła kurtkę, odwrócony krzyżyk i ciasne, skórzane spodnie. Pomimo panującego mroku zobaczył jej tatuaże. Było w nich coś dziwnego. Sigule i pentagramy ginęły pod naporem pędów i liści wytatuowanej róży. Róża. Nie rozumiał.

Po co tatuować sobie chwast?

A potem jakoś tak przyłgnęła do niego i dotknęła ustami. Przyciągnęła go do siebie, a potem wsunęła język do gardła. Jej skóra nie była typowo zimna, ale wręcz gorąca i smakowała wanilią. Objęła go i wtedy... wtedy stracił nad sobą kontrolę. Szeptala jego imię. To pewnie dlatego. Nie wiedział.

– Co to było? – spytał potem, gdy zapaliła papierosa. Naga i spowita różowym dymem wyglądała jak wcielenie samej Lilith.

– Kochaliśmy się – powiedziała.

– Myślałem, że pieprzyliśmy – zażartował.

– Nie – zaprzeczyła. – Kochaliśmy się.

– Daj tego różowego peta – powiedział. Po chwili zaciągnął się piżmową pałeczką. – Kochaliśmy się? A co to znaczy? – spytał.

– To znaczy, że jesteśmy inni. Ty i ja.

– Jesteśmy chorzy – sprecyzował.

– Tak.

– Psychopaci?

– Tak. Pieprzeni psychopaci. Socjopaci. Świry. Kuku na muniu.

Zboczeńcy. Co tam sobie chcesz – powiedziała. – Podobało ci się?

– Tak – przyznał i zaraz dodał: – Ale nie było to zbyt mądre.

Zamkną nas.

– Tak – zgodziła się. – Jeśli się dowiedzą, że jesteśmy mocno walnięci, na pewno to zrobią. Tak zrobili z Tomaszem.

– Kim?

– Tomaszem – szepnęła. – Tak miał na imię mój facet. Durne imię, tak samo jak twoje. Powinni kiedyś zrobić badania o korelacji durnych imion i durnego losu ich właścicieli.

– Co się z nim stało? – spytał.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – Po raz pierwszy się skrzywiła, widział to pomimo różowej mgły.

– Tak.

– A masz jakiś alkohol?

– Jest w regale.

Po chwili siedziała na łóżku z butelką wyciągniętego Jacka Danielsa i dwiema szklankami. Nalała obficie do obu i nie czekając, aż Edmund weźmie swoją, upiła spory łyk.

– Tomasz – zaczęła – zawsze był jakiś popieprzony. Nie dręczył zwierzątek, zero narkotyków, brak etapu „wyszumienia”. No wiesz: nie rabował, nie gwałcił, i tak dalej. Bardzo niezależny i pewny siebie – zawsze się dziwiłam, że w ogóle przetrwał okres dojrzewania.

Nie załapał się nawet do żadnego gangu. Zwykły frajer. Ale fajny w łóżku. No, a potem...

Urwała. Nie ponaglał jej.

– Wciągnął się w jakieś dziwne towarzystwo. Wtedy już się znaliśmy. Myśleliśmy nawet o standardowym kontrakcie małżeńskim, wiesz, te wszystkie sumowane punkty statystyczne. Może nawet byłby bachor? Tomasz pracował jako tłumacz okultystycznych transkrypcji, zaczęliśmy myśleć nad

sprzedaniem jednej nerki pod mieszkanie... Standardowe sprawy. A potem coś mu odbiło. Zaczął

chodzić na jakieś spotkania i inaczej się zachowywać. Mówił o jakiejś monogamii... W pewnym momencie powiedział, że mnie kocha. „Kocha”, wyobrażasz sobie? Wyśmiałam go, nie rozumiałam, o co mu chodzi. Miałam taką minę, jak ty teraz. Zaczął coś pieprzyć o sektach religijnych, o kłamcach... Więc... no sam wiesz.

Wiedział. Każdy znał numer telefonu do Inkwizycji: sześć, sześć i sześć.

– Zabrali go – podjęła po chwili. – Zapewne najpierw psychoterapia, a potem obóz koncentracyjny i krematorium. Może nawet coś z niego zrobili? Jakąś lampę? Nigdy się nie dowiedziałam. Ale potem... zmieniałam się. Zaczęłam myśleć o tym, co się stało. I teraz jestem popieprzona.

Zaciągnęła się papierosem.

– Kemper już chyba nie wierzy, że coś ze mnie będzie – dodała.

– Łażę na te spotkania, ale wiem, że jest o krok od wystawienia mnie Inkwizycji. Chyba będę musiała dać mu dupy, ale kiedy na niego patrzę... – Wzruszyła ramionami.

Coś oświetliło okno, pewnie reflektor z Wieży Inwigilacji. W jego świetle wydała mu się niezwykle krucha, słaba, delikatna. Nie wiedział czemu, ale uniósł się nagle i dotknął jej ramienia. Tu również widniał pęd: wąski, oplatający sigule, o zgrabnej kresce kolców.

Przesunął palcem aż do jednego z czerwonych pączków.

– Dlaczego róża? – spytał.

– Uważam, że jest piękna. Czerwona, jak krew. I ma kolce. – Uśmiechnęła się smutno. – Dziwny chwast. Z jednej strony wydaje się wyjątkowy, ale z drugiej może być przyczyną

cierpienia.

– Tak jak to – powiedział, przysuwając się bliżej. Dotknęła ustami jego ust. Przymknęła oczy.

– Dokładnie tak.

III

Wszystko się zmieniło.

W zasadzie nie miał pewności, co się działo. Był jednak silniejszy i było to widać. W pracy zasuwał jak mały motorek, strzelając z hukami klawiszami maszyny do pisania. Ciało nabrało sprężystości, wylewała się z niego energia. Współpracownicy instynktownie zaczęli okazywać mu więcej szacunku. Czuć było, że jest na najlepszej drodze do skoku wyżej w firmowej strukturze dziobania.

Zauważyło to kilka firmowych samic. Ocierały się o niego przy lada okazji, ale odpychał je bezczelnie, złapiąc kolejny kubek kawy.

Jedną trzepnął nawet w nachalną łepetynę – zupełnie jak za starych, lepszych czasów.

Nie interesowały go. Była tylko Moira.

Spotykali się prawie codziennie – z początku u niego, potem u niej. Miała świetny, przestronny apartament w getcie imienia Artura Schopenhauera, wyliczonym o ponad dziesięć punktów statystycznych wyżej niż jego marny Stirner. Nie mógłby tam wejść z powodu mniejszej liczby punktów, wyrobiła mu więc gościnną przepustkę, dzięki której przepuszczano go przez kolczaste druty. Musiał tylko zakładać na ramię opaskę z żółtym pentagramem. Z początku czuł się trochę nieswojo – getto Moiry wyglądało na znacznie czystsze i bardziej ekskluzywne – ale szybko nauczył się przemykać bocznymi uliczkami do jej kamienicy stojącej przy ulicy Lovecra-

fta. Stawał pod bramą i odruchowo zakrywając ręką opaskę, naciskał guzik domofonu. Nigdy nie pytała, kto idzie: drzwi otwierały się z cichym brzęczeniem.

Obejmowała go, kiedy tylko wchodził do przedpokoju, i prawie natychmiast zaczynali się kochać. Wciąż upierała się, by tak nazywać to, co robili. Kochali się więc. Z początku to wystarczało, ale – im częściej u niej bywał, tym bardziej czuł, że to za mało, że trzeba czegoś więcej. Coś się zmieniło. Czasami siedzieli po prostu wtuleni w siebie, wpatrzeni w durne, telewizyjne programy. Coraz częściej też rozmawiali. Dziwne, nietypowe konwersacje. Mówiła, że o nim myśli, kiedy go nie ma. Mówił jej to samo. Powiedziała, że czuje coś jakby potrzebę widzenia go i dotykania, słuchania jego głosu, wdychania jego zapachu. To musiało być coś biologicznego, jakaś nie-bezpieczna chemia – bądź co bądź oboje byli chorzy. Wyznał, że ma podobnie. Spojrzała wtedy na niego, długo nie odwracając wzroku.

Siadali do przyrządzanych przez Moirę posiłków – wychodziły jej fatalnie – i jedli razem. Potem znów się kochali. I śmiali się.

Śmiali się, zakrywając usta, bo nie był to normalny, złośliwy śmiech.

Brzmiało to jak jakaś jego zdegenerowana, chorobliwa forma.

Zdecydowanie byli nienormalni.

Moira nie czytała książek. Chciał jej kilka przynieść, ale uznała to za stratę czasu. – Opium dla ludu – zacytowała jakiegoś mało znanego filozofa. – Bez sensu. To słowa. Tego nie ma.

Pomimo jej podejścia uparł się i przyniósł swoją ulubioną książkę, wyjątkowo sfatygowany egzemplarz. Cały po-

zlepiany plastrem, z wyblakłą okładką i pożółkłymi kartami. „Po drugiej stronie lustra i co Alicja tam znalazła” niejakiego Lewisa Carrolla.

– Znam – powiedziała Moira. – Widziałam ekranizację. To horror dla dzieci, do generowania podstawowych traum. Ta, jak jej tam, Alicja przedostaje się do świata za lustrem. Robi tam niezłą jatkę i morduje panującą tam królową, tak?

– Nie – zaprzeczył. – To stary egzemplarz z inną treścią. Oryginał. Zobacz: wydali go ponad 50 lat temu, tuż przed zawiadzeniami historycznych publikacji literackich. Przeczytałem go ostatnio, tym razem na poważnie. Wcześniej... tylko kartkowałem. Mówi o świecie, gdzie wszystko jest na odwrót.

– Po co?

– Co: po co?

– Na Szatana, Ed! Jest jak jest. – Wzruszyła ramionami. – Po co czytać, że jest inaczej? Nie rozumiem.

Zmieszał się.

– Może dlatego, że inaczej jest z nami – powiedział wreszcie. Moira nic na to nie odrzekła, ale wyciągnęła mu z ręki książkę i zaprowadziła go do łóżka. Więcej nie rozmawiali już o czytaniu.

Postanowili, że nadal będą chodzić na spotkania grupy, aby nie wzbudzać podejrzeń. Ale, ku zaskoczeniu Edmunda, leczenie skończyło się dla niego po zaledwie dwóch sesjach. Po drugiej, w trakcie której opowiadał o sukcesach w pracy, do gabinetu wezwał go doktor Kemper.

– Jest pan zdrów – obwieścił lekarz, zaciągając się swoim nieodłącznym cygarem. – Przyznam, że jestem zdziwiony, ale nie uważam, by dalsza terapia była konieczna. Jest w panu siła, której wcześniej brakowało. Bierze coś pan? Jakiś opioid?

– Nie. Niech mi pan da papierosa, zapalę – rzucił Techny.

Psychiatra zachichotał.

– O, właśnie o tym mówię. Siła, energia, pewność siebie, a nawet arogancja! Gratuluję! To widać po oczach, panie Edmundzie, po oczach! Coś w nich panu błyska... Było takie określenie na te błyskotki, teraz nie pamiętam... nieważne zresztą. Jest pan zdrowy. A jak panu znowu odwali, serdecznie zapraszam.

Edmund prychnął pogardliwie i wyszedł z gabinetu. Czuł, że odprowadza go pełen zawodowej satysfakcji wzrok lekarza.

Zima przyszła znienacka, temperatura spadła gwałtownie do minus piętnastu, a potem dwudziestu stopni. Ale nie mróz był naj-gorszy, a śnieg. Mokry jakiś i lepki, na ziemi zamarzał w brudne, lodowe czapy. Ludzie deptali po nich, nerwowo biegając od sklepu do sklepu. Zbliżało się święto Samhain, na lady wystawiano trupie główki, szkielety i wizerunki demonów. Pełgały porozstawiane znicze i czarne świece. Brzęczały mosiężne kociołki do gotowania świątecznych ingrediencji, w powietrzu huczało od inwokacji puszcanych na wszystkich radiowych stacjach. Jak zwykle podskoczyły ceny kotów; każdy chciał kupić jednego na rytualne zarżnięcie.

Czarne kury były w zasadzie nie do zdobycia.

Świąteczna atmosfera zawitała i do pracy. Sekretarka Ewa latała po pokojach i zbierała zapisy na Świąteczny Kocioł. Wielkie, mosiężne cholerstwo przytargali z piwnicy Edmund z Bugerem, tak samo jak widły i dwie wyłysiałe nieco miotły. Nie mogli znaleźć chochli – w końcu okazało się, że szefostwo upchało ją za stosem starych wydań „Periodyka Statystycznego”. Podniecona Ewa i jeszcze dwie stare baby z księgowości

poleciały na targ po symboliczne przyprawy – z reguły syntetyczne, wysmrodzone świństwa: flaki otrutego człowieka, ropuchę, ślepiec traszki, żabi ogon, puch ze skrzydeł nietoperza i tym podobne nonsensy.

– W życiu nie przełknę tego świństwa – odgrażał się Buger, ale nie udało mu się zepsuć świątecznego nastroju. Narzekał więc tylko, że nie ma co liczyć na imprezę formatu tej sprzed trzech lat, gdy szefostwo zakupiło na ofiarę podrasowanego co prawda, ale zawsze noworodka. Dopiero Klaus z dystrybucji przypomniał mu, że sytuacja była wówczas wyjątkowa, gdyż świętowali przeniesienie firmy do nowego, czyli obecnego, budynku.

Im bliżej do święta Samhain, tym bardziej spięta stawała się Moira. Zastaniała okna, wstawała w nocy z łóżka, dreptała po mieszkaniu. Mówiła, że święto ją denerwuje.

– A ciebie nie? – pytała. – Kiczowate gównno. Myślisz, że Szatana obchodzi, ile wyżresz z Kotła? I ten owczy pęd. Gdzie tu egoizm?

Święta, święta, wszędzie te zasrane święta. Durny jarmark. Trupie maski, znicze... W telewizji nie ma nic innego. Te filmy... Wciąż puszczają to samo. Ile razy można oglądać „Fausta” czy „Małego Twardowskiego”?

– To klasyki. Zawsze je puszczają, jak „Zwycięską dysputę z Kłamcą” czy „Omen”.

– I te pieprzone inwokacje w supermarketach! Nie znoszę sklepów w święta. Wciąż potykam się o te wyjące „hu hu hu” pseudo-wiedźmy z plastikowymi miotłami!

– Moira... wracaj do łóżka.

Posłuchała, siadając na skołtunionej pościeli. Ale coś było nie tak. Podciągnęła nogi pod brodę, nie patrzyła na niego. Jej róża lśniła w blasku płonących na zewnątrz zniczy.

– Jesteśmy sami – powiedziała wreszcie.

– Nieprawda.

– Jesteśmy sami, Ed. Zupełnie sami. Jesteśmy pieprzonymi socjopatami. W końcu nas znajdą i ześlą do obozu. Obetną mi włosy na diabelskie chwosty sprzedawane na zaszranych jarmarkach, a z ciebie zrobią mydło.

– O, Lucyferze... Moira, przestań.

– Długo tak nie wytrzymam – powiedziała, kładąc się obok niego. Położył dłoń na jej niewielkiej, sterczącej piersi; czuł, jak bije jej serce. Ścisnęła go za rękę.

– Po prostu znajdziemy ich, Ed.

– Kogo?

– Wiesz kogo. Takich jak my. Kłamców.

– Ja pierdzielę, Moira! – Zabrał dłoń, przesunął nią po swojej twarzy. Pięknie.

– A co? – Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. – Myślisz, że nie istnieją? Istnieją. I są tacy jak my. Muszą być tacy jak my.

– Wierzą w Kłamcę, nie w Szatana.

– No to co?

Westchnął. Zza okna dobiegały inwokacje. *In nomine... in nomine Dei nostri Satanus Luciferi excelsi...*

– Ja pierdołę! – Moira zerwała się z łóżka i zatrzęsnęła okno. – Nie wytrzymam już tego piszczenia ani sekundy dłużej! – Drżała. W

zasadzie, cała się trzęsła. Który to już raz? Piąty? Szósty? Ile jeszcze potrwa, nim do końca się rozsypie?

– Moira...

– Odwal się, Ed! – Pociągnęła nosem, przecierając oczy palcami.

Płakała? Coś z nią było zdecydowanie nie tak. I nie cho-

dziło wyłącznie o Samhain.

– W porządku – powiedział.

– Co: w porządku?

Usiadł na łóżku, sięgając po leżącą na stoliku paczkę „Pinheadów”. Zapalił.

– Znajdziemy ich. Chyba nawet wiem jak.

IV

Podwórko było zasyfione najróżniejszym szmelcem.

Trwała tu chyba budowa, którą przerwano z uwagi na opady śniegu. Z ziemi wystawały zardzewiałe druty, jazgotał uwiązany na łańcuchu pies. Z wielkiej zasy wystawały sztywne nogi jakiegoś martwego pijaczka. Getto imienia Woltera nie należało do najprzyjemniejszych.

Pod krzywą kamienicę na ulicy Tortur 15 podeszli razem, choć wcześniej wędrowali osobno. Był to zapewne zbytek ostrożności, ale zdroworozsądkowa paranoja, jak oznajmiła Moira, nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Nie było tu domofonu, drzwi na klatkę schodową stały otworem. Weszli. Chłód nie zniknął: na klatce nie działały ka-loryfery.

Kolbe powitał ich w małym, obskurnym mieszkanku z dymiącą nieco kozą. Dopiero piecyk dawał miłe ciepło, od którego parowały popękane okna. Mężczyzna wskazał im dwa krzesła. Nastawił wodę w starym emaliowanym czajniku.

– Satanista? – spytał, gdy nalał już im herbaty, czystej, bez żadnych dodatków. Edmund wzruszył ramionami.

– Wierzący, niepraktykujący.

– A ty?

– Praktykująca. Ale nie za bardzo.

Kolbe pokiwał głową.

– Jest pan kłamcą? – spytał wprost Techny.

- Nie lubię tego określenia.
- Wyznawcą Kłamcy? Akolita?

Kolbe westchnął, siadając za stołem. Herbata parowała.

- Co wiecie o tak zwanych „kłamcach”? - spytał. - Macie pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi?

- Coś tam wiem... - powiedział Edmund. - Moim zdaniem niepotrzebnie was prześladują. Pijecie podobno krew i zjadacie ciało Kłamcy. Jak dla mnie brzmi to całkiem normalnie - dodał ugodowym tonem.

- Niezupełnie tak to wygląda. To nieco bardziej skomplikowane.

Ale zostawmy ten temat. Może spytam inaczej: co wiecie o „Dyspucie Oskarżyciela z Kłamcą”, jak to nazywają w waszym Kościele?

- Eee... coś tam było... o chlebie chyba... - zaczął Edmund, ale przerwała mu Moira.

- Ja wiem. Chodziłam do szkółki sobotniej, zapisałam się nawet do „Pustyni”... taka organizacja młodzieżowa, inwokacje, Proklamacje do Szatana i takie tam pierdoły... - Machnęła z lekceważeniem ręką. - „Dysputa...” to podstawowa wykładnia wiary satanistycznej.

Szło to jakoś tak... Kłamca spotyka się z Oskarżycielem, czyli Szatanem, na pustyni i zaczynają rozmowę. Kłamca podaje się za syna stwórcy świata, który rzekomo stworzył nawet samego Szatana, choć nie ma na to żadnych dowodów. W każdym razie robi cuda i tak dalej. Zwodzi tłumy, głosząc kłamstwa niezgodne z naturalnym porządkiem świata. Są to kłamstwa, nielogiczne oszustwa, których reguły nie sprawdzają się w życiu, przeciwstawne prawom natury - recytowała, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. - Ale Szatan pokonuje go w dyspucie.

– Tak? – zainteresował się Kolbe. – A jak to dokładnie wyglądało? Ta „dysputa”?

– Szatan z początku proponuje Kłamcy, by stworzył swą mocą chleb, jeśli naprawdę, tak jak deklaruje, chce uzdrowić świat. Proponuje mu tym samym zdroworozsądkowe rozwiązanie na podstawowe bolączki: głód i nędzę. Skoro Kłamca potrafi robić cuda, niech zrobi coś pożytecznego, zamiast pieprzyć farmazony. Kłamca gada jednak jakieś głupoty o tym, że chleb nie jest najważniejszy, i zostaje wyśmiany. Następnie Szatan uczciwie proponuje Kłamcy wszystkie królestwa świata w zamian za zwykłe oddanie mu pokłonu. Kłamca wszakże unosi się pychą i jak tłumaczyła mi akolitka ze szkółki, to chyba jedyny moment, w którym jego reakcje są w miarę normalne.

W końcu Szatan chce wystawić na próbę moce Kłamcy: jeśli bowiem Kłamca rzeczywiście je posiada, to niech je zademonstruje. Mówi mu, żeby skoczył na przykład z wysokiej skały, co dla takiego cudotwórcy nie powinno stanowić większego problemu. Kłamca odmawia jednak i tego, i tym samym zostaje zdemaskowany. Te całe cuda okazują się, jak widać, zwykłą ściemą dla naiwniaków.

Kolbe pokiwał powoli głową. Ale Moira jeszcze nie skończyła.

– Niestety – kontynuowała – pomimo przegranej dysputy, Kłamca nadal chodzi po świecie i podburza tłumy. Dochodzi w końcu do tego, że jako terrorysta zagraża naturalnemu porządkowi społecznemu. Zostaje więc, zgodnie z prawem, skazany na śmierć przez ukrzyżowanie. Ale kłamstwa Kłamcy żyją nadal i jego akolici głoszą, że zmartwychwstał, dokonał więc ponownie czegoś wbrew świętym prawom natury. Wtedy Szatan ogłasza jako swój znak odwrócony krzyż,

by za pomocą tego symbolu zawsze przypominać o oszustwach Kłamcy... – skończyła z wypiekami na twarzy. Kolbe patrzył

na nią w milczeniu, powoli mieszając stygnący napój.

– A co, gdybym ci powiedział, że ta interpretacja nie jest prawdziwa? – spytał wreszcie.

– Jak to: nieprawdziwa?

– Kłamliwa, wykrzywiała to, co się naprawdę zdarzyło. Zmanipulowana. – Kolbe uniósł szklankę i wypił łyk herbaty. – Widzisz, moje dziecko – odezwał się po chwili – żyjemy w świecie, w którym rząd, czyli Władza, wszedł w mariaż z Kościołem. Ten rachunek w pełni się opłacił, gdyż wcześniej stosowane filozoficzne teorie kontroli społecznej spaliły na panewce. Zasadą rządzenia stało się zbydlęcenie człowieka.

– Jakie zbydlęcenie? W końcu człowiek w satanizmie to najwyższa wartość – zaprzeczył Techny.

– Mówisz nie o satanizmie, lecz o humanizmie. Ale humanizm, który znasz, jest i tak boleśnie skrzywiony przez satanizm. Humanizm w wydaniu Szatana jest niepełny. Nawet jeśli nie wierzysz w coś, co jest ponad człowiekiem, prawdziwy humanizm każe wierzyć ci w przeznaczenie ludzi, w ich wielkość, duchową ewolucję... a takie teorie zawsze wyjdą poza narzucone przez Szatana okowy biologii. To jednak dopiero początek akademickiej dyskusji... – Kolbe odstawił herbatę i złożył dłonie w niewielki trójkącik. – Zróbmy zresztą tak: wyobraź sobie świat, w którym zło nie jest najwyższą wartością, gdzie najcenniejsze jest nie zło, lecz przeciwieństwo zła. Świat działający zupełnie na odwrót.

– To absurd – powiedział Edmund. – Taki świat nie miałby prawa funkcjonować. Nie mógłby istnieć.

– A jednak. Byłby to świat, w którym Kłamcą jest Szatan,

a sam „Kłamca” jest Prawdą, Zmartwychwstaniem i Życiem. Czy taki świat nie byłby lepszy od tego?

– Nie sędzę. – Techny pokręcił głową. – I jak? Cały świat byłby tak zupełnie zmieniony?

– Nie, ale byłyby w nim inne wartości. Bez zmiany fizycznych i biologicznych praw tego świata.

– To jakieś bzdury.

– W tym świecie – nachylił się ku niemu Kolbe – byłbyś wolny.

– Jestem wolny. – Edmund skrzywił się. Zaczął wstawać od stołu, miał dość. – Robię, co chcę.

– Ed... – Moira złapała go za rękę. – Poczekaj...

– Nie. To jakieś głupoty. Niepotrzebnie przychodziliśmy.

– Nachylił się do niej i wściekły wyszeptał do ucha: – Nie widzisz tego?

Jest bardziej popieprzony niż my...! Chodź! – Szarpnął ją za rękę, aż wstała z krzesła. – Idziemy!

Kolbe zatrzymał ich dopiero przy drzwiach. W rękę Moiry wcisnął niewielką karteczkę.

– Nie rezygnujcie – powiedział. – Tu jest adres. Przyjdźcie. On na was czeka. Zawsze będzie czekać.

Wyszli, nie oglądając się za siebie.

To była noc, sowa noc Samhain, czarna jak skrzydła nietoperza.

Obejmował ją mocno, inaczej niż zwykle, z dziwną wściekłością, jak dawniej, jeszcze przed tym wszystkim. Krzyknęła; nie wiedział – z bólu czy z rozkoszy. W ustach poczuł smak krwi. Coś sobie przygryzł. Wargę? Język? A może

ugryzł ją?

– Edmund... – szeptała jego imię. – Edmund! Tak, tak!

Spojrzał w jej oczy, otwarte i lśniące pomimo mroku. I wtedy coś w nim pękło.

– Kocham... – wyszeptał. – Kocham...

– Cco...? Edmund...

– Kocham cię.

Katakumby śmierdziały wilgocią.

Na kamiennych wykuszach postawiono świece rozta-
czające dookoła magiczny, ciepły blask. Pośrodku sali stał oł-
tarz, dziwny, bo w zasadzie pusty. Nie skapywała po nim krew,
nie widzieli też ciała Kłamcy. Może trzymali je gdzieś indziej,
schowane. Wszystko jedno.

Kłamców było sporo. Odziani w jakieś zgrzebne drelichy
szepta-li do siebie nawzajem, dotykali się dłońmi. Nowo przy-
byli rysowali na ziemi niewielki symbol ryby. W powietrzu
unosił się nastrój radosnego oczekiwania.

– Ale czad – wyszeptała Moira. Chwycił ją za rękę. Tu,
pomyślał

nagle, właśnie tu mógł to zrobić bez przeszkód. – Po-
ważnie, Ed! Zaraz się zaczniesz, co?

– Pewnie tak.

– Chyba ciało Kłamcy trzymają w tym sejfiku w ścianie...
Co jesteś taki markotny?

– Zastanawiam się, w jakie gównno wdepnęliśmy.

Czekali. Wkrótce – a może po chwili wydłużonej w nie-
skończoność? – pojawił się Kolbe, odświętnie ubrany w jakieś
długie, białawe szaty. Staął za ołtarzem i spojrzał po zebra-

nych. Znów ten dziwny, maślany wzrok, pomyślał Techny. Zaczynało się. Kolbe uniósł rękę.

– *Pater noster, qui es in caelis...*

Huknęło wtedy, zupełnie niespodziewanie, jakoś głucho, z metalicznym łoskotem. Kłamcy zawyli, jakaś kobieta wydarła się histerycznie, zapłakało dziecko. Edmund odruchowo skoczył w lewo, w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą Moirę, ale i wtedy wpadła już dymiąca puszka. Gaz!, zdążył jeszcze pomyśleć. I rzeczywiście. To był gaz.

Kłęby dymu wypełniły całe pomieszczenie w trzy sekundy.

Techny chciał zwymiotować, ale nie mógł. Oczy łzawiły, kapało z nosa i z ust. Słyszał, jak Moira zanosi się spazmatycznym kaszlem.

– Moira – wychrypiał jeszcze w akompaniamencie wszędobylskich jęków i wrzasków. – Moira...

A potem stracił przytomność.

V

Wiele razy próbował przeanalizować to, co przytrafiło się później. Na wiele różnych sposobów. Aż do samego końca.

Inkwizytor wydał mu się zimny. Wyobrażał go sobie zupełnie inaczej: jako jakąś demoniczną postać otuloną czarnym płaszczem.

Ale w asyście policyjnej Inkwizycji pomiędzy leżącymi i skrępowanymi ciałami przechadzał się niepozorny urzędnik. Niewysoki, stary, w szarym garniturku z wpiętą w klapę stalową broszą: czaszką kozła spoczywającą na dwóch skrzyżowanych piszczelach. Ulizany, z przedziałkiem i niewielkim wąsikiem na dwa palce. Przypominał skompromitowanego dawno temu komika, Charliego Chaplina.

Wyglądał śmiesznie.

Ale był zimny. Potwornie zimny. Wiało od niego autentycznym nadnaturalnym chłodem.

– Kolbe – odezwał się lekko zachrypniętym głosem. – Nigdy się nie nauczysz, co? Sprowadziłeś nam, jak widzę, nowy narybek?

– Mnie... weźcie mnie... zamiast ich...

– Weźmiemy cię, Kolbe. Weźmiemy. Zabierzcie go – rzuć jakiegoś dryblasowi z czarnym cekaemem. Kiedy spełniono polecenie, zawołał kolejnego strażnika i dokończył: – Nie wymęczyć. Nastraszyć, pogłodzić i wypuścić. Może do jakiegoś nowego psychiatry...?

Za kilka tygodni znowu zaczniesz ich zbierać i ciągać po piwnicach.

Idiota, ale bardzo przydatny. No, świetnie, świetnie... Co my tu mamy? Do góry ją.

Wyciągnęli Moirę. To była sekunda, może krócej. Techny poczuł, jak wyszarpują jej dłoń z jego dłoni. Chciał krzyknąć, ale nie mógł.

Wszystko widział i słyszał jak przez mgłę.

– Ilu? – Inkwizytor podawał Moirze piersiówkę. Skrzywiła się, ale łknęła trunek.

– Chyba koło czterdziestu, nie wiem.

– Uciekł ktoś?

– Nie, raczej nie.

– Zuch dziewczyna. Świetnie się spisałaś. Sam podliczę ci statystykę. Osobiście. Bilet do LaVeya masz zapewniony.

– Dziękuję, Inkwizytorze.

– A ten tam? Co z nim?

– Nic. Urzędas taki. Od statystyki. Edmund Techny. Spoktkałam go w trakcie inwigilacji Kolbego, u doktora Kempera.

– I?

Wyszeptała mu coś do ucha. Inkwizytor zachichotał.

– Naprawdę? No, zobaczymy.

Nachylił się do Edmunda i trzepnął go dłonią w twarz. Techny zamrugał.

– Słyszysz mnie? Ej, ty! Jak ci tam... Edmund! Słyszysz, co do ciebie mówię?!

– Ja... – wychrypiał Techny. Wszystko wirowało.

– Ta dziewczyna, Moira. Zdradziła cię. Rozumiesz? – Inkwizytor zbliżył twarz do Edmunda. Powiało lodem, jedno oko Inkwizytora wyglądało na nienaturalnie przekrwione. – Przeliterować ci? Patrz na moje usta! ZDRADZIŁA CIĘ. Słyszysz?!

– Sły... słyszałem.

– Co do niej czujesz? Co do niej teraz czujesz?! Odpowiadaj!

– Kocham... kocham ją.

Inkwizytor skrzywił się z niesmakiem.

– Ech, no tak. Zabrać go – polecił. – Do obozu. Na mydło, jak pozostałych. Widać, że jest kompletnie nieuleczalny. Moja droga – zwrócił się znowu do Moiry. – Gratuluję raz jeszcze. I wybacznij ten słowny żarcik, ale muszę to powiedzieć: jesteś bardzo dobrą satanistką.

*Warszawa, getto imienia Juliana Ursyna Niemcewicza,
listopad 2012*

„Modlitwa do Szatana” w tłumaczeniu Stanisława Korab-Brzozowskiego

Fantastyka

wydanie specjalne

numer 3 (40) 2013

cena 9 zł 99 gr brutto (10 zł netto)

Jay Lake

Gwiazdy
nie śnią

Wojciech Szyda

Popiołun

Jarosław Błotny

Labensraum

María Dunkel

Niewolnik

Opowiadania konkursowe

Karolina
Bujnowska-
Brzezinska
Złodziej dusz

Rafał Panas
Krew Casanova

Wydawnictwo Fantastyka

www.fantastyka.pl



SPACER
MEDIA

Wojciech Szyda

Popiołun

Opowiadanie ukazało się w „Fantastyce Wydaniu Specjalnym” 03/2013 oraz w antologii *Rok po końcu świata* wydanej nakładem Powergraphu.

„Zniknie zła krew
ciało i chleb
tylko nie proch i pył Sodomy”.

Armia, Popioły

„I zatrąbił anioł trzeci
i spadła z nieba wielka gwiazda, gorejąca jak pochodnia i
upadła na trzecią część rzek i na źródła wód; a gwiazda ma
imię: Piołun.

i trzecia część wód zmieniła się w piołun i wielu ludzi
pomarło od wód, gdyż stały się gorzkie”.

Objawienie św. Jana Apostoła (8, 10–11) (w przekł. J.
Wujka)

I

Z salonu fryzjerskiego wylewał się na ulicę strumień
farb.

Spływał pod latarnię, formując wokół słupa barwną ka-

łużę. Tłuste pigmenty lśniły oleiście w słońcu. Drzwi wyglądały jak rana u operowanego pacjenta, jednak dla większości mieszkańców Miasta Popiołów był to widok zwyczajny. Lokal na parterze kamienicy na rogu Tęczowej i Krwistej znany był od kilku pokoleń. Dobrze znano również osobliwe zwyczaje, jakie wiązały się z jego użytkowaniem: zabiegi w salonie stanowiły rodzaj rytuału, a im więcej kolorowych ścieków, tym lepiej: ulica była od tego, by je przyjmować. Właściciel – Hermann von Plata, mistrz fryzjerski oraz artysta perukarski, jeden z najbardziej cenionych w Mieście Popiołów wirtuozów grzebienia, nożyczek i brzytwy – zwykł z dumą wypuszczać barwne strugi przez drzwi swego zakładu. I nikt nie myślał robić mu z tego powodu wymówek, wszak byłoby to igraniem z tradycją, która miała swoje prawa. Zresztą później z reguły i tak przychodził deszcz, który zmywał wszystko do ściekowych studzienek.

Właśnie teraz, jak niemal zawsze o tej porze i w tym miejscu, Hermann von Plata oddawał się pracy. Nie żałował pigmentów wylewanych na upierzenie klienta, który siedział z półprzymkniętymi oczami w czeluściach bordowego fotela, zatopiony w nim niczym owoc w galarecie. Daleki był od śmierci, choć pogrążony w przyjemnym bezruchu. Wiedział, że w rękach balwierskiego mistrza staje się swoistym dziełem sztuki: fryzjerską martwą naturą. Chwilowa zmiana statusu: letarg drapieźnika, odpoczynek po walce i przed walką – sena sjesta dumnego rycerza ringu. Odchylona głowa, nieruchome skrzydłonie spoczywające na specjalnych podpórkach, umięśniony tors wyprężony pod fryzjerskim ręcznikiem – sam Feniks, legendarny zapaśnik Ligi Śmierci, poddawał się zabiegom upiększającym przed jutrzejszym pojedynkiem.

Przechodząca obok zakładu striptizerka Szpulka zerk-

nęła przez szybę. Na wystawie stały woskowe głowy służące do ekspozycji peruk. Fryzjer był zadowolony, bo Feniks zgodził się jeszcze przed farbowaniem – poprzedzonym cięciem i trymowaniem upierzenia – odstąpić za darmo garść swoich piór; będą mogły posłużyć do wyrobu szlachetnych perupiószy. Wielu w Mieście Popiołów marzyło o posiadaniu takiej ozdoby. Autograf na plakacie i certyfikat podpisany własnym szponem przez sławnego zapaśnika miały uwiarygodnić pochodzenie „produktu”, choć Hermann von Plata nie użyłby nigdy tak plebejskiego słowa – perupiószce były w jego mniemaniu dziełami sztuki co najmniej takimi jak dzieła sztuki jubilerskiej. W istocie cacka z domieszką opierzenia sławnych person osiągały w Mieście Popiołów ceny porównywalne z jubilerskimi precjozami.

Szpulka skręciła obok latarni, nie zauważywszy, że ubrudziła sobie obcas farbą. Oddalała się, mając w pamięci wystawę z perukami. Z daleka ekspozycja wyglądała jak stół rzeźnika – ustawione w rzędzie, odrąbane tasakiem łby. Dręczył ją koszmar, że kiedyś na wystawie ujrzy własną głowę.

Mistrz ringu odpoczywał tymczasem, oddany zabiegom mistrza fryzjerskiego, wolny od takich skojarzeń.

Stroszenie piór, malowanie twarzy – charakteryzatorski teatr wojennych barw.

Myślał o striptizerce Szpulce. Chadzał na jej występy, miał rezerwację na najbliższy spektakl – za sześć dni. Było coś uzależniającego w jej tańcu, zdumiewająca sztuka obrotów, gdy dziewczyna zamieniała ciało w wirujące wrzeciono. Powstawała wtedy smuga ruchu, ledwo uchwytna dla wzroku. Stąd brał się jej pseudonim.

Szpulka kręciła się, maskując swoją nagość, zupełnie goła, lecz wizualnie nieuchwytna – wirowała w tańcu z nie-

wiarygodną szybkością, na granicy postrzegania. Ten zamazany obraz był niczym woal, dyskretnie *dessous*; gdyby się zatrzymała, stałaby się ordynarnie naga.

Jak radziła sobie z równowagą, jak oszukiwała błędnie, jak zwalczała nudności i zawroty głowy, pozostawało tajemnicą. Za występ brała dużo, słyszał, że tyle, ile on za walkę. Choć mogły to być plotki.

Balwierz skończył farbowanie i przystąpił do szlifowania dzioba. Zrosnięta z nosem twarda narośl musiała być nieskazitelnie czarna i lśniąca podczas walki. A to już jutro wieczorem. Feniks niemal słyszał, jak rozbrzmiewa mosiężny gong. O wynik był spokojny, jak zawsze. Nigdy dotąd nie przegrał, był poza konkurencją. Ten nowy zawodnik, jak mu tam – Ptakolec? – nie będzie wyjątkiem, zresztą nie legitymował się spektakularnymi osiągnięciami. Feniks czytał jego charakterystykę, znał bilans walk. Miał świeże raporty od trenera, choć niewiele z nich pamiętał – jakieś ogólniki, że trudny charakter, że postać tajemnicza, przybył do Miasta Popiołów nie wiadomo skąd, miał kłopoty z pamięcią, podejrzenie amnezji, jednak przez psychiatrów został w końcu dopuszczony do walk... Cóż go to tak naprawdę obchodziło? Jedyna różnica, że Ptakolec nie wierzył w media, nie odgrażał się, że dokona zmiany starego porządku, obali króla i tak dalej. Nie, Ptakolec był skromny. Dziennikarzom powiedział krótko: „Wygram”. Chwalebny minimalizm, trzeba przyznać. Nawet tym trochę Feniksowi zaimponował. „Niech się młodzież uczy pokory”, uśmiechnął się, czując, jak fryzjer lakieruje mu nasadę nosodzioba.

Następnie odpłynął myślami do klubu tanecznego i odtwarzał z pamięci ostatni występ Szpulki. Tylko czasami, w marzeniach (bo inaczej by nie śmiał) Feniks zatrzymywał ją w

tańcu i oglądał nagą. Jak teraz, gdy był pogrążony w senso-erotycznym otępieniu, a farby płynęły przez drzwi zakładu fryzjerskiego niczym ejakulat jego mokrych snów.

Dzień przed zawodami klatki czyszczono z resztek zeschniętej krwi, odchodów i strzępów pierza. Nie było to łatwe, gdyż organiczne pozostałości przylegały do krat i nie dawały się usunąć jednym zamaszystym ruchem, jak brud z płaskiej powierzchni. Nie, one wymagały wprost drobiazgowego czyszczenia – pręt po pręcie, aż cała konstrukcja woliery nad ringiem zaczynała odzyskiwać blask; następnie, już po wyczyszczeniu, polerowano ją specjalnymi smarami, które dodatkowo roznosiły woń zwiędłych kwiatów, tak lubianą przez mieszkańców Miasta Popiołów. Teraz woliery prężyła się dumnie, choć jeszcze przygasła, pośrodku hali sportowej. Sprzątacze okrążali klatkę i wlatywali do środka – dzierżąc w dziobach narzędzia oraz środki czyszczące. Wspomagali się przerośniętymi skrzydłami, które umożliwiały im utrzymywanie się w powietrzu, dopóki chwytne łapy nie zakotwiczą na kratkach. I to też była walka – z oporem materii.

Praca w której liczyła się precyzja, usunięcie każdego strzępu pierza, zakrzepłego guana lub zaschniętej krwi.

Na przemian wzlatający i opadający, a potem uczepleni krat czyściciele spełniali swój święty obowiązek: doprowadzali woliery do doskonałego stanu, by kolejny wieczór walk mógł się odbyć w należytej oprawie. Bo gdy publiczność już zasiądzie i zgasną światła, wtedy punktowe reflektory zwrócą się w stronę ringu, a ich blask wydobędzie z mroku efekt pracy czyścicieli: błyszczącą jak srebro klatkę.

Światło odbije się od niemal lustrzanej konstrukcji, a woń zwiędłych kwiatów popłynie ze specjalnych dozowników, by wdychający ją widzowie mieli przedsmak uczestnictwa w sportowym misterium.

Trupi zegar na ścianie odmierza czas. Zabalsamowane i usztywnione zwłoki zawodników, umieszczone w wielkich wskazówkach, służą za memento i symbol trwania. Denaci spoczywający w konstrukcjach kratownicowych są martwymi świadkami chwil, których nie doczekali – zginęli podczas walki, zgodnie ze swym sportowym przeznaczeniem. Ten rodzaj śmierci był ceniony najwyżej, a spoczęcie na powierzchni trupiego zegara stanowiło największy honor dla zawodnika Ligi Śmierci. Odtąd mogli okrążyć cyferblat wywyższeni, gdyż czas się już ich nie miał... Najwyżej punktowanych umieszczano we wskazówce godzinowej; niższych rangą w minutowej; ci z samego dołu tabeli trafiali do sekundowej, która, jako najdłuższa, mogła pomieścić większą liczbę zawodników. Czyściciele z zazdrością zerkali na trupie preparaty widoczne na tle wielkiej tarczy zegarowej – uwięzieni w kratownicach, martwi zawodnicy wydawali się paradoksalnie wolni, gdyż uwieczniono ich w chwale; chwale, której nikt już im nie odbierze. Byli jak fragment dzieła sztuki lub element wyposażenia ołtarza. Śmierć stanowiła dla nich wyzwolenie i wielki honor, a pamięć żyjących petryfikowała ów stan. Tymczasem czyściciele wykonywali – i będą wykonywać po kres swoich dni – pracę niższą, służebną, aby przeżyć moment małej chwały, gdy zabrmi gong, a im jako pracownikom technicznym dane będzie spoglądać na misterium walki.

Na razie jednak trwały żmudne prace – przeglądanie każdego kwadratu klatki, lustrowanie prętów i spojeń, by żadne zabrudzenie nie zostało przeoczone. W ruch szły

szmatki i płyny czyszczące przechowywane w ozdobnych flakonach, a później pasty do polerowania i nabłyszczacze o dusznej woni zwiędłych kwiatów. Woń świeżych płatków i kielichów byłaby nietaktem, choć nadal słyszało się o prostakach gustujących w takich pachnidłach; byli to głównie członkowie plebsu, mieszkańcy dzielnic nędzy. Podobno używali nawet perfum o aromacie świeżych owoców. Czyściciele nie posiadali się z oburzenia na myśl o tym, nie było bowiem nic piękniejszego i szlachetniejszego od zapachu kwiatnych wspomnień. Słodka i duszna woń rozkładu, która towarzyszyła ich pracy, wieńczyła dzieło, rozpylana dodatkowo podczas walk.

Poza furkotem skrzydłoni i kłapaniem dziobów w hali sportowej było cicho. Ta cisza zapowiadała już jednak – poprzez nieubłagane upływający czas, odmierzany trupimi wskazówkami – jutrzejszy wieczór, gdy rozlegnie się gong, a do klatki zaczną podfruwać kolejni zawodnicy, by zewrzeć się w śmiertelnym uścisku skrzydłoni, szponów i dziobów.

Jaskółczy Zaułek był miejscem zakazanych uciech. Zwano go tak, gdyż umożliwiał zaspokajanie niskich potrzeb, a jaskółki, jak wiadomo, latają nisko. Co prawda nie widywano ich tu wcale, jednak moc prostego skojarzenia była silniejsza i nazwa się przyjęła. Spacerujące wokół latarni drozdonki, perliczki czy pawiaraki, choć wywodziły się z ubogich dzielnic, były w rzeczywistości luksusowymi kurtyzanami, na specjalne życzenie klientów przebranymi za ulicznice. Elity lubiły się upadlać, czuć dreszczyk chodzenia do tanich dzielnic pełnych spelunek, a że były zbyt tchórzliwe, aby ryzykować prawdziwe wyprawy

poza swoją dzielnicę, organizowano dla nich ten teatr.

Wszystko było jak trzeba: śmieci na chodnikach, blade latarnie, kałuże, odgłosy pijatyk, a do tego dziwki wyglądające jak portowe kurwy, o prostych manierach i języku. W ten sposób tokujący członkowie patrycjatu – podstarzałe ptasiory i nieopierzone młodziki – mogli zaspokajać swe wyuzdane fantazje, nie ryzykując utraty zdrowia lub życia poza własną dzielnicą.

Cechą charakterystyczną tego miejsca był również zapach.

Swoista mieszanka potu, resztek jedzenia i tanich pachnidła. prostytutki używały perfum ze świeżych kwiatów – co było wyjątkowo ordynarne i w złym guście, jednak dodatkowo podniecało subtelnych i wykwintnych patrycjuszy. Tak pachniała tania miłość, więc rzucali się w jej wir, czerpiąc wrażenia multizmystowo.

Na wszelki wypadek Zaułek był lustrowany przez policję, oczywiście nienachalnie, o żadnym monitoringu nie mogło być mowy (w całej zabawie chodziło o dyskrecję); jednak dla bezpieczeństwa posyłano informatorów. Jednym z nich był Sępiołun, zwany krótko Sępiołem. Chude, tyczkowate sępisko przesiadujące w burdelach, ubrane w szary prochowiec i kapelusz z piórkiem, oczywiście z własnego skrzydła. Siedział przy barze, sączył gin (choć wolałby absynt) i znudzonym wzrokiem obserwował te same od lat zachowania klientów.

Grzech i upadek są bardzo powtarzalne, myślał sentencjonalnie, bo nie miał wiele do roboty, a napatrzył się dość i nic już nie mogło go zdziwić. Te same gesty, pozy, odzywki, śmiechy, kroki – przychodzą i odchodzą jak fale, choć trzeba przyznać, że od kilku lat nie przybywało amatorów obleśnych amatorów, jak nazywał ich na własny użytek.

Klienci się nie zmieniali, co nieco dziwiło Sępioła, który pracował tu już dobrą dekadę. Jakby zahamowano dopływ świeżej krwi, albo – co mniej prawdopodobne – młode pokolenie patrycjuszy było wysoce moralne.

Sępioł czasami opuszczał lokal i przechadzał się po okolicy.

Zataczał krąg, spacerując znanymi sobie trasami i skrótami, czasami dojrzał coś dziwnego, co zapamiętywał albo nawet zapisywał w notatniku. Jego raporty nie mogły się zawsze składać z frazy: „Nic się nie działo”. Każda drobna różnica, odstępstwo, nietypowe zachowanie mogły mieć wartość dla policji, a to za ich dostrzeżenie przecież mu płacono.

Tej nocy, poprzedzającej dzień kolejnego pojedynku Feniksa (tym razem z Ptakolcem, jakimś skrytym i mało ciekawym zawodnikiem – Sępioł interesował się walkami Ligi Śmierci), szedł jedną z uliczek prowadzących do Jaskółczego Zaułka. I wtedy coś zauważył.

Na chodniku leżała ptasica. Cyranka lub kukułka, nie widać było dokładnie, bo między jej rozwalonymi nogami leżał klient, przykrywając ją jak worek. Falbany zadartej spódnicy błyszczały niczym pęk krwawego kwiatu.

Czyżby robili to na chodniku? Rzadki widok, zwłaszcza że zimno... Sępioł podszedł bliżej, niby przechodząc na drugą stronę.

Nie chciał ich spłoszyć, choć wydawali się nieruchomi. Pewnie zasnęli pijani, wszak chłanie na umór było wręcz rytualnym zachowaniem bogatych klientów i ich „towarków”. Alkohol też musiał być podły, by czuli się autentycznie, więc tani gin lał się strumieniami, a jego jałowcowa woń niosła się po okolicy, wzbudzając mdłości.

Pochylony nad parą Sępioł poczuł ten odór. Śpią pijani,

starał się uspokoić, jednak coś nie pasowało. Po pierwsze, oprócz ginu było czuć coś jeszcze. Nie wymioty. Po drugie, czerwień halki i falban nie wydawała się barwą materiału. No i ciecz pod butami nie wyglądała na zwykłą kałużę. Sępioł schylił głowę – i wtedy opuściły go wątpliwości.

Na szyi mężczyzny zobaczył siną pręgę: podcięte gardło.

Mord...?! Pytanie było retoryczne, bo wszystko wskazywało na to, że oto w bezpiecznej dzielnicy, gdzie dziwki-aktorki grają zakazany teatr dla patrycjuszy, doszło do najgorszego.

Sępiołun pognął czym prędzej do lokalu, zatelefonować na policję.

Miejska legenda – dopóki Feniks wygrywa, dopóki Szpulka się kręci, Miasto będzie trwać. Miejska piosenka, uliczna przyśpiewka o żywym herosie i ziemskiej bogini, łączącej lubieżność ze skromnością, kobiecie doskonałej poprzez swój dziwny status: zawieszenie pomiędzy Dziewicą a Dziwką. Nocna tancerka, starożytna hetera, a jednocześnie *Venus pudica*, skromna niczym mniszka, dyskretna jak wiktoriańska dama. Jak ona potrafi to łączyć, jak mieści w sobie te przeciwieństwa – to zagadka egzystencjalna, tak jak zagadką jest niepojęta technika jej tańca.

Nie wiedzą jeszcze o tym, bo żyją wyobcowani, pod kłozami własnej samotności, lecz ulice już o nich szepczą, wyrażając podświadome potrzeby mas; w plotkach, przesądach i powiedzeniach już są łączeni, jakby ludowa mądrość znalazła symetrię, tajemną analogię pomiędzy nią a nim. Szpulka i Feniks. Nić i Popiół. Powtarzające się zmartwychwstania i

wieczny ruch: dwie zasady, dwa żywioły, nowe fundamenty dla znużonej świadomości elit, traktujących to w kategoriach sportu i rozrywki. Lecz doły już wiedzą, tworzą sobie bogów, śpiewają pieśni, kolekcjonują zdjęcia i artefakty, odciski szponów i kawałki sukni. Tu był, tamtędy przeszła, sława nosząca znamiona kultu, uskrzydłona marzeniem, coraz bardziej żywa wśród tych, którzy nigdy się z nimi nie zetkną, bo segregacja dzielnic jest w Mieście Popiołów zasadą świętą. Tam gdzie Feniks i Szpulka żyją jako celebryci o statusie półbogów, ich cielesna obecność nie zamanifestuje się tak jak wśród patrycjuszy, traktujących ich z szacunkiem, lecz z góry.

Elity mają inne bóstwa. Wdychają narkotyk zwany Prochem; po prostu Prochem, bez przydomków, jak Bóg niepotrzebujący imienia. Ów biały pył jest dla patrycjatu używką kultową, jego pierwsze zażycie to rytuał przejścia. Wierzą, że odradzają się dzięki porcjom Prochu, a Diler-Kapłan strzeże jego zapasów w świątyni obok siedziby wysokiego Ptakonium. Legenda głosi, że Proch to popiół z mi-tycznego Feniksa – żywej repliki stworzonej w epoce genetycznych szaleństw, gdy na fali nawrotu do antyku usiłowano odtwarzać świat starożytny. Firmy genetyczne zajmowały się tworzeniem sfinksów, chimer, pegazów, faunów i centaurów, mieszając genom ludzki ze zwierzęcym, co odpowiadało prawidłom wyobraźni potrafiącej jedynie zlepić elementy znanego, by powstawało nieznanne. Po tej epoce nie było już śladu, lecz pozostały bioarcheologiczne cacka: kawałek skrzydła Pegaza, węzowy skalp Meduzy, kwiat z uschniętym mózgiem Narcyza... W Mieście Popiołów najcenniejszy był jednak popiół po nieudanym eksperymencie z Feniksem. Stanowił artefakt założycielski Miasta, był sensem jego istnienia.

Proch miał cudowną właściwość: zapewniał swoistą nie-

śmiertelność członkom patrycjatu. Dzięki temu elity mogły rotować wewnątrz, niezagrożone wymianą podgryzających je następców-pretendentów. Było to trwanie cykli w cyklach. Każdy musiał się starzeć, lecz po zażyciu Prochu cofał się o jeden cykl, a tym samym jakby się odradzał. Specyfik potrafił zatrzymać życie, zapętlić proces starzenia, rozbrajając bombę śmierci. Małe zmartwychwstania, cykliczne powroty do punktu wyjścia, dzięki czemu życie trwało, powtarzane w sekwencjach, choć świat wokół się zmieniał.

Podobno zapas Prochu był na wyczerpaniu. Dwie dekady temu postanowiono zamknąć krąg władzy. Elity zaprzestały replikowania. Byli tylko oni – wąska grupa wybranych, dzięki narkotykowi właściwie nieśmiertelnych, nierozmnażających się nawet we własnym gronie – wszystko po to, by Prochu starczyło na dłużej.

Lecz kiedyś zapas się skończy. Co wówczas? Zacznął łowić i mordować samych siebie? Musieli zadawać sobie te pytania, jednak póki można, bawili się hucznie, korzystając z dostępnych uroków zatrzymanego życia – nakręcanego wciąż od nowa jak staroświecki zegarek. Etap po etapie. Cykl po cyklu. Sport i rozrywka miały wypełniać życie znudzonych elit.

Może dlatego byli ślepi i głusi na nowe zjawiska, zwłaszcza prądy religijne, elektryzujące dolne warstwy społeczeństwa żyjące w dzielnicach nędzy.

Ptakurator Falconi, szczupły i wysportowany sokół, siedział nad teczką śledztwa w sprawie zagadkowej śmierci w Jaskółczym Zaułku. Przeglądał wykaz dowodów rzeczowych. Właśnie dostał odczyt charakterystyki pierza znalezione na

miejscu zbrodni. W laboratorium określono jego kod; nie należał ani do prostytutki, ani do podstarzałego puchacza, który zginął między jej odnóżami tamtej pamiętnej nocy, gdy spanikowany Sępioł zaalarmował posterunek, a oni oczywiście ściągnęli telefonicznie śpiącego ptakuradora. Jeden z tych przypadków, gdy nie zważając na porę, trzeba się zwlec z miejsca spoczynku i gnać do czynności służbowych. Bo trup to trup, a już dwa trupy...

Strzępy pierza mogły stanowić najważniejszy dowód. Były to przypuszczalnie ślady sprawcy. A przynajmniej kogoś, kogo można postawić w kręgu podejrzeń – i skierować nań lampę śledztwa. Falconi nie miał co do tego wątpliwości. Ptakuratura posiadała pewien cenny rejestr: dysponowała zeskanowanymi sekwencjami kodów wszystkich legalnych mieszkańców dzielnicy patrycjatu. Odczyty zbierano dobrowolnie, jednak nikt nie odmawiał, bo grunt to bezpieczeństwo klasy rządzącej. Ułatwiało to znacznie pracę śledczych, wystarczyło uruchomić program porównawczy na maszynie komparatystycznej i poczekać na wynik.

Tak też Falconi postąpił. Wielki gruchot pod ścianą gabinetu zaczął sprawdzanie płytek.

Ptakurador oglądał zdjęcia denatów, podczas gdy maszyna burczała, robiąc analizę. Falconi czekał cierpliwie. Był ciekaw, czy w tak prosty sposób uda się naprowadzić śledztwo na właściwy tor. Magia dowodów rzeczowych – małych, niemal niewidzialnych zdrajców sprawcy.

Kawałki pierza zostały znalezione za szponami cyranki, jakby się broniła. Co prawda mógł to być ślad po poprzednim kliencie, który za bardzo ją przycisnął, lecz jak w takim razie wytłumaczyć obecność tych samych paprochów za szponami puchacza? I, co więcej, w jego rozciętej krtani? Ba, co nieco le-

żało nawet na chodniku, obok ich zespolonych zwłok.

Prask!, maszyna wyłapała zbieżność płytek.

Mechanizm się zatrzymał, co znaczyło, że wśród kilkunastu tysięcy matryc genetycznych ta należąca do podejrzanego znajdowała się prawie na początku. Szczęśliwy traf!

Falconi przetarł dziób chusteczką (noce były zimne, lecz w ciągu dnia panowała duchota) i zerknął na wynik. Zdziwił się bardzo, choć w swojej pracy niczemu nie powinien się dziwić. Będzie afera, pomyślał. I zaraz spróbował się pocieszyć: trudno, Miasto Popiołów jakoś przetrwa ten szok; nie takie rzeczy przetrwało.

Dla porządku uruchomił maszynę ponownie. Ryzyko pomyłki było jednak bardzo niskie. Nie należało zwlekać z dalszymi czynnościami.

Falconi przystąpił do pisania postanowienia o przedstawieniu zarzutów i nakazu rewizji. Jeszcze dziś zaczną go śledzić, by się nie wymknął, a jutro oficjalnie go przesłucham, zadecydował.

Maszyna do pisania stukąta pod jego szponami suchym *staccato*, a ptakurator starał się uspokoić myśli. Płaszcz rutyny to za mało przy oskarżaniu kogoś o takim statusie. Co na to powiedzą członkowie Ptakonium?

Cholera, pomyślał, po tym nic już nie będzie takie samo...

Główną walkę wieczoru poprzedziły, jak zawsze, pojedynki mniej utytułowanych zawodników. W Lidze Śmierci obowiązywała hierarchia i każdy adept musiał ją zaakceptować. Zanim zostanie gwiazdą, będzie musiał wziąć, i to nie jeden raz,

udział w walce poprzedzającej właściwy spektakl. Wiadomo było też, że im większa ranga pojedynku gwiazd, tym znaczejni wojownicy idą na rozgrzewkę, żaden to bowiem despekt występować przed silniejszymi.

A już zwłaszcza przed żywą legendą, jaką był Feniks – niepokonany w stu dziewięćdziesięciu dziewięciu walkach, król ringu od ponad dwóch dekad, właściwie Nadzawodnik, a dla wielu wręcz uosobienie Miasta Popiołów.

Dlaczego byli ptakami? Stanowili genetyczne echo eksperymentów z epoki proteomicznych szaleństw inżynierów molekularnych. Mieli być udoskonaloną wersją człowieka, *homo avis sapiens*, marzeniem ewolucjonistów o rasie inteligentnych małop-taków, które mogłyby przewyższyć na drabinie ewolucji ludzi spętanych ciężarem grawitacji. Po wielu próbach i błędach udało się wyselekcjonować hybrydalną odmianę, z lekkimi kośćmi i pierzem porastającym nowy organ – połączenie skrzydeł i rąk, zwane skrzydłońmi.

Przetrwali jako elitarna populacja, lecz z czasem zaczęli się rozwarstwiać – dolne klasy uległy degeneracji. Na podziały gatunkowo-biologiczne nałożyły się rozwarstwienia społeczne. I po bardzo długim czasie, gdy ludzkość istniała już tylko w ostatnich enklawach-miastach, w hybrydalnych formach lepiej lub gorzej przystosowanych do wciąż pogarszających się warunków naturalnych populacji – ptakoludzie utworzyli jedno z ostatnich miast na starej Ziemi, funkcjonujące na poziomie technicznym z początków XX wieku cywilizacji euro-atlantyckiej (z kilkoma odmiennościami wynikającymi z postcywilizacyjnych uwarunkowań). Tak przynajmniej

utrzymywali historycy odtwarzający przeszłość na zlecenie wysokiego Ptakonium – rady Miasta Popiołów.

Trwali więc, pogrążeni we własnych wyobrażeniach o świecie i o roli, jaką mieli w nim odegrać. Nie interesował ich pustynny, radioaktywny świat poza murami. Stanowili swoistą autarkię. Elity uzależnione od Prochu, kult Feniksa – wszystko stawało się zbiorową halucynacją, która paradoksalnie utrzymywała miasto przy życiu, choć wszystko było już przesiąknięte dekadencją, co najpełniej objawiało się w modzie, zwyczajach, strojach, zapachach, zamiłowaniu do estetyki rozkładu i gnicia. Jakby Miasto żerowało na własnej padlinie, wydziobując sobie wnętrzności od środka.

Ptak-wąż zjadający własny ogon. Skrzydlaty Feniks-Uroboros. Aż czas zatoczy koło i zamknie się cykl, a z popiołów, jakie po nim zostaną, nie narodzi się nowy Feniks – mityczny ptak, siłą wskrzeszony do sztucznego życia.

Są. Wiszą u samej góry – i wyczekują. Ptasie ślepiec świdrują się nawzajem, zawodnicy trwają w napięciu, gotowi do lotu, ponagla-ni przez publikę, która domaga się krwi i pierza...

Gong rozległ się dobrą minutę temu. Sekundowa wskazówka na trupim zegarze zatoczyła koło. Zawsze jeden z zegarów był używany jako stoper podczas zawodów.

A oni wciąż trwają, za nic mając ruch wskazówki.

Prask!, tęczy Koko Buszak wali w klatkę skrzydłem. Konstrukcja się trzęsie, dzwoni metalicznie.

Prask! Prask!, odpowiada przeciwnik, czarny Corvax Cruz.

Jego smolista skrzydła jeszcze bardziej kołysze wolie-

ra.

W końcu rzucają się na siebie przy aplauzie publiki. Pierwsze starcie jest typowo ptasie – dwa skrzydlate drapieżniki zwierają się pod górną kratą: skrzek, wizg, furkot. W ruch idą dzioby. Lecą pióra, tryska krew...

Zawodnicy odskakują, spadając majestatycznie na ring. Teraz grawitacja zmienia obraz walki. Zanim wzleczą – powalczą jak za-paśnicy. Starcie. Buszak pcha Cruza na liny, wałą w kratę; po chwili Corvax odpycha kolorowego przeciwnika i rzuca się na niego, lekko wzlatując z rozpostartym płaszczem czarnych skrzydeł. Błyskają szpony, specjalnie pomalowane na srebrno (mają przypominać haki). Publiczność wstrzymuje oddech. Jednak Koko imponuje swoją sprawnością jeszcze bardziej niż Cruz: rozpościera błękitno-zielone skrzydła i koziołkuje w powietrzu, unikając ataku czarnego ptasiora, jak nazywają go kibice.

Starcie jest nierozstrzygnięte, walka trwa.

Widownia domaga się krwi, a ta buzuje w żyłach zawodników, pompowana przez serca w opierzonych piersiach. Pulsuje też na widowni, publiczność jest jakby zamknięta we wspólnym krwiobiegu, zespolona zbiorową emocją, sportowym szałem. Adrenalina wydziela się i w ringu, i poza nim – niczym w naczyniach połączonych – a emocje na widowni rosną, osiągając szczyt, gdy wojownicy wzlatują nisko nad matą, zadziornie szarpiąc się nawzajem.

Nagle Cruz wykonuje niesamowity piruet. Przewrót w tył, w powietrzu. Staje na skrzydłoniach i tak oparty srebrnymi szponami odnóży chwyta Buszaka za szyję. Szpony zaciskają się wokół grdyki.

Koko jednak nie śpi, zna moc swoich mięśni. W odwecie czyni rzecz wręcz niewykonalną – wzlatuje na dwa metry, z

ciężkim przeciwnikiem uczeptionym karku, ryzykując rozdarciem gardła. Totalnie zaskakuje tym Corvaxa. A gdy są w powietrzu, Cruz jako balast musi kontr-atakować, inaczej Koko rzuci go na kraty. Podciąga się więc, puszcza szyję Buszaka, lecz chcąc się wyswobodzić, robi niewybaczalny błąd, bo oto nagle Koko chwyta go za nogi, unieruchamia, rozluźnia mię-

śnie swoich skrzydeł – i wałą się na ring. Corvax spada przygnieciony ciężarem rywala.

Prask!, upadek z ponad dwóch metrów niemal odbiera Cruzowi przytomność. Ale to nie koniec, tęczyowy zawodnik idzie za ciosem, kuje żelazo póki gorące, i gdy czarny ptasior leży oszołomiony, on wzlatuje na wysokość woliery, po czym tuż spod dachu klatki przypuszcza atak. Celuje dziobem prosto w nagi kark przeciwnika – i wbija się w niego z impetem, wykonując perfekcyjny „skokolot”.

I już jest po Corvaksie.

Część publiczności wyje, zachwycona, druga część wstrzymuje oddech lub zawodzi smętnie na znak niezadowolenia. Pewnie przegrali w zakładach bukmacherskich.

Koko rozpościera tęczowe skrzydła amazońskiego wzoru, błyskają flesze. Rozlega się jego temat muzyczny: indiańska muzyka bębnow i fletni Pana. Sędzia przy stoliku dzwoniem oznajmia koniec walki. Rywal leży pokonany, zdruzgotany, zabity. „Piękne zwycięstwo, sam Corvax Cruz wysłany do wieczności”, mówi spiker. „O to właśnie chodzi w Lidze Śmierci”, dodaje drugi. Zgadza się, że dzisiejszy zwycięzca zajdzie wysoko i wielka przed nim kariera. No, ale obaj byli w końcu zawodnikami ze ścisłej czołówki.

Koko nachyla się nad przeciwnikiem i odwraca go twarzą ku lampom. Publiczność skanduje: „Tak, tak, tak!”, Buszak udaje, że nie słyszy, przykłada skrzydło do ucha, kokietuje

widownię żądną ostatniego, mocnego akcentu, uświęconego tradycją walk Ligi Śmierci. Skandowanie się wzmacnia. Koko uśmiecha się, gładzi łagodnie włosy Corvaxa Cruza, a następnie wydziobuje mu oczy.

Lampowe radio w domu Szpulki transmituje dzisiejszą walkę. Tancerka chodzi po pokoju nago, robiąc drobne porządki. Później zaparza niebieską herbatę w imbryku, zapach wodorostów roznosi się wśród mebli i bibelotów. Przypomina jej się bajka z dzieciństwa, sama nie wie dlaczego, może przez ten zapach? Pierwsze zdanie: „Ciało Ptasiego Króla spoczęło w hamaku z włosów martwej nimfy”. To o mnie i o nim, myśli Szpulka. Początek smutnej bajki, którą opowiada się w Mieście Popiołów dzieciom jako swoisty wstęp do melancholii i dekadencji dorosłego życia. Spiker mówi coś podniesionym głosem, tancerka zastyga w napięciu. Zaraz się zacznie. Opary herbaty unoszą się jak dym czarodziejskiego kadzidła. Szpulka słucha, stając się – wraz z tysiącami innych mieszkańców, którzy nie będą oglądali walki z bliska – zbiorowym uchem.

Koko Buszak wciąż tańczy, oddalając się w stronę szatni. Lecz dla widowni ważniejsza jest najbliższa przyszłość. Niedawne emocje, choć gorące, wydają się letnie w porównaniu z tym, co nastąpi. Gdy tylko porządkowi uprzątną klatkę, zetrą matę, sprawdzą ponownie ring, zapadnie ciemność, po której zabrzmie największy gong, i mosiężne tony popłyną przez widownię, zapowiadając występ tego, który jest uosobieniem Miasta Popiołów.

Bo tak naprawdę wszyscy przyszli tutaj, aby przekonać się, że nic się nie zmieni. Dopóki Feniks wygrywa, Miasto Popiołów trwa.

Odradza się wraz z nim, z każdym zwycięstwem, zgodnie z wyćwiczoną taktyką mistrza, który zawsze pod koniec jakby słabnie, ma chwilę gorszej formy, nieraz leży już na deskach, lecz to tylko trik, bo zawsze podnosi się, wzlataje i ku przerażeniu zdyszanego rywała rozpościera skrzydłonie – już myślał, że go ma, że dokonał niemożliwego, lecz nie, Feniks powstaje jak zmartwychwstały duch Miasta i w imieniu jego mieszkańców zaczyna nacierać. Kilkoma chwytami i ciosami masakruje przeciwnika, doprowadzając walkę do definitywnego finału. To on jest bowiem Zegarmistrzem Śmierci i ma przywilej wysyłania innych do wieczności, nigdy odwrotnie. Pozornie pokonany, zawsze sam z siebie się odradza, poza życiem i śmiercią, jakby zyskiwał nowe życia z każdą wygraną walką.

Walka to jego popiół i odrodzenie. Drzemie w nim moc ognia.

Choćby Miasto gasło – wraz z Feniksem zapłonie na nowo, bo mistrz udzieli mu swego żaru.

Więc gdy Buszak odtańczył już swój triumf, a ciało Corvaxa Cruza odwieziono do kostnicy, gdzie będzie nocą balsamowane, po kwadransie dla służb technicznych zapadła ciemność i na tle niesłyszalnego bicia tysięcy ptakoludzkich serc zabiło miedziane serce gongu.

Zanim rozpocznie się walka – już wie. Lustra odbijają jego dumną postać, lśnią skrzydła pokryte złocistym pyłem. Teraz

nazywa się inaczej, lecz gdy zwycięży, stanie się El Dorado, Pozłacanym Królem.

Wiedział już tej nocy, gdy potajemnie czekał na tyłach zakładu fryzjerskiego, między śmietnikami, do których pomocnicy wysypywali pióra. Ich strzępki unosiły się w blasku gazowej latarni jak płatki śniegu albo zarodniki pyłącego drzewa, on jednak czekał na inny towar, pragnął go niczym alchemik kamienia filozoficznego. I otrzymał – całą siatkę. Trzeba jeszcze było coś zrobić, ale na to miał całą noc, której nie zmarnuje na sen. Nie potrzebował go wiele, dośpi w dzień. Był ptakiem nocy.

Więc czekał, czując wewnętrzną siłę i pewność czerpaną ze skradzionego sekretu.

Trzeba wyjść na ring tylko po to, by potwierdziła się wizja potęgi i chwały. Złocisty pył na tłustych piórach będzie błyszczał w świetle lamp, przyciągając wzrok i odwracając uwagę od czegoś innego, ważniejszego. Tak go zapamiętają, tak wejdzie do Ligi Śmierci: czarno-złoty wojownik, który dokona niemożliwego.

Lustra odbijały go w pełnym podziw, szklanym milczeniu.

Wyjął flakonik z silną esencją zwiędłych tuberoz i czegoś jeszcze – wciągnął aromat w nozdrza. Następnie wylał sobie wszystko na czerep, czując, jak owiewa go słodko-mdlący smród. Uwielbiał zapach rozkładu. Kwietna padlina, czyż może być coś piękniejszego?

Usłyszał gong, wszedł impresario – zaczynała się walka.

Szpulka bywała już na pojedynkach, widywała Feniksa na

żywo, więc jej wyobraźnia bez trudu wyświetlała ring, a w nim walczących zawodników. Po wejściu, odegraniu tematów muzycznych, reakcjach publiczności, plastycznym opisie wyglądu zawodników przez komentatora zaczął się szybki, rwany komentarz spikera radiowego. W tle doping publiki, odgłosy uderzeń i metaliczny brzęk klatki, słyszalny dzięki zainstalowanym w pobliżu mikrofonom. Dynamika walki zawsze była podobna, w przedostatnim akcie Feniks słabł, bywał bliski przegranej – aby odegrać w końcu teatr odradzania się z prochów.

Szpulka piła niebieską herbatę, patrzyła w fusy i czuła podskórnie, że coś się wydarzy. Spiker nagle jakby stracił rezon; musiał szukać słów. Publiczność westchnęła kilka razy, jakby mistrz pozwolił zabrnąć Ptakolcowi za daleko. Dialogi komentatorów wyrażały zdziwienie. „Co robi, co on robi?”.

A Szpulka patrzyła w fusy, rozdygotana, i powtarzała jak zacięta płyta: „Ciało Ptasiego Króla spoczęło w hamaku z włosów martwej nimfy... Ciało Ptasiego Króla...”.

Idą, niosąc go na specjalnych noszach. Zabalsamowany Corvax Cruz, lśniący od laminatu, z dziobem wycelowanym w niebo, przypomina kościelnego dostojnika. Ma na sobie paradny szlafrok wyszywany symbolami Ligi Śmierci, jego złożone skrzydłonie owijają go niczym miękki kokon. Zawodnicy niosą ciało Cruza w stronę zdemontowanej wskazówki zegara. Zegar zatrzymano specjalnie na czas pogrzebu, gdyż tak zezwala Reguła Ligi. Corvax spocznie wzdłuż wskazówki minutowej, obok dwóch innych zawodników: Lerhana Quilonga oraz Magnetycznego Joe. Jest sztywny i spreparowany, jego

transport i zainstalowanie nie sprawią problemów celebriansom i ich pomocnikom.

Czyściciele klatek prężą się, wypinając pierś – właśnie skończyli pracę, ostatecznie zanieczyszczenia usunięto, zmieciono pajęczyny i kurz. Wskazówka czeka, by przyjąć kolejnego pasażera. To uroczysty początek jego podróży do cyklicznej wieczności. Odtąd zespoli się w jedno z czasem. Wszystko w Mieście Popiołów jest bowiem cyklem, kręgami na wodzie czasu.

Główny celebrians wygłasza formułę pogrzebową. Kończy słowami:

—

Z popiołu powstałeś, żelazem się staniesz.

Składają go we wskazówce zegara, makijaż zakrywa wczorajsze siniaki i rany. Również oczy są na swoim miejscu – oczywiście sztuczne. Implanty błyskają złowrogo, gdy stalowe kłamry zaciskają się wokół szyi, skrzydłoni, pasa i odnóży trupa. Teraz już nie spadnie.

Dodatkowo jego kości zostaną znitowane z metalem; monter zabiera się do dzieła, podchodząc pod uniesioną w tym celu wskazówkę.

Nitownica w jego dłoni zaczyna pracę, czyściciele spuszczaają wzrok.

Kiedy zespolenie ze wskazówką jest pełne, specjalny dźwig unosi ją ku ścianie, gdzie na rusztowaniu czekają kolejni monterzy.

Cyferblat wygląda, jakby pączkował trupami. Tak Corvax Cruz kończy swoją drogę do zimnej wieczności, przytworowany na wielki wieków do wskazówki wielkiego zegara.

Kondukt pogrzebowy zaczyna się rozchodzić. Wszyscy myślą o jednym: że wczoraj wieczorem nie tylko dumny

Corvax zakończył żywot. Umarło coś jeszcze. I ten drugi, niewidzialny pogrzeb w ich głowach przytłacza wszystko inne: każdą myśl, obawę i emocję.

Coś się skończyło i nieprędko przestaną to przeżywać, bo całe Miasto stało się nieoczekiwanie świadkiem żałobnej ceremonii.

II

Sępiołun kręcił się pod domem podejrzanego. Znali już jego rozkład dnia, choć trudno było w nim o regularność. Obiekt potrafił siedzieć od rana do wieczora w domu, potrafił wychodzić na cały dzień i znikać na mieście. Nie było w tym żadnej logiki, konkretnego planu, jakby życie rzucało nim tu i tam. Co było w sumie zrozumiałe w sytuacji, w jakiej się znalazł, uznał Sępioł po namyśle. Siedział bezczynnie na ławce, paląc papierosa, i czekał. Dom był ciemny i pusty; obiekt wyszedł i udał się w inne miejsce, pod którym wyczekiwał go drugi informator.

Będzie afera, kurwa, jak nic będzie afera, myślał Sępioł, mając na względzie osobę, którą zlecili mu obserwować.

Chętnie by się napił, lecz nie mógł. Piołunówka, jego ulubiony alkohol, od którego wzięło się jego przezwisko, była trudno dostępna.

Poza tym był na służbie, więc wolał nie ryzykować i nie przytępiać swojej spostrzegawczości – głównego narzędzia pracy. Pomyślał o smacznej padlinie, podawanej w jednej z budek na pograniczu. Jak tylko skończy dyżur, pójdzie się tam porządnie najeść.

W końcu musi żyć w zgodzie ze swą sępią naturą.

Feniks wybierał się do klubu nocnego POP-iół mocno przygnębiony. Gdy rezerwował bilet, nie mógł przypuszczać, że będzie się tam udawał po swej pierwszej porażce od ponad dwóch dekad.

Bilety na występy Szpulki należało co prawda zamawiać z dużym wyprzedzeniem, jednak Feniks miał wrażenie, że myśli o innej epoce.

Świat zwałił mu się na głowę. Sześć dni temu przegrał z Ptakolcem, obecnie sławą medialną, celebrytą na ustach i dziobach wszystkich, obwołanym nowym mistrzem Ligi Śmierci. Od tej walki wszystko uległo diametralnej zmianie... Nie odejdzie już w glorii niepokonanego, zabagnił sobie bilans zwycięstw, coś pękło. Przez kilka dni gazety pisały o przypuszczalnym końcu starego mistrza, wieszczły zmianę lidera. Co prawda sugerowały też walkę rewanżową, lecz Feniks nie był pewien, czy sobie jej życzy. Wolał nie kusić losu z obawy przed powtórnią klęską.

Wysiadł z samochodu na osobnym parkingu. Zapłacił szoferowi i nie kazał mu czekać – kto wie, jak skończy się noc. Lubił wracać sam pustymi ulicami. Teraz było jeszcze wcześniej, wolał, by go nie rozpoznali, dlatego przemknął korytarzem dla VIB-ów, nie zdejmując ciemnych okularów.

Wszedł bez słowa na salę i zaczął przeciskać się w stronę sceny. Różni zawodnicy siedzieli tu i ówdzie; obecność jednego z nich wydała się Feniksowi dzisiaj wręcz symboliczna. Poczł się przez to jeszcze bardziej podle.

Guano siedział przy osobnym stoliku: król frajerów, zawodnik-porażka, drobny oszust i mistrz niefartu, chodząca suma wszystkich klęsk i rozczarowań związanych z karierą w

Lidze. Było w tym sporo jego winy – pech, owszem, lecz głównie jego gówniarskie wybryki, skłonność do fanfaronady i natura oszusta (zaczynał jako „sroka”, czyli drobny złodziej kieszonkowy), która nigdy z niego nie wyparowała, choć można się było początkowo łudzić, że wstępując do Ligi Śmierci, zerwał z niechlubną przeszłością. Natura zawiodła jednak ptaka do lasu: kilka afer, nielegalny doping, używki, oszustwa finansowe, dorabianie poza ringiem, wymuszenia rozbójnicze, czynne paserstwo – to wszystko wydawało się w jego sytuacji wręcz jakimś nadmiarem, a już na pewno głupotą; jego kariera wszak się nieźle zapowiadała. Konfliktów z prawem przybywało, do tego zaliczał wpadki medialne i towarzyskie. W końcu Guano się doigrał i komisja dyscyplinarna zawiesiła jego występy (usunąć go nie mogli, bo członkostwo w Lidze było dożywotnie). A jednak Guano dawał radę, choć wszyscy wiedzieli, że zabagnił sobie życie wręcz koncertowo. Jakby brał udział w jakimś zakładzie – myślał Feniks, zniesmaczony całą sprawą – tyle że nic nie zyskiwał, a wygraną było co najwyżej nowe pogardliwe miano. Kiedyś nazywał się inaczej, jednak dziś każdy w branży (a i zwykły ulicznik na mieście) mówił o nim: „Guano”. Czy się przejmował? Chyba nie, więc albo był do cna zdemoralizowany, albo umiał ukrywać ból pod jakimś niezwykle twardym pancerzem.

Feniks, dziś w wisielczym humorze, zrobił coś, czego nie zrobiłby wcześniej – pochylił się nad tym ptakoludzkim odchodem.

—

Cześć Guano, jak leci? — spytał, przechodząc obok jego stolika. Sam czuł się jak guano i może to tłumaczyło owo nagłe, przelotne zbratanie się z odszczepieńcem. Na dnie wszyscy jesteście do siebie podobni.

—

Nie narzekam, Feniks — zaskrzeczał tamten irytująco. — Jak w zegarku, jak w zegarku, *trrrriiii*... To znaczy tykam i bzy-kam, he, he!

Pijąca obok dziwka roześmiała się. Guano puścił do niej oko.

Feniks miał ochotę puścić pawia, bo zdał sobie sprawę, że zbrukał samego siebie, odzywając się do Guana. Dodatkowo będąca świadkiem dialogu dziwka wydała mu się wyjątkowo nieapetyczna: podstarzała strusica w ostrym makijażu *á la vampire*, fuj!

—

Zapomnieć, chwila słabości, zdarza się — mrucał do siebie wściekły, przeciskając się do wolnego stolika blisko sceny.

Zawsze miał tam rezerwację. Teraz pierwszy raz zasiądzie jako pokonany. — Hej, hej, Niezwyciężony! — zanucił autoironicznie. — To już nie o mnie...

Usiadł. Poczł miękkosć skórzanego fotela, jakby ogarniała go ciepła dłoń. Zdjął okulary, zamrugał – przyjemny półmrok klubu.

Występ Szpulki da mu przynajmniej chwilę wytchnienia; zapomni o tym, co się wydarzyło. Lecz zanim *show* się zacznie, znów podsumuje swoje życie. Musiał, musiał to roztrząsać; nie potrafił inaczej, nie był wszak Guanem.

Drink, mrok sali, muzyka – może przesadzam, myślał, nie zważając na klientów wskazujących go skrzydłońmi (odkłonił się fryzjerowi Hermannowi von Placie), czuję się jednak zdetronizowany...

Nieważne bowiem, że wciąż dużo znaczył, ważne, ile stracił, a spadł z naprawdę wysoka. Był wcześniej żywą le-

genda, zjawiskiem, tworzył osobną kategorię. Innych utalentowanych zawodników dzieliła od niego przepaść. Może za dużo oczekiwał, wierząc, że zawsze będzie na szczycie? Mistrz jest zmęczony, ma do tego prawo, ale nie jest już mistrzem.

Z dozowników na ścianach roznosił się zapach zwiędłych kwiatów: mieszkanka fuksji, begonii i róż. Feniks wciąż gnął woń w płuca, powróciły wspomnienia. Przecież jeszcze niedawno... Był ptasim królem, czempionem, tłumy ekscytowały się jego walkami. Legendarny Feniks, niepokonany od ponad dwudziestu lat, jego kariera była całą epoką. Fani w zachwycie chłonęli próby bicia rekordów, liczyli zwycięstwa, sporządzali tabele triumfów. Zwano go Zegarmistrzem Śmierci, bo liczba zawodników odsyłanych przez niego na zasłużony (wieczny) odpoczynek rosła z iście zegarową regularnością.

W hali walk przybywało tarcz, wieszano jedne obok drugich, zdawało się, że zegary rozmnażają się przez pączkowanie, obrastają w swoje własne kopie, zajmując coraz większy obszar. Wskazówki dźwigały zmumifikowane zwłoki, a Feniks, choć szczęśliwy z każdego kolejnego zwycięstwa, cały czas odsuwał moment, gdy sam zawiśnie na tarczy zegarowej. Wiedział jednak, bo obyczaj dawał mu tę pewność, że zostanie wywyższony ponad innych, wyniesiony nad inne zegary, tuż pod sufit, a cyfry oraz obramowania cyferblatów zalśni najpiękniejszym blaskiem, by oddać hołd mistrzowi wszechczasów.

Teraz, po niespodziewanie przegranej walce z Ptakolcem, nie miał już tej pewności. Przeżył, nie trafił na tarczę, lecz było to w pewnym sensie gorsze od śmierci. Ostatkiem sił odepchnął dziobiącego Ptakolca, rzucił nim o kraty – lecz zamiast wrócić do walki, poprosił o czas, po czym stracił zmysły. Sędziowie wykorzystali specjalną klauzulę regulaminu i

przerwali pojedynek.

Obudził się na noszach. Czuł się upokorzony, coś w nim pękło. Dalsze klęski mogły oznaczać tylko jedno: stopniowy spadek notowań, niżkę w tabelach, zły obrót losu. Jakby zegar jego życia ruszył wstecz, cofając karierę króla zapasów ku skromnym początkom, o których dawno zapomniał.

Teraz czekał na występ gwiazdy wieczoru, Szpulki. Ona jest wciąż niepokonana w swoim rzemiośle, pomyślał bez zadości.

Zanim wyjdzie, przed gośćmi przewinie się barwny korowód. Zblazowane piosenkarki, początkujące striptizerki, nędzni kabareciarze oraz lokalni sztukmistrze. Głód takich cudów był wszechobecny. Typowa nietypowość, zwykła niezwykłość, wszystko uczesane kiczowatym grzebieniem rozrywek tego świata – a na tępej głowie czapka pobrzękująca dzwoneczkami. Rozrywka ponad wszystko!

Lecz on czekał tutaj, w klubie POP-iół, wyłącznie na nią – a przyszedł wcześniej tylko po to, by czuć powoli narastające napięcie. Tancerka unieważni ich wszystkich, skasuje swoim występem – jak zawsze. Bo Szpulka była legendą, podobnie jak do niedawna on sam. Może dlatego czuł do niej sympatię? Jej profesjonalizm, ożeniony ze scenicznym geniuszem, nie przestawał go fascynować.

Kątem oka ujrzał, że fryzjer obserwuje go, zaciągając się cygarem. Hermann von Plata awansował, odkąd strzygł i trymował elitę – jako mistrz fryzjerski sam pewnie czuł się jej częścią. Choć dla nich zawsze będzie tylko fryzjerem... Podobno obsługiwał wszystkich członków wysokiego Ptakonium, najwyższej rady Miasta Popiołów.

Rozparty w fotelu wyglądał krzepko, co zdenerwowało Feniksa. Balwierz kojarzył mu się z klęską. To właśnie von

Plata robił mu wizaż i stylizację przed feralną walką, więc umysł Feniksa irracjonalnie przypisywał mu winę. Odwrócił się, by go więcej nie widzieć.

Klienci siedzieli przy szklanych stolikach z wtopionym krwio-biegiem-oświetleniem, imitacją ptasich żył, które roz-prowadzały płynne światło, biegnące tajemniczymi kanałami, rzucające mistyczny blask, jakby stolik był podmorskim głowonogiem albo organem wewnętrznym. Na przykład sercem wyrwanym z piersi Ptakolca, pomyślał wściekle Feniks, albo moim własnym.

Pijąc kolejne drinki w tempie kolejnych pokazów, jakby próbował się zasłonić przed wątpliwej jakości atrakcjami, do-czekał w końcu występu tej, dla której przyszedł tu tego wie-czoru.

Konferansjer (wysoki kondor w czarnym fraku z białymi epoletami) zapowiedział Szpulkę.

Nad sceną zapadła ciemność. Świetlne krwiobiegi w sto-likach zaczęły pulsować. Jakby powtarzały uderzenia serc wi-dzów. Po chwili rozległo się wycie wiatru, syknęły urządzenia do suchego lodu i w kłębach dymu przy niemrawych strobo-skopowych błyskach po scenie zaczęła się skradać kobieca postać. Jak kot albo modelka na wybiegu (*cat walk, cat walk*), z wdziękiem luksusowego zwierzęcia – tylko białe jak śnieg mi-seczki stanika oraz skąpe majteczki błyszczały w ciemności, zdradzając szczegóły anatomii.

Biel odcinała się od czerni – ostro, bez światłocienia. Robiło to naprawdę duże wrażenie: bielizna źródłem światła.

Sala zdawała się zalana morską wodą. Ogniki papiero-sów i stoliki-koralowce – czerwona grafika czarnych prze-strzeni.

A na wyspie tańczyła ona, tancerka-rozbitek, monsuno-

wa zjawa.

Feniksowi mocą skojarzeń przypomniła się fraza: „Ciało Ptasiego Króla spoczęło w hamaku z włosów martwej nimfy”. Stara bajka...

Sala powoli przestawała istnieć, znikła ze świadomości widzów. Zapominali o własnej obecności, jakby ich zmysły – kanały postrzegania – nasiąkały bez reszty muzyką i ruchem.

„Taniec jest niesłyszalną muzyką, muzyka jest niewidzialnym tańcem” – przypomniął sobie słowa Szpulki z wywiadu. Ładne, choć nie jej własne.

Zrzucając jedwabie, Szpulka pozostawała niewidoczna; stapała się z ciemnością i tylko trzymana w palcach bielizna lśniła księżycowo. Nie wirowała jeszcze, więc gdyby teraz włączyć światło, blask schwytałby ją nagą. Byłoby to niezwykle ordynarne, pomyślał

Feniks, urzeczony widowiskiem. Oprawa występu nie dopuszczała takiego *faux pas*; światło i dźwięk były perfekcyjnie zsynchronizowane, im więcej światła, tym mniej było widać szczegółów jej anatomii.

Natężenie luksów rosnęło wraz z intensywnością tańca. I rzeczywiście – Szpulka zaczynała już wirować, kręciła się dookoła jak wokół niewidzialnej osi, a widzowie zapadli w trans, nie odrywając od niej wzroku.

Coraz jaśniej, coraz więcej ciała. Lecz im więcej, tym mniej, zamiast bioder wirujący motek, rozmazana plama, ruch silniejszy od optyki, obroty zacierające widoczność, można się jedynie domyślać kształtów. Malarska nieostrość mglistych i rozmazanych plam – piersi, łono, pośladki – a tu i ówdzie przebarwienia różu i czerwieni, w miejscach gdzie skóra traciła pigmentacyjną jedność. Szpulka była plamą i ruchem, syntezą koloru i tańca, stapiającą obie sztuki w epicy-klach

niemożliwych układów. Widzialna – lecz niewidoczna. Widoczna – lecz ukryta w pędzie, który był jej żywiołem i zarazem woalem.

Wszyscy zachodzili w głowę: jak umie wytrzymać takie tempo? Chyba miała specjalny zmysł albo dodatkowy organ równowagi.

Kiedyś w jednym z brukowców ukazał się fotoreportaż.

Sprytny wróbel twierdził, że nagrał Szpulkę urządzeniem z opcją wolnego odtwarzania – i gdy zwalniał obraz, widać było jej nagość wraz z pikantnymi szczegółami. Gazeta zamieściła nawet kilka zdjęć – stop-klatek. Wszystko okazało się jednak montażem. Szpulka i jej impresariat zażądali przeprosin i sprostowania, w sprawę wdali się członkowie wysokiego Ptakonium, tytuł niemal zamknięto, traktując fałszywkę naszym błuźnierstwo-świętokradztwo. Szpulka była kimś więcej niż tancerką – była Baleriną Miasta, jego ptakobiecym uosobieniem, tak jak Feniks – samczym.

Jej taniec to cykliczny rytuał, seria niemożliwych (choć możliwych) obrotów wokół osi, dla wielu – podświadomej osi istnienia: jej, ich samych, całego Miasta.

Podczas gdy Szpulka wirowała, a Sępiołun czuwał, w innej części Miasta, po drugiej stronie rzeki, tajemnicza postać szła pochylona ulicą. Targane wiatrem gazety ścieliły się u jej stópnym parodie kwiatów rzuconych pod nogi zwycięzcom. Nikt go tu nie znał, dzielnica służyła za miejsce nocnej eskapady. Szedł w stronę wysypiska śmieci, gdzie wywożono popioły ze starych kwiatów. Przybysz chciał ucałować usta prochu, zanurzyć się w nim i wytarzać; wysypisko było miejscem,

gdzie będzie mógł zaspokoić swoje brudne żądze. Był tu przedwczoraj, również pod osłoną nocy, i wtedy dokonał pierwszego aktu swojego planu, mordując dwie ulicznice. Skuszone wizją zarobku gołębnice prędko szczyły w jego objęciach. Stręczyciel też nie miał szans. Chudy gawron z długim nożem padł ze skręconym karkiem, nie wiedząc, z kim się zadał. Przybysz miał je zatem, choć jeszcze zbyt świeże, a przez to chwilowo wstrętne. Będą musiały skruszeć. Zawlókł je wtedy na wysypisko i wrzucił do popiołu, by tam wyschły i zaczęły na niego. Będą teraz cudownie nieruchome, martwe i całkiem uległe – gdy już je posiadzie, całując usta prochu.

Poprawił kaptur, spod którego wystawały strzepy perupiósza (element kamuflażu), i skręcił w stronę wielkiej bramy za cmentarzem.

Na sali wszyscy zamarli. To musiało kiedyś nastąpić, lecz nie w ten sposób. Szpulka przewróciła się podczas tańca, w pełnym blasku reflektorów. Upadła, gdy u jej stóp wylądowała butelka rzucona z widowni. Flaszka rozbiła się, wytrącając tancerkę z równowagi. Feniks aż znieruchomiał, tak był wstrząśnięty. Inni widzowie westchnęli zbiorowo i – zaczęli buczeć. Tylko jeden się śmiał i klaskał, dwa stoliki dalej, pijany i naćpany Guano. W jego łapie coś błysnęło, jakby flesz.

Szpulka mrugała, zdezorientowana, jak królik złapany halo-genem. Poniżona w swej nagości, wśród resztek szkła.

—

Światła! — krzyknął konferansjer.

Lecz zanim zgasły, pograżając scenę w zbawczej ciemności, nagość Szpulki była widoczna dla setek par oczu. Wi-

dzowie pozo-stawali wciąż zszokowani, choć niektórzy już chichotali, rozbrojeni niezamierzonym komizmem sytuacji lub próbując odreagować szok głupim dowcipem. Oto ta jedyna, wyniosła i niedostępna, którą rozbierali w myślach – zrobiła przed ich zgłodniałymi żrenicami mimowolny striptiz. Zwykły, prostacki striptiz.

Szpulka podniosła się i szybkim krokiem wyszła za kulisy, kalecząc sobie stopę o szkło.

Guano wciąż klaskał. Szli do niego ochroniarze z latarkami, wielkie kruki z zadartymi dziobami. Feniks był pewien, że to on rzucił butelkę.

I gdyby nie zaskoczenie oraz niesmak, gdyby nie szybka interwencja ochrony – doskoczyłby do niego i zadusił gołymi rękami.

Wyrodny syn Ligi Śmierci zbecześcił jego sanktuarium, a tego Feniks darować nie mógł.

To nie będzie dobra noc, pomyślał, obserwując, jak widownia pustoszeje. Obsługa starała się zatrzymać klientów obniżkami cen koktajli. Wypić coś jeszcze można, uznał przygnębiony. Chciał nawet wejść za kulisy, ujrzeć ją, pocieszyć, powiedzieć, że nic się nie stało.

Jednak zrezygnował. Nie w tej sytuacji, nie teraz. Szpulka byłaby jeszcze bardziej zażenowana.

Porwał z tacy kelnera karafkę orlej wódki i łyknął potężny haust. Drugą ręką włożył zdziwionemu drozdowi banknot do kieszeni, zatrzymując naczynie. Konferansjer tymczasem przeproszał za zamieszanie, zapraszał na koncert muzyki na żywo, obsługa wypychała na scenę tanich akrobatów i żonglerów, którzy dla podratowania sytuacji mieli wystąpić raz jeszcze na koszt klubu. Oto profity nieprzewidzianych sytuacji; dodatkowa chwila sławy, gdy ktoś inny okrywa się hańbą –

ironia życia w pełnej krasie. Feniks uznał, że całe to organizowane *ad hoc* przedstawienie na poziomie cyrkowej budy jest obrazą Szpulki. To tak, jakby tańczyć na czyjejś mogile. Choć z drugiej strony, konferansjer odwrócił w ten sposób uwagę od jej dramatu, o którym i tak jutro wszyscy będą gadać. Bo tego, co się wydarzyło, brukowce nie zignorują.

Feniks zaklął. Wódka paliła gardło, zimna i mocna. Zraz, czy ten Guano aby nie miał aparatu? Tego by jeszcze brakowało. Za to, co zrobił, czeka go sprawa z policją, nie tylko z ochroną, która – gdyby łajdak ośmielił się zrobić zdjęcie – na pewno skonfiskowałaby mu sprzęt.

Feniks uznał, że nie ma tu czego szukać. Dopił wódkę, otrząsnął się i wyszedł z sali. Przeciskał się koło toalet, gdzie było boczne wejście dla VIB-ów. Napis „Very Important Birdmen” świecił w mroku korytarza jak fluorescencyjny porost. Feniks już miał tamtędy wychodzić, gdy nagle usłyszał szepty. Zerknął spod ściany. W małym kantorku na narzędzia stał Guano i dyskutował z dwoma krukami.

Ochroniarze zdawali się wahać, nagle jeden powiedział: — Dobra, ale spierdalaj i ani słowa. — Po czym schował plik banknotów do kieszeni.

Feniks przywarł do drzwi szatni, obserwując Guana ścisającego coś w łapie. Choć potargany, łajdak wyglądał na zadowolonego.

Wykpił się łapówką? A może... Kurwa, przecież tu chodzi o zdjęcia!, pojął nagle Feniks. Nie odebrali mu sprzętu, bo zapłacili. A zarobi kilkanaście razy więcej, gdy dostarczy fotografie szmatławcom, jest do tego zdolny, może właśnie po to była cała ta niewytłumaczalna akcja z butelką.

Z kamienną twarzą Feniks wyczekał, aż miną go dwaj ochroniarze.

Musi śledzić Guana. Jeżeli ten gnojek ma aparat, nie do-
trze z nim do celu, zdecydował. Dokądkolwiek szedł...

—
Masz to dla mnie? — Rozcapierzona ręka wysunęła się z
mroku.

—
Tak, jeszcze więcej niż ostatnio. — Hermann von Plata
ukłonił się grzecznie. Choć bardzo się starał, nie pozbędzie się
tej serwilistycznej manieri. Jakby zawód naznaczył go na całe
życie.

—
Dawaj. — W wyciągniętej łapie błysnęły szpony; bal-
wierz ostrożnie zawiesił siatkę na jednym z nich. Odbiorca
przyciągnął ją do siebie, zajrzał do środka, po czym uśmiech-
nął się z ukontentowaniem.

—
Dobrze, powinno wystarczyć.

—
Wiadomo już, czy się zdecydował? — spytał fryzjer
szeptem.

—
Nic nie wiadomo. — Skrzydłoń w rękawicy podała von
Placie plik banknotów. — To twój procent.

—
Dziękuję — bąknął fryzjer. Po czym przypomniał sobie o
drugim punkcie ich umowy; podstępny sposób na osacze-
nie ofiary.

—

Czy policja jest już na tropie?

—

To kwestia czasu. Będzie musiał się uwiarygodnić — wyjaśnił kontrahent. — A przyparty do muru podejmie tę decyzję.

Mocno w to wierzę.

Wiązał ich tajny proceder. Działali „wspólnie i w porozumieniu”, mówiąc językiem śledczych. A ponieważ przeszli niedawno od słów do czynów, Hermann von Plata nie mógł się już wycofać... Na razie się udawało, choć ofiara (cóż za śmieszne słowo) wciąż żyła. Bez powtórnej próby nie osiągną wspólnego celu.

—

Może być tak — kontynuował zakapturzony ochrypłym szeptem — że będzie zmuszony zebrać dodatkowe pieniądze na wpłacenie kaucji. Wtedy tym bardziej się zdecyduje, zobaczysz. Były już takie przypadki.

Były, pomyślał fryzjer. Przypomniały mu się perypetie tego, którego nazywano Guanem. Wystąpił na ringu z silniejszymi od siebie, żeby zebrać na kaucję w sprawie sądowej, inaczej by go przymknęli – chodziło chyba o oszustwa bankowe, a może o napad...? W każdym razie były to walki przegrane, płacili mu za to, że dostawał po dziobie. Ale to nie było w Lidze Śmierci. A może było, lecz na niższym poziomie, tam gdzie pojedynki nie mogą się kończyć zgonami?

Nazywali to chyba kategorią *Non moriar*. Hermann nie pamiętał dokładnie.

—

Cóż, poczekajmy więc...

—

Poczekajmy. Jak się potwierdzi, przyjdę do ciebie ofi-

cjalnie, jako klient. Wtedy pogadamy.

—

Tylko w przerwie. Codziennie mam mnóstwo pracy.

—

Wiem. Teraz spadaj, a ja pokluczę jeszcze po parku, mam wrażenie, że ktoś mi się przyglądał. Może pobawię się z nim w chowanego. I go pochowam. — Wspólnik Hermanna von Platy zarechotał, odchodząc w mrok.

Dopiero teraz fryzjer poczuł duszącą woń zwiędłych (niemal gnijących) kwiatów. Jakby stał w zaniedbanej szklarni.

A może to nie były kwiaty?

Gdy podejrzany dotarł do domu, Sępiołun odetchnął. Było już późno, właściwie pracował w nadgodzinach, lecz póki nie nadzieje zmiennik, nie mógł opuścić stanowiska.

Podejrzany był w kiepskim stanie. Nie dość że wracał późno, to jeszcze jakiś wymięty, sfatygowany, ze spuszczoneym łbem, w dodatku pijany. To jednak nie obchodziło Sępioła. Bez względu na stan, w jakim znajdował się obserwowany obiekt, oraz bez względu na to, co robił, obowiązkiem informatora było jedynie zapamiętanie czasu i miejsca oraz zewnętrznych oznak jego zachowania. Wyłącznie oznak; nie musiał dociekać przyczyn – to była rola śledczych.

Więc ucieszył się Sępioł, gdy obiekt wreszcie dowlóknął się pod bramę, bo na tym kończył się jego dzień pracy. Jeszcze tylko zmiana...

Po chwili, po tym jak już podejrzany był w swoim domu, Sępiołun dojrzał w oddali zmiennika. Koniec i szlus, orzekł w myślach. Nie czekając dłużej, udał się w stronę pogranicza, do

budki z żarciem dla ptakożerców. Za kwadrans będzie zama-
wiał tam porcję padliny, tylko to się teraz liczyło.

Na samą myśl zrobił się jeszcze bardziej głodny i przy-
spieszył kroku.

Niska buda w kształcie czerepu – okienko było umieszczone
w oku, wejście w dziobie – przywitała Sępioła krwistym za-
pachem zepsutego mięsa. Kilku klientów siedziało w rozświe-
tlnym wnętrzu, zajadając się padliną w cieście. Sos ciekł po
celofanie, dzioboszczęki pracownicy rozrywały padlinę. Było to
ulubione miejsce nocnej wyżerki ptaków jego pokroju.

Wokół kręcił się patrol – znudzeni krawężnicy chodzili
w tę i we w tę, uzbrojeni w pałki i pistolety. Na wszelki wypa-
dek. Dalej rozciągał się zdziczały park, przez który płynęła
rzeczka, a za nią leżała sąsiednia dzielnica, biedniejsza (prze-
mysłowa) część Miasta Popiołów: rezerwuar fabryk, wysypisk
i punktów usługowych, gdzie produkowano i wykonywano
rzeczy konieczne do obsługi centrum.

Nie był to obszar nędzy i slumsów, choć jego typowo
użytkowy charakter sprawiał, że na ulicach było ponuro i
brudno. Ot, materialno-techniczne zaplecze bogatszej, repre-
zentacyjnej dzielnicy. Patrole były konieczne, gdyż czasami
trzeba było powstrzymać zabłąkanego przechodnia. Na szczę-
ście niezbyt często. Próby wdarcia się na teren patrycjatu nie
miały sensu, gdyż i tak od razu wyłapywano intruzów.

Po prostu nie mieli się gdzie ukryć, byli widoczni jak na
dłoni, do tego groziły im surowe sankcje. Porządek musiał być,
od tego była policja.

Gdy Sępioł złożył zamówienie i usiadł pod okien-

kiem-pęknięciem, nagle stwierdził, że lokal opustoszał. Oprócz niego siedział tylko jeden klient, który akurat kończył pić wódkę. Dobrą, orlą wódkę, domyślił się Sępiołun po charakterystycznym kieliszku. Klient był jakiś dziwny, zakapturzony, brzeg czarnego kaptura miał ubrudzony sadzą lub popiołem. A może błotem? Nie, nalot był raczej popielaty.

Sępiołun zapamiętywał takie rzeczy; więc zapamiętał też specyficznego gościa. Ten szybko wstał i wyszedł, rzucając informatorowi ciekawskie spojrzenie. Sępioł poczuł, jakby go sobie zanotował.

Dziwne... Na wszelki wypadek pomyślał o budce telefonicznej nieopodal.

—

Tortilla do odbioru! — głos kucharza wyrwał go z rozmyślań.

Podszedł do lady po smakołyk i zamówił jeszcze kieliszek wódki. Takiej samej, orlej.

Piołunówki oczywiście nie mieli.

Feniks zapadł się w fotelu jak w złym wspomnieniu. Zabił go, chyba zabił tego nędznika, nie chciał, nie planował, ale musiał – tak wyszło. Nie zniósł jego oporu, były granice cierpliwości i godności, gnojek już raz zdeptał jego sanktuarium, a tym razem... Napluł, głupim słowem napluł na Szpulkę.

—

Odbiło ci na punkcie tej dziwki? — zaskrzeczał, kiedy Feniks wciągnął go w zarośla. — Teraz każdy zobaczy jej dupę, sam sobie popatrzysz. *Triiii!* — zaterkotał, wydając tym na siebie wy-rok śmierci.

Na niskim stole leżał aparat – ten sam, którym tamten zrobił zdjęcia. Film był w środku. Początkowo Feniks planował wyrzucić sprzęt w cholere, utopić albo roztrzaskać, jednak po krótkim namyśle uznał, że lepiej wziąć go do domu i prześwietlić kliszę. Najpewniejszy sposób, by zdjęcia przepadły raz na zawsze, razem ze swym godnym pogardy autorem, który już dziobał ziemię.

Przez chwilę odczuwał pokusę, by je wywołać i zostawić sobie jako skarb. Może, paradoksalnie, fotografie były piękne? Zrozpaczona, zdumiona *Venus pudica*, naga baletnica przyłapaną przez łajdaka, skrywająca swój wstyd, co tylko dodawało jej uroku. Szybko jednak odrzucił tę pokusę – włączył lampę, wyjął film i rozwinął go z kasetki, by światłoczuły zapis przepadł na wieki.

Prześwietlone klisze wylądowały w dogasającym kominku.

Zadymiły pokój, gdy zajęły się ogniem.

Feniks myślał o tym wszystkim. Taniec Szpulki już w przeszłości budził kontrowersje. Wywoływał odruchy niezdrowej ciekawości, prowokował demaskatorów. Zdarzało się, że pijany lub odurzony osobnik usiłował wejść na scenę, by przerwać występ. Później pisały o tym brukowce. Za każdym razem interweniowała jednak ochrona, wyczulona na takie sytuacje.

Był też pewien fotograf, drozd oszalały na punkcie Szpulki, zaczadzony ideą sfotografowania jej w taki sposób, by nagość była widoczna. Zwykłe zdjęcia chwytają tylko wirującą plamę, smugę wyzbytą ostrości. Sztuka fotografowania obiektów w ruchu nie była w Mieście Popiołów znana. Jednak ów fotograf tak długo eksperymentował z migawką, błoną i lampą, że niemal mu się udało. Prawie – bo przez przypadek wy-

nalazł coś innego: prymitywny noktowizor.

Tak uzbrojony drozd wybrał się na występ. Kiedy Szpulka weszła po ciemku na scenę, fotograf założył dziwne okulary, które zakryły mu pół głowy i dzioba, i rozkoszował się tym, że widzi to, czego nie mogą widzieć inni. Robił to na tyle ostentacyjnie, że szybko zwrócił uwagę ochrony i impresaria. Czym prędzej został poproszony za scenę i wtedy wszystko się wydało – protesty zdały się na nic, wyproszone nieszczęśnika i surowo zakazano przychodzić na występy. Nikt nie wiedział, ile zdążył zobaczyć, lecz z jego markotnej miny wynikało, że niewiele.

A teraz Guano posunął się najdalej i osiągnął najwięcej – głupim, prymitywnym rzutem butelką. Proste i skuteczne, niestety...

Znużony tym wszystkim, zmęczony i pijany Feniks położył się w ubraniu na niezasałanym łóżku. Zasnął bez trudu.

Śnił mu się koniec świata.

Obudziło go walenie w drzwi. Z bólem głowy zwłókł się otworzyć; przeklinał swój wyschnięty dziób. Po drodze wypił wodę z miedzianego dzbanka.

Przed drzwiami stał smutny szpak w prochowcu. Obok dwa gawrony dzierżyły giwery.

—

Komisarz Marcellus. — Szpak wyciągnął legitymację.

—

O co chodzi?

—

Mamy nakaz zatrzymania — zachrypiął Marcellus, oka-

zując urzędowy dokument. — Sprawę prowadzi ptakurator Falconi. Jest pan podejrzany o morderstwo.

Feniksa zatkało. Guano...? Przecież był pewien, że...

—

A to jest nakaz rewizji. — Marcellus wyciągnął z płaszcza drugi papier.

Tak szybko?, Feniks zbaraniał. To niemoż...

—

Proszę wyciągnąć skrzydłonie, założymy panu kajdanki; nie radzę stawiać oporu, pod domem jest nas więcej.

Gawrony podniosły broń.

Czarne wyloty spluw patrzyły na Feniksa ślepo – jak wyklute źrenice.

Jeszcze większe zaskoczenie przeżył, gdy Falconi kazał mu siadać za biurkiem i wyjaśnić:

—

Jest pan podejrzany o to, że w nocy z czwartku na piątek, działając w pojedynkę, zabił pan na jednej z ulic przy Jaskółczym Zaułku Mirandę Kork – cyrankę przebywającą z legalną wizą w naszej dzielnicy, oraz pana Leonarda Sequora, puchacza, zastępcę sekretarza wysokiego Ptakonium, zadając im rany cięte ostrym narzędziem oraz dusząc i łamiąc im karki. Bezpośrednią przyczynę zgonu wciąż ustalają patolodzy.

A więc nie chodzi o Guana, Feniks poczuł ulgę, dobrze ukryłem ciało, nie mieli szans znaleźć go tak szybko.

—

Czy przyznaje się pan do zarzucanego czynu?

—

To jakaś bzdura — parsknął Feniks. — Byłem wtedy w domu. Na jakiej podstawie...?

Falconi zmarszczył brwi.

—

Na miejscu znaleziono ślady pańskiego pierza.

—

Czy jest ktoś, kto może potwierdzić pana alibi?

—

Nie. Mieszkam sam.

—

Czy dzwonił pan do kogoś, spotykał się, wychodził?

—

Nie pamiętam. Chyba nie...

—

Kiepska sprawa.

—

W tej sytuacji aresztujemy pana na dwie doby. Prawdopodobnie przedłużę areszt, ale poczekam jeszcze na wyniki rewizji w pana domu. Chłopcy wciąż pracują. Chyba że...

—

Chyba że co?

—

Wpłaci pan kaucję. Poręczenia osobistego nie chcę, jest pan cenionym obywatelem. Ale prawo jest bezwzględne. A dowody przeciwko panu twarde.

—
Kaucję...? Ile?

—
Dwa miliony ptakonów.

—
Ile?! Musiałbym...

—
Wiem. Mamy dane o pańskim majątku. Ale inaczej uznam, że zwieje pan do gorszych dzielnic, gdzie można przepaść bez wieści.

—
To mnie zrujnuje.

—
Na spieniężenie majątku ma pan tydzień. Co prawda od tej sumy można się odwołać, jednak sędzia Eaglestein raczej nie odpuści. Nie cierpi zapasów — zaśmiał się Falconi. — To oczywiście żart — dodał po chwili służbowo, widząc tępy wzrok Feniksa.

— Może pan jednak coś wymyśli?

—
Będę walczył — powiedział Feniks, bardziej do siebie niż do ptakuratora.

—
Tak...?

Do gabinetu wpadł nagle zastępca Falconiego.

—
Szefie, pilne!

Słucham cię, Gil. — Ptakurator zastygł za biurkiem.

—

Mogę przy nim?

—

Wal.

—

Na terenie parku, przy Dzielnicy Przemysłowej, nieopodal cmentarza, znaleziono drugie ciało.

—

Kto!? — Falconi aż podskoczył na krześle. Utkwił wzrok w Feniksie, który zastygł, spodziewając się, co zaraz usłyszy.

„Rzeczka za parkiem, muł... Jasny szlag”.

—

Nasz informator, Sępiołun! — wyrzucił z płuc Gil.

Guano pracował jako kapuś? Nie byłoby to aż takie nieprawdopodobne... Nawet by pasowało do jego podłej natury i tłumaczyło szybkie znalezienie ciała. Myśli zalewały Feniksa jak zła krew. Niczego już nie rozumiał.

—

Złamany kręgosłup, wieloczynnościowe obrażenia narządów, był poobijany jak piłka — opisywał zastępcą. — Leżał pod ławką, prawie całkiem na widoku.

Zaraz...

—

Ślady?

—

Pyłki, popiół, a najwięcej strzępów pierza. Na oko przypominają te z Jaskółczego Zaułka, podobna faktura i ubarwienie.

Dałem już do analizy.

Może to teatr, który odgrywają, żeby mnie skołować? Gnoje... Feniks poczuł nagle chęć, żeby zerwać kajdanki, wstać i rzucić śledczymi o ścianę. Mógłby, nie takie rzeczy leżały w jego mocy. Z trudem się powstrzymał, chowając wściekłość w klatce rozsądku. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Falconi odetchnął głęboko. Spojrzał na zatrzymanego, jakby wokół jego głowy gromadziły się coraz ciemniejsze chmury. Zaraz zagrzmie, spadnie deszcz...

—

No i co pan na to?

III

Nowa walka Feniksa zbiegła się z ostatnim występem Szpulki. Tancerka oznajmiła, że po incydencie zamierza odpocząć; być może nigdy nie wróci na scenę. Zanim to jednak nastąpi – da pokaz kunsztu, jakiego jeszcze Miasto Popiołów nie widziało. Słowa te zmroziły mieszkańców, przygnębiająca była perspektywa świata bez jej tańca. Oto odchodził ktoś wyjątkowy, będący stałym elementem ich życia. Do tego w powietrzu wisiała afera kryminalna z Feniksem w roli głównej. Świat bez tej pary będzie smutny, to indywidualności nie do zastąpienia, monarchowie swych profesji. I choć działali w sferze sportu i rozrywki, nawet patrycjusze przywykli do nich jako do mistrzów i darzyli szacunkiem. Dla ptaków Feniks był uosobieniem honoru i siły, archetypowym wojownikiem, Achillesem Miasta Popiołów, a dla ptaszyc Szpulka podziwianą heterą-baleriną, piękną i lubianą, co było dziwne, gdyż jej uroda i gibkość winny budzić raczej zawiść.

Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł, by taniec Szpulki

odbył się przed rewanżową walką Feniksa z Ptakolcem. Być może ona sama, bo zraziła się do klubu POP-iól; może jej menadżer, chcący maksymalnie zwiększyć zainteresowanie spektaklem? Teraz o wydarzeniu będą mówić wszyscy, a widownia będzie pękać w szwach – kto wie, może nawet przyjdzie cały patrycjat, a gorsze miejsca wykupią ludzie, którzy nigdy nie widzieli występów na żywo? Mógł tu zadziałać efekt synergii, a wówczas hala sportowa stałaby się na jeden wieczór absolutnym centrum Miasta Popiołów, jego rekapitulacją i mikrokosmosem.

Nikt nie przewidział, że oba występy zbiegną się w czasie z jeszcze innym wydarzeniem.

Strzegący kurczących się zapasów Prochu kapłan zemdleje podczas rytuału, zanosząc modły o bezustanne odradzanie się Miasta. Może to będzie wylew, może wycieńczenie i brak świeżego powietrza. W każdym razie w świątyni-piwnicy pod budynkiem wysokiego Ptakonium diler Tukan w białej szacie przewróci się na ołtarzyk i strąci świece, które zanim zgasną, użyczą ognia Inianemu obrusowi, a ten przekaże go dalej: stallom, drewnianym figurom, książkom – a od nich żywioł będzie się rozprzestrzeniał już bez przeszkód w kilku kierunkach, skacząc pomarańczowymi językami na meble, okna i starą dębową skrzynię pod ołtarzem, w której spoczywa Proch.

Miarkowany stosownie do potrzeb tym razem spotka się z ogniem, po długich latach, gdy z ognia został zrodzony. Na razie spoczywa w ciszy i spokoju, jednak ciemność wkrótce zabłyśnie nowym, głodnym żarem i płomienie otoczą to, co już

raz zostało spalone.

List pożegnalny od Szpulki Feniks znalazł tuż przed walką.

Uwolniony od asysty policjantów (zostali przed drzwiami, zabezpieczając wyjście), mógł wreszcie w spokoju otworzyć i przejrzeć swoją szafkę. Przez chwilę pomyślał głupio, że Szpulka mogła podrzucić mu broń – nóż, pistolet, pilnik – lecz po lekturze listu wiedział już, że wołała go raczej rozbroić, niż uzbroić przeciw okolicznościom losu, których drugiego dna nie znała. Feniks nie zamierzał skapitulować, miał plan, był częścią planu, zdemaskuje tego oszusta, lecz ona nie mogła przecież o tym wiedzieć... Połączyła ich jego przegrana i jej hańba. Może gdyby zdążył ją wesprzeć?

Było jednak prawdopodobnie za późno. Feniks odłożył list – i trwał bez ruchu, jakby czas skamieniał.

Dopiero kiedy wyjdzie, świat zacznie się na dobre kończyć.

Przedostatni akt odegrała Szpulka, a jemu przypadnie zwieńczenie, wszak koniec wieńczy dzieło, zostawiła mu bezgłową kolumnę, z której odpadł dumny kapitel ciała – głowa, jak splamiony krwią biały posąg, ciepło osocza na zimnym marmurze; był taki obraz, a Szpulka-Artemis to urzeczywistniła, zostawiła mu tylko bezgłowe kolumny w tej starej świątyni, którą będzie musiał zburzyć. Czy zdoła? Tak musi, tak być powinno, więc dopiero kiedy wyjdzie na ring, zacznie się ostatni akt, ptasi Samson skuty niewidzialnym łańcuchem oskarżenia, sam się takim uczynił, a ona – cóż, była psychiczną

Dalilą; wszystko jest odtwarzaniem starych mitów, tu i teraz, gdy zbiegają się ścieżki i pył opada na Miasto.

Feniks zakłada pierzasty kostium, naciąga go na umięśnione ciało, głowę ozdabia żalobnym perupiószem, czerń kruczych piór spływa kaskadą na ramiona. Rozlega się bicie gongu, pierwsze uderzenie, już gasną światła, a wartownicy przed szatnią czekają, aż Ptasi Król wyjdzie.

„Zdecydowałam się na ten krok, ponieważ czuję, że świat się kończy. Nasze miasto – nasz świat, podobno są gdzieś inne podobne, rozdzielone tysiącami kilometrów spopielonej, radioaktywnej pustyni. Miasto – świat, nasz mikrokosmos, który stał się kosmosem – gaśnie. Gramy tu swoje role, podrygujemy jak marionetki, lecz nie da się tego dłużej ciągnąć, coś się musi wydarzyć, i wiem – nie wiem skąd, to chyba jakaś mistyczna intuicja – że przeznaczono nam role ostatnich bohaterów, mamy zakończyć sztukę i wyręczyć obsługę: zaciągnąć kurtykę i zamknąć teatr. Bo to koniec. Potem niech się dzieje, co chce.

Kwiaty rozkładu pachną coraz mocniej; nie da się już oddychać.

Przed Twoją walką mam występ – nikt jednak nie wie, jak będzie wyglądał. To ścisła tajemnica. Chcę, żebyś znał szczegóły jako jedyny (oprócz kilku niezbędnych do jego realizacji pomocników).

Mój agent się zgodził, zwabiony sporym zapisem w testamencie, choć wciąż nie może wyjść z szoku; myśli, że zwaśniowałam. Ma jednak nakaz utrzymania wszystkiego w tajemnicy, pod groźbą utraty prawa do mojego majątku – więc wy-

konuje grzecznie ostatnią wolę swej największej gwiazdy. Tak, niektórzy są mało skomplikowani, ale przynajmniej mogą posłużyć do realizacji wyższych celów”.

Idzie, a z głośników huczy jego temat muzyczny, Cwał Walkirii, z dozowników grzmi symfonia zapachów, równie adekwatna – dusząca, ciężka woń zwiędłych fiołków, które są podobno rozrzedzonym zapachem gówna. Feniks stawia ciężkie kroki, jest dumny i spokojny, publiczność szaleje podzielona – niektórzy intronizowali już nowego króla, wierząc, że dzięki niemu przetrwają koniec świata.

Lecz Miasto to świat końca i Feniks im to tego wieczoru udowodni, reakcje tłumu niewiele go obchodzą, jest królem własnego wymiaru. Na razie widzą w nim starego mistrza, jego sylwetkę oglądali wszak setki razy. Pojmą, co się stało, dopiero kiedy wejdzie na ring i wskoczy do klatki, zdejmując pierzasty uniform z szarych i błękitnych piór okrywający go jak stalowa opończa.

„Nie trzymając Cię dłużej w napięciu – poddam się eutanazji.

Poproszę o śmiertelny zastrzyk, a gdy już stwierdzą mój zgon, zostaną zabalsamowana, lecz w dość szczególny sposób. Moje kończyny będą usztywnione specjalną substancją laminującą, tak by przez jeden wieczór ciało było jeszcze zdolne do występu. Stanę się wielką marionetką – moje zwłoki, z daleka jak żywe, całkiem nagie, w rytm muzyki będą podrygiwać na

specjalnych linach. Tego właśnie wszyscy pragną: mojego ciała, które może być martwe, byleby tańczyło – i było nagie. Jestem dla nich mięsem wirującym z gracją.

Jednocześnie konserwatorzy zwłok natną moje kończyny w kilku miejscach tak, że będą one stopniowo odpadać w trakcie występu. Najpierw oczywiście zsuną się ubrania – po raz pierwszy publiczność ujrzy zwyczajny striptiz. Ciekawe, kiedy zorientują się, że jestem martwa? Myślę, że nieprędko, wszak sprowadzają mnie do ciała, a mechaniczność ruchów mogą wziąć za nowy układ taneczny.

Głowę będą miała odpowiednio usztywnioną. Odpadnie na samym końcu (dzięki niewidocznej ostrej obręczy wokół szyi, która zaciśnie się szybko w finale). Gdy już zsuną się ze mnie ubrania, a potem po kolei – odpadną przyszyte ręce i nogi, i zostanie w końcu sam kadłubek na linkach, o tak, wtedy będą przerażeni, choć część widowni pewnie uzna to za sztuczkę iluzjonistyczną. Lecz dopiero gdy spadnie głowa – pojmą w pełni, co się stało...”.

Już jest – wchodzi jako pierwszy. Zawsze pojawiał się drugi, lecz takie są nieubłagane zasady Ligi, to walka rewanżowa, więc Ptakolec będzie wchodził na ring po nim, w glorii zwycięzcy broniącego wyniku. Lecz zanim to nastąpi – zobaczą starego mistrza, światła muszą tylko dobrze wyeksponować sylwetkę, a komentator niech przestanie gadać. Zapowiadają go przeciągle, a gdy w dziobie impresaria gaśnie ostatnia sylaba jego miana („Feeeeeeeeeniiaiiiiiiiiiiiiikk-ksssssss!...”)

– on jednym ruchem zdejmuje przez głowę staloszary kostium i ciska nim o deski ringu, tak aby każdy mógł zobaczyć coś, co

dobrze zapamięta.

I oto staje przed nimi oskubany, nagi – jak wielki kurczak.

„Żegnam Cię, Feniksie. Wiem, że Twoja walka również będzie ostatnia. Kiedy to czytasz, nie ma już mnie wśród żywych – dzielę los gnijących kwiatów. Ty też staniesz się nawozem, kompostem, z którego nic już nie urośnie. Radzę Ci, przyjmij swój los z pokorą. Mój występ wywoła zamieszanie, lecz Twoja walka musi się potem odbyć, jest zakontraktowana. A szaleństwo na widowni podbije napięcie, ko-mentatorzy radiowi przekażą wszystko w eter – i usłyszą o nas nawet mieszkańcy dzielnic nędzy. Ktoś mi mówił, że traktują nas tam w sposób szczególny, stawiają nam ołtarzyki, jak bożkom. Będzie to dla nich wielkim szokiem. Nie wiem, jak zareagują. Trochę mi ich szkoda.

Wiedział, że jego moc tkwi w piórach, wyskubał się jednak, wydepilował do gołej skóry, żeby nic nie mogło go dzielić od niego samego – żadnych barier, tylko czysta siła. A więc czysta słabość...

Niech walka go zweryfikuje: zwycięży albo zginie, zabity kilkoma uderzeniami Ptakolca, który ukradł mu jego siłę wraz z upierzeniem.

Ptakolec był pewny siebie. Jednak nie wiedział, że Feniks wie – a to także siła.

„PS. Ponieważ to już bez znaczenia, zdradzę Ci moje imię, którego nikt nie zna. Chcę, żebyś poznał coś więcej niż tylko mój pseudonim sceniczny. Mam (miałam) na imię Artemizja; Artemis.

Żegnaj.

A.”

Ceremonia pogrzebowa Sępioła odbyła się po cichu i bez świadków. Został pochowany tak, jak pracował: dyskretnie, bez rozgłosu, samotny kawaler zamordowany przez nieznanych sprawców (prawdopodobnie intruzów z sąsiedniej dzielnicy). Taka notatka ukazała się w prasie. Pogrzeb odbył się przedwczoraj, w zacinającym deszczu, na cmentarzu komunalnym.

Pochowany pospiesznie Sępioł leżał wciąż bez nagrobka. Tabliczka na patyku pokazywała imię i nazwisko, których przed śmiercią niemal nie używał: „Tujon Absyntowicz”.

Nie milkną odgłosy zdumienia i niedowierzania na widowni („Feniks oszalał”, niesie się szept przez trybuny), gdy wychodzi Ptakolec. Pogrzebowe tony jego tematu muzycznego zagłuszają reakcje widowni. Idzie cały złoty, tylko czarne przebłyski spod spodu, El Dorado, Pozłacany Król, jest tu, by potwierdzić swą dominację, zabić dotychczasowego króla, zając

jego miejsce, złoto i czerń, czarne złoto, a zapach zwiędłych kwiatów przypomina smród gnijącego mięsa.

Feniks czeka – naga skóra i głowa. Bez słów daje do zrozumienia co bardziej domyślnym kibicom, w czym tkwił sekret poprzedniego zwycięstwa Ptakolca.

A ten, gdy wlatuje na ring, musi być zaskoczony. Choć nie daje tego po sobie poznać. Rozkłada triumfalnie skrzydła i zdejmuje szlafrok, prezentując obfite upierzenie. Spogląda w stronę drugiego narożnika z pogardą i rozbawieniem, jakby uznał, że jego przeciwnik zwariował i wynik walki został już przesądzony – Feniks sam się rozbroił, stając do walki z mo- carzem, który zmiecie go z powierzchni, a na dodatek okryje hańbą.

Tymczasem komentator zastanawia się, czy stary mistrz – który najwyraźniej oszalał – w razie zgonu trafi na Zegar Śmierci.

Wszak jego oskubana skóra nie licuje z godnością oby- czaju pogrzebowego. „Z pewnością zgolenie pierza jest nie- zgodne z Regułą Ligi Śmierci, która zabrania zawodnikom oszpecania ciała, a już na pewno w ten sposób”, dywaguje drugi z komentujących.

Siny i nagi – Feniks budzi odrazę. Gong uderza po raz trzeci i zaczyna się walka. Czają się w narożnikach. Ptakolec rozkłada czarny płaszcz piór, wlatuje na środek. Skrzydłonie Feniksa, choć muskularne, przez swą nagość wyglądają na mniejsze. Nie będzie mógł

latać. „Ukradłeś je”, szepce do Ptakolca, który odczytuje oskarżenie z ruchu dzioba. Krzywi się z niesmakiem. „A więc się domyślił, to pewne, już samo ogolenie skóry było prow- kacją, a teraz nie ma żadnych wątpliwości”. Musi go zabić, jak najszybciej.

Zwierają się w pierwszym starciu i, o dziwo, jest remis. Ptakolec nie daje rady. Odskok, obrót, skok – czarne skrzydło nie niczym ostrza nożyc próbują zamknąć się z obu stron na szyi Feniksa. Lecz nic z tego, sinymi skrzydłońmi mistrz zatrzymuje uderzenie uzurpatora. Następnie strąca jego kończyny ze swych nadgarstków, odskakuje efektownie. Nie daje się zepchnąć na kraty. Skąd się bierze twoja siła?, zdają się pytać wściekłe oczy Ptakolca. A Feniks świdruje go zimnym spojrzeniem i prowokacyjnie czepia się prętów.

Ptakolec wzlatuje za nim, gonią się przez kilka chwil, docierają aż na szczyt woliery. Tam Feniks zawisa za nogi, głową w dół i chwytą przelatującego rywala, który szponami chciał mu przeorać brzuch. Klatka trzeszczy metalicznie, trzęsie się. Wyhamowany impet Ptakolca szarpie również Feniksem, który rozluźnia szpony – i spadają obaj, Ptakolec ze spletanymi skrzydłami, bez możliwości amortyzacji.

Lot w dół i *trrrrach!* – wałą o deski. Leżą teraz jeden na drugim, goła skóra i bujne pierze. Ptakolec jest pod spodem, ma obity grzbiet.

Trzyma Feniksa za biodra i kark. Choć oszołomiony, nie będzie chciał rozluźnić stalowych objęć. Dusi, z całych sił ścisnąc Feniksa – wszak ma siłę, ma moc...! Trwają tak dobrą minutę, uścisk Ptakolca jest zabójczy, i choć rwie go grzbiet, wie, że musi, musi. Więc nie puszcza, zaraz zgniecie rywala, złamie...

Lecz Feniks napręża się, nabiera powietrza – i uwalnia z uścisku, rozpościerając ramiona zdumionego Ptakolca jak przyrząd gimnastyczny.

Ptakolec czuje – chce czuć – moc przeszczepionych piór, jednak nie wystarcza tej mocy na gołoskórego Feniksa. To niemożliwe!, skarży się rozdygotany mózg. A Feniks po prostu

walczy. Jest wewnętrznie spokojny, spokojem morderczym, zimnym jak śmierć, która odbija się w jego oczach. Choć zabić Ptakolca nie może, mimo chęci zemsty. Wiąże go umowa. Pokona go – choć ten wciąż próbuje walczyć – nie tylko siłą, lecz również podstępem. Mierzi go, że musiał się do tego uciec, chodziło jednak o wyrównanie szans, przywrócenie poprzedniego stanu – dopiero teraz jest uczciwie.

Na widowni ptakurator Falconi uśmiecha się spod kapelusza.

Scenariusz się potwierdza – dobrze, że Feniks współpracował, a on zaufał Sępiołowi i zbadał ten trop.

Tamten ostatni nocny telefon z budki obok jadłodajni padlinożerców, jakby informatora coś tknęło, po chwili bowiem już nie żył.

Śledczy mają już nową robotę w związku z dziwną śmiercią Szpulki, ale zatrzymany menadżer tancerki okazał testament, z którego wynika, że było to planowane samobójstwo. Nie ma w Mieście Popiołów paragrafu na coś takiego. Trzeba tylko potwierdzić autentyczność jej ostatniej woli.

Menadżera tymczasem wzięto na komisariat, aby spisać zeznania, zabezpieczono szczątki tancerki, jeszcze trzeba uzyskać kilka ekspertyz – i sprawę będzie można zamknąć. Wszystkim zajął się zastępca ptakuradora, bo Falconi przyszedł na walkę służbowo, w związku ze sprawą oszustwa sportowego.

Wieść o oskarżeniu Feniksa nie gruchnie w mediach, oskarżenia nie będzie. Prowokacja wobec Ptakolca się udała: przyjął podmienione pióra (jakiegoś kruka lub gawrona), a przestraszony golibroda odegrał swoją rolę w zamian za obietnicę wycofania oskarżenia.

Wcześniej potwierdził wszystko w zeznaniach.

Ptakolec bije się kiepsko, nie tak jak poprzednio. Pewnie wciąż myśli, że Feniks walczy o kaucję, to była część planu, mająca skłonić pobitego króla zapasów do powtórnego wyjścia na ring. I Falconi pozwolił, by Ptakolec nadal wierzył w tę wersję (obstawa Feniksa, doprowadzenie do szatni – profesjonalny policyjny teatr). Ptakurator przeżywa własny triumf, bo śledztwo pięknie się zamknęło.

Cenne środki dowodowe, materiał bogaty i różnorodny. Podejrzeń jest wiele, zwłaszcza dotyczących zabójstw, o których opowiedział mu przyciśnięty fryzjer. Ptakolec lubił nocne wyprawy. Zatrzymają go po walce, którą wygra Feniks – ma przykazane go nie zabijać – choć niepotrzebnie się oskubał, nie uzgodnili tego wcześniej. Mały skandal, trudno. Ale grunt, że nie dojdzie do wielkiego skandalu. Poprzedni wynik rada sędziów powinna anulować i mistrz znów będzie miał czyste konto – same wygrane.

Miasto powinno być za to wdzięczne również Falconiemu: ptakurator ma swój udział w ocaleniu mitu.

Nie powiedział im o sprawie Guana. Śmieszne, na ringu

mógłby go zabić legalnie, poza ringiem to przestępstwo. Nie było jednak szans, aby mogli jawnie walczyć, zbyt duża różnica klas i poziomów. Poza tym Guano był zawieszony w prawach zawodnika.

Czy jego śmierć się wyda? Feniks starał się nie zostawiać śladów, muł w rzece był głęboki. Nawet jak go znajdą, to tyle innych wersji będzie branych pod uwagę. Guano mógł być pijany i odurzony, mógł utonąć. Tak. Zresztą Miasto się kończy, a współpraca ze śledczymi miała dla Feniksa tylko jeden cel: by Ptakolec został ukarany, a prawda wyszła na jaw. Później niech się dzieje, co chce.

Tymczasem daleko stąd zwłoki Guana zaczynają bulgotać, na powierzchni bagna pokazują się bąble. Muł wzbiera, unosi się ku powierzchni, zasilony trupim wsadem. Bagniste zakole rzeczki występuje z brzegów, ciemna maź rozlewa się, spływa na trawniki, chodnik, wciska między drzewa, rozlewa powoli cienką warstwą śmierdzącego szlamu. Jakby imię określało pośmiertnie byt.

Guano zamienia się w gnojówkę, doskonały nawóz, który wypływa z miejsca jego pochówku, pulsując niczym gejzer, w oczekiwaniu jakiejś ekspansywnej, żarłocznej rośliny, której będzie mógł użyć swych właściwości.

Ptakolec jest przerażony. Próbuje skrzydłami dociskać pióra, masuje miejsca, gdzie lotki porastają najgęściej, jednak z każdym starciem sytuacja robi się dla niego rozpaczliwsza.

Sztuczka nie działa. Próbuje więc unikać starć. Jest szybki, jednak niezmordowany Feniks goni go po klatce – wzdłuż, wszerz, w dół i w górę – nie dając wytchnienia. Śmigają jak dwie plamy: Feniks siny i matowy, Ptakolec rzucający błyski w światło lamp. Poświęta, która miała uwydatnić jego chwałę, teraz obnaża nieubłaganie jego słabość. Przebłysk, rozbłysk, przebłysk – srebrzyste pręty woliery potęgują efekt.

W końcu Ptakolec decyduje się na szalony manewr: ucieka przez otwarte drzwi klatki. Wzbija się w powietrze. Na widowni po-ruszenie, wielkie czarno-złote skrzydła unoszą Ptakolca nad głowami widzów. Mknie w stronę ściany z Zegarami Śmierci. Po chwili wahania Feniks podejmuje pościg.

Z trudem utrzymuje lot, jest nagi, raczej skacze, niż fru- nie, lecz kilkoma długimi susami dociera w końcu pod ścianę. Ptakolec uczeplił się jednego ze środkowych zegarów i czeka. Komentatorzy wrzeszczą, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Widownia wstaje i skanduje: — Feniks! Feniks!

Ptakolec czeka bez ruchu. Chyba widzi w tym swą ostatnią szansę. Feniks się jednak nie spieszy. Powoli wspina się po obrzeżach cyferblatów. I nagle, gdy jest w połowie drogi, Ptakolec wyrywa jedną ze wskazówek, tę, na której wisi Magnetyczny Joe. Nity pękają z trzaskiem, wielkie skrzydłonie kierują ostro zakończony pręt na Feniksa.

Ten się jednak uchyla, a stalowa konstrukcja przelatuje obok i uderza w podłogę.

Komentator drze dziób:

—

To już koniec, Ptakolec będzie zdyskwalifikowany.

Wie, że przegra, więc pragnie już tylko zabić, choćby w taki sposób!

Ptakurator Falconi ogląda wszystko ze zdumieniem, anonimowy wśród skandującej publiczności. Nagle nachodzi go obawa, że walka może mieć finał inny, niż planował – poza klatką Ptakolec może nie przeżyć, a wtedy...

Jakby na potwierdzenie tych obaw niedoszły Pożłacany Król rzuca się głową w dół. Pikuje, chcąc przebić Feniksa dziobem i rozszarpać szponami. Feniks trzyma się zegara jedną skrzydłonią, drugą wyprowadza cios i uderza rywala w szyję. Potężne uderzenie pięścią zmienia tor jego lotu. Dziób odskakuje, wybity z trajektorii, mija oczy Feniksa o zaledwie kilka centymetrów.

Przetracony Ptakolec spada, bezradnie machając skrzydłami, które już go nie uniosą, jest zbyt blisko ziemi, by mógł poderwać się do lotu czy nawet zamortyzować upadek. Może gdyby nie kręgosłup nadwerężony przy uderzeniu w deski ringu...

Po chwili jego ciało wali o podłogę i Ptakolec przestaje się ruszać. Wygięty nienaturalnie, zastyga w martwą naturę. Kilkanaście czarnych piór leży wokół, jak kawałki sadzy, a z dzioba sączy się krew.

Z przysypanego ziemią truchła Sępioła zaczęły kiełkować rośliny.

Rosły w zastraszającym tempie, w ciągu nocy osiągając wysokość kilku centymetrów. Wkrótce uformowały się z nich łodygi i liście: białawe od spodu, a z wierzchu ciemnozielone. Dziwne krzewy, roznoszące suchą, gorzką woń, pięły się

wzwyż i rozrastały na boki, czyniąc z grobu swój matecznik; skromna kupa piachu wyglądała po kilku dniach jak wyspa na monotonnym oceanie. Krzewy atakowały już inne groby, zarastały ścieżki i trawniki, dochodziły do chwiejącego się płotu, wyznaczającego granice cmentarza.

Ściana zegarowa zaczyna się chwiać – to spada zegar, któremu Ptakolec wyrwał wskazówkę. Lecąc, pociąga za sobą inne, które wiszą niżej. Następuje reakcja łańcuchowa spadających urządzeń, lawina tarcz i wskazówek, wraz z którymi zsuwają się przywiązane do nich ciała zawodników. Mechaniczno-trupia katastrofa.

Obudowy uderzają o siebie, chrzęszczą stalowo i dzwonią metalicznie, pojękując echem rozwijanych sprężyn. Kąkofonia psujących się mechanizmów rozdziera akustykę. Huk, łomot, dzwonki – *klang, dryń, bom!* – wszystko w ogłuszającym natężeniu decybeli, można stracić słuch. Hala walk wrze od złych emocji. Widzowie wyją, spikerzy rzucają w eter słowa, których wygłaszać nie powinni, bo słuchają ich kibice w najdalszych częściach Miasta. Mieszkańcy dzielnic nędzy zaraz zaczną się skrzykiwać, bo ich rozpacz i złość muszą znaleźć ujście. Więc gdy przerażony głos z radia oznajmia, że Feniks zginął, przywalony stosem olbrzymich zegarów („Na Proch, to już koniec, katastrofa!”), wtedy bomba eksploduje. Osieroczone dzieci dzielnic nędzy wylegają na ulice, obiecując śmierć patrycjuszom.

Ściana zegarowa jest teraz pusta, jakby leżące poniżej przyrządy były jesiennymi liśćmi, opadłymi ze stalowego drzewa. Tworzą kopiec-stos dla największego zawodnika Ligi

Śmierci w dziejach.

A na zewnątrz szaleje pożar. Płonie świątynia Prochu, w zgliszcza obraca się budynek wysokiego Ptakonium.

Krzew okazał się mięsożerny. Gdy grabarze i ogrodnicy próbowali go karczować, odgryzł im palce, nie zezwalając wziąć się w skrzydłonie, nawet przez rękawice. Był duży, wręcz gigantyczny, miały wysokość drzewa. Jakby sępia natura tego, kto został tutaj pochowany, zapłodniła roślinę, tworząc drapieżną odmianę bylicy- chwasta, hybrydę botaniczno-zoologiczną.

Ludzie nie zbliżali się już do cmentarza, porzucili jego najbliższą okolicę.

Później wybuchły zamieszki, nędzarze zabijali patrycjuszy, dogaszano pożary, a policja nie panowała nad sytuacją, więc problem krzewu zszedł na drugi plan. Roślina tymczasem przekroczyła płot i zrywała kostkę brukową z ulic, krzewiąc się bujnie i żarłocznie, jakby jej celem było splądrowanie miasta. Wydawało się, że gra z motłochem w jednej drużynie.

Wkrótce napotka gnojówkę – i tak Sępiołun połączy się z Guanem, by drapieżny krzew plenił się jeszcze obficie.

Gdy rano, mimo nocnych zamieszek, Hermann von Plata przyszedł do pracy, tak jak to czynił od niepamiętnych lat, zrozumiał, że to koniec. Po drodze świat uzmysłowił mu dostatecznie, że nadeszła kloakokracja (ulicami spływała gnojówka) – a on, tłusty fryzjer burżujów, nie odnajdzie się w tej

krótkiej (nim wszyscy się pozabijają) epoce brudu i smrodu.

Wyjmując wielki klucz do drzwi zakładu, przeczuwał, że nie zdąży go użyć. Długo nie musiał czekać na potwierdzenie swych obaw. Dwa chude wronce zdarły mu płaszcz, wyjęły z wewnętrznych kieszeni balwierskie przybory (zawsze nosił je ze sobą) i przewróciwszy fryzjera na chodnik, podcięły mu gardło srebrną brzytwą. Krew popłynęła w stronę latarni, jak niegdyś barwniki, formując na rogu dwóch ulic (ich nazwy wydały mu się teraz prorocze) tęczokrwistą kałużę. W ostatnim przebłysku świadomości ujrzał Szpulkę – szła jak duch, lecz chyba była realna, bo ubrudziła sobie obcas krwią.

I z tym obrazem pod powiekami stary fryzjer skonał. Jego cenne przybory miały posłużyć za broń szabrownikom.

Na ulicach dogasały zamieszki.

W południe zza chmur nieśmiało wyszło słońce: okrągła, blada kość.

Nie było już Feniksa ani Szpulki, Ptakolca ani Hermanna von Platy, patrycjuszy ani Prochu, tylko brodzące w gnojówce ptaki z dzielnic nędzy, szabrujące resztki dóbr.

Ich przeznaczeniem było zadziobać się na śmierć – bo jedzenia wkrótce zabraknie.

A chwast rósł, pochłaniając nowe obszary, karmiony nawozem, wolny od skrupułów i skojarzeń, podobnie jak martwe ciało pod ziemią, z którego się wyłonił, nieświadome tego, że roślina powinna nosić jego miano. Ekspansywny pęd, sępi piołun, krzew zjadający ścierwo miasta, aż wyczyści je do kości, zostawiając sproszkowany szkielet.

Popiół, piołun. Popiołun.

Piołun – Artemisia absinthium. Bylica piołun, zwana także psią rutą, wermutem lub absyntem. Można ją spotkać dzikorosnącą na przydrożach, nieużytkach, zrębach i leśnych polanach. Roślina aromatyczna, o smaku silnie gorzkim, kwiaty drobne jasnożółte, liście z wierzchu szarzielone. Zarówno liście, jak i ziele zawierają specyficzne związki goryczkowe. Główną substancją aktywną w piołunie jest absyntyna – środek przeciwbólowy i narkotyk o działaniu halucynogennym. Można pić z niego nalewkę lub palić go po sproszkowaniu, występują wtedy wizje i uczucie euforii. Jednak olejki eteryczne piołunu zawierają również tujon, substancję trującą, która może wywoływać drażliwość oraz stany podniecenia i psychozy, prowadzące do zmian zwyrodnieniowych w układzie nerwowym.

październik 2010

Drodzy czytelnicy fantastyki, w niniejszej publikacji zaprezentowaliśmy wszystkie opowiadania nominowane do Nagrody Zajdla za rok 2013.

Laureatów Nagrody Zajdla wybiorą uczestnicy Polconu 2014 w Bielsku-Białej
(4-7 września, www.2014.polcon.pl)

Statuetki zostaną wręczone na uroczystej Gali w dn. 6 września

Publikacja ta jest wydawnictwem bezpłatnym o charakterze promocyjnym.

Serdecznie dziękujemy autorom i wydawnictwom za zgodę na umieszczenie nominowanych tekstów w niniejszej publikacji.

Wykorzystywanie zamieszczonych utworów w celach komercyjnych jest zabronione.

Twórcy Internetowej Antologii Zajdlowej 2014: Marcin Zwierzchowski i Marzena Półgrabia (skład ebooków w systemie Zecer)



Czytałeś? Podobało się? Nominuj!

Czytelniku fantastyki, lista nominowanych tekstów zależy tylko od nas - od Ciebie i innych miłośników literatury. To Wy, czytając polską fantastykę, wysyłając nominacje i nama-

wiając do czytania innych decydujecie o tym, które teksty mają szansę powalczyć o zwycięstwo...

Zachęcamy Was do nominowania tekstów do Nagrody im.

Janusza A. Zajdla. Wystarczy, że czytasz polską fantastykę i trafisz na przynajmniej jeden dobry tekst – podobnie jak w przypadku innych nagród literackich, nie ma obowiązku „przeczytania wszystkiego, co się w Polsce ukazało”

Zapraszamy na naszą stronę i do mediów społecznościowych.

www.zajdel.art.pl

Facebook <http://www.facebook.com/Nagroda.Zajdla>

Gogole plus <https://www.google.com/+nagrodazajdla> 238

